

KSIĄŻKA NAGRODZONA PRESTIŻOWĄ
EDGAR AWARD

Adiós muchachos

Daniel,
Chavarría

Ta powieść jest niczym pikantna kubańska paella. Nie możesz się od niej oderwać...
„Library Journal”

Pulp fiction w realiach Kuby Fidela Castro. Malownicza opowieść pełna seksu,
intryg... i raz jeszcze seksu.

Martin Cruz Smith

Daniel Chavarría

Adiós muchachos

1996



Od roweru do ekranu

Rozdział pierwszy



Kiedy Alicia postanowiła zostać rowerową dziwką, jej matka zgodziła się sprzedać pierścionek, który był w rodzinie od pięciu pokoleń. Otrzymała za niego 350 dolarów, po czym za 280 dolarów nabyły angielski rower górski o szerokich oponach i z mnóstwem przerzutek, którym Alicia wyruszyła na łowy na zamożnych cudzoziemców.

Musiały jednak minąć dwa miesiące, nim udoskonaliła swoją technikę. Pozbyła się angielskiego bicykla, wymieniając go na 120 dolarów i stary, ciężki chiński rower, na którym opracowała numer „na zgubiony pedał”. Wtedy właśnie zaczęła cieszyć się prawdziwym powodzeniem.

Intryga została obmyślona i wprowadzona w życie na podwórku starego budynku przy Calle Amargura. Odpowiadał za nią Pepone, który specjalizował się w „cyklomechanice substytutowej”, o czym informował zawieszony u wejścia do jego przybytku kawałek aluminium z napisem wykonanym minią ołowiową.

Za dwie butelki rumowego samogonu Pepone zabezpieczył nakrętkę blokującą pedał za pomocą zawlecзки, którą Alicia z łatwością mogła usunąć. Wystarczyło tylko, by się nieco nachyliła, nie przestając przy tym pedałować, i lekkim szarpnięciem w wybranym przez siebie momencie sprawiała, że pedał widowiskowo odpadał.

Następnie musiała nacisnąć hamulce, w konsekwencji czego wylatywała w powietrze i twarzą w dół – tyłkiem zaś ku górze – lądowała na asfalcie. Dzięki parze porządnych rękawic oraz licznym próbom opanowała ten numer do perfekcji i koniec końców potrafiła wyjść z wypadku bez szwanku.

Kraksy zdarzała się zawsze mniej więcej dwadzieścia metrów przed maską jakiegoś drogiego auta, którego cudzoziemski kierowca dał się już zhipnotyzować rytmicznym podrygiem mięśnia pośladkowego wielkiego (i to jak!), wiercącego się na siodełku z rozmysłem zamontowanym zdecydowanie zbyt wysoko na ramie.

Zasada była prosta. Samochód, który powinien ją wyprzedzić, zwalniał i pozostawał z tyłu, a to niechybnie oznaczało, że rybka chwyciła haczyk.

Rozdział drugi



W przestronnej sali konferencyjnej w gmachu Ministerstwa Turystyki dziesięć osób gawędziło przy stole tak wielkim, że z łatwością mogłoby siedzieć przy nim znacznie więcej dyskutantów. Personel rozłożył serwetki, porozstawiał popielniczki i butelki wody mineralnej, a dwie eleganckie asystentki rozdawały pliki dokumentów, podczas gdy kelner krążył po pomieszczeniu i nalewał kawę.

Nad wyrazem dobrze ubrany i przystojny mężczyzna („Mr. Victor King”, jak głosiła ustawiona przed nim akrylowa wizytówka) wstał z miejsca, podszedł do stojaka z wielkoformatową mapą Kuby i – sięgnąwszy po teleskopowy wskaźnik – zwrócił uwagę zebranych na kilka punktów na północnym brzegu wyspy. Następnie wyciągnął drugą rękę i wskazał na krzyżyki widniejące w dolnej części mapy. Wyspę niczym aureolą opasywały różne

odcienie jasnej zieleni, żółtości i bieli, oznaczające zmieniającą się głębokość szelfu.

King przemówił do zebranych idealną hiszpańszczyzną, nieco tylko naznaczoną akcentem meksykańskim.

– Jak już tłumaczyłem, wszystkie niebieskie punkty naokoło wyspy to miejsca zatonięcia galeonów na przestrzeni półtora stulecia, między rokiem tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym szóstym a tysiąc siedemset sześćdziesiątym. Mnóstwo informacji o nich znaleźć można w Hiszpanii w Głównym Archiwum Indii. Jesteśmy przekonani, że Kuba jest na niezwykle uprzywilejowanej pozycji, sprzyjającej rozwojowi aktywnej turystyki morskiej, powiązanej z poszukiwaniami skarbów zagubionych na dnie oceanu.

Za przepierzeniem z matowego szkła dwie sekretarki odbywały własną naradę.

– *Ten gość to niezłe ciacho!*

– *Zupełnie jak Mel Gibson.*

– *No jasne! Wiedziałam, że mi kogoś przypomina.*

Zakończywszy prezentację, Victor usiadł z powrotem na swoim miejscu i zwrócił się do jednego z mężczyzn po drugiej stronie stołu:

– Jak więc pan widzi, panie ministrze, możliwości są nieskończone.

Spojrzenie ministra prześlizgnęło się po Victorze i zatrzymało na człowieku obok niego, jasnowłosym, czterdziestoparoletnim Europejczyku, jakieś metr siedemdziesiąt pięć, rumianym, o przyjemnej aparycji. „Mr. Hendryck Groote” łysiał, a włosy, które pozostały mu jeszcze wokół skroni i z tyłu głowy, były na tyle długie, że dało się z nich upleść samurajski warkocz. *Guayabera*, którą miał na sobie, była co najmniej o numer za duża.

– Tak – odezwał się minister – czytałem raport i szczerze mówiąc, sprawa wygląda bardzo atrakcyjnie. Ale rozmawiałem z paroma naszymi specjalistami, którzy uważają, że jeżeli chcemy wyruszyć na poszukiwania zatopionych statków, nie powodując przy tym zagrożenia dla przyszłych

podmorskich badań archeologicznych na naszych wodach terytorialnych, musimy nabyć bardzo kosztowny sprzęt, za jakieś dwadzieścia milionów dolarów. Czy byliby panowie w stanie podjąć się takiej inwestycji?

Minister wbił wzrok w pozostałych przekonany, że udało mu się wywrzeć na nich wrażenie.

Mężczyzna z ogromnym nosem skończył podpalać dla Grootego cygaro marki Cohiba i zwrócił się do ministra, przechodząc na angielski:

– Panie ministrze, dwadzieścia milionów dolarów to chyba zbyt mało jak na projekt, o którym myślimy...

– *Jasna cholera, ale nochal! Kto to, u diabła, jest?*

– *Nazywa się Jan van Dongen. Mówią, że to pitbul Grootego.*

– ...jako że prowadzilibyśmy działania w kilku różnych miejscach naraz.

– I jeżeli wejdziemy w ten projekt – przerwał mu Grooto – nasza inwestycja w sprzęt wyniesie ponad sto dwadzieścia milionów dolarów...

Hendryck Grooto mówił po angielsku z silnym akcentem – jak oceniły sekretarki, niemieckim bądź holenderskim – i pomimo delikatnych rysów twarzy spojrzenie miał przenikliwe, sposób zachowania zaś ewidentnie zdradzał w nim człowieka przywykłego do wydawania poleceń. Cygaro palił pospiesznie, nie zaciągając się i z wyrazem niezadowolenia na twarzy. Ani na moment nie oderwał wzroku od ministra.

– ...co wraz z dwustu trzydziestoma milionami dolarów na rozwój trzech hoteli oznaczałoby z naszej strony inwestycję rzędu trzystu pięćdziesięciu milionów dolarów.

Rozdział trzeci



Chcąc w pełni wykorzystać swoje piersi, pokaźne pośladki i mocne uda, hawańskie dziwki ubierają się zazwyczaj w sposób, który można z wdziękiem określić „minimalistycznym”. Tak jawne epatowanie swymi atrybutami miewa niekiedy pewien naiwny urok. Czasami z kolei działa przygnębiająco. Kiedy indziej nachodzi cię ochota, by się roześmiać. Czasami wreszcie – choć rzadko – nachodzi cię ochota, by skosztować. Alicia również eksponowała swoje wdzięki.

Czy prowokująco?

Oczywiście! Wszelka promocja w handlu sprowadza się do bezczelności, szczególnie zaś w przypadku, gdy towarem jest akurat to, co zwykle się określać „strefami intymnymi”.

Lecz Alicia prowokowała jedynie wówczas, gdy jechała na rowerze. Pieszko była wspaniała, piękna, ale w żadnym wypadku wyzywająca. Zawdzięczała to wielce oryginalnej technice, którą wypracowała z pomocą matki.

Gdy wyruszała na łowy na cudzoziemców, wkładała dosyć luźne białe szorty, sięgające niemal do połowy uda. Taki strój zwykły nosić kobiety grające w tenisa – zupełnie przyzwoity, lecz w przypadku Alicii umożliwiał prezentowanie zgrabnych kostek i dołków pod kolanami bez wzbudzania podejrzeń co do jej profesji.

Ludzie, rzecz jasna, oglądali się za nią – i to jak! Dla większości mężczyzn powstrzymanie się przed spojrzeniem graniczyło w istocie z niemożliwością. Kiedy przechodziła, owe dwie bliźniacze alabastrowe półkule, wieńczące jej doskonałe uda, nieuchronnie ożywiały stojących na rogu facetów, którzy rzucali za nią typowe obleśne teksty w rodzaju: „Kotku, czego to bym z tobą nie robił...!”.

Niektórzy uznawali ją za turystkę. Gdy Jej Najjaśniejsza Ponętność pojawiała się na ulicach Hawany, skłaniało to niektórych mężczyzn do dziwnych słów lub zachowań, lecz większość pogrążała się w sennej melancholii, gdyż zdawali sobie sprawę, że skazani są, by przejść przez życie, nigdy nie kosztując podobnej kobiety. Owszem, wszystkich ich podniecała, w żadnym razie jednak nie wyglądała obscenicznie. W istocie rzeczy przypominała sportsmenkę... elegancką sportsmenkę. Alicia nie wychodziła na ulicę, by zarobić szybki szmal, taki do wydania w mgnieniu oka, lecz by zdobyć majątnego cudzoziemca, który uczyni ją swoją żoną bądź stałą kochanką – gościa gwarantującego poważne pieniądze w twardej walucie, które mogłaby odwiedzać w banku, najlepiej w Szwajcarii.

Alicii chodziło o zapewnienie sobie przyszłości, a wulgarność niczemu w tym projekcie nie służyła.

Zarazem jednak jej krótkie spodenki zaprojektowane były tak, by za każdym razem, gdy pedałowiała po ulicach Hawany, jak najbardziej wykorzystać wspaniałości swoich pośladków. We wszystkich parach szortów miała sześć strategicznie rozmieszczonych guzików, trzy po każdej stronie. Alicia sama je naszyła, z wielką troską sporządzając też dziurki, a kiedy jechała na rowerze, rozpiniała wszystkie sześć. Oczywistym pretekstem po temu było zapewnienie większej swobody ruchu przy pedałowaniu. Następnie wywijiała wszywany pasek, ściągała go i podwijiała dolną krawędź spodenek, aby odstąpić kolejne centymetry zaokrąglonych ud. Gdy wsiadała na rower, wprowadzała oswobodzony zadek w ruch – siup, siup, pośladek w górę, pośladek w dół, bum, bam – naciskając na połyskujące siodełko, które ustawiła tak wysoko, że już samym pedałowaniem wprowadzała je w powodujące halucynacje kołysanie.

Dla pewności, że nikt nie weźmie jej za dziwkę, przerzucała przez plecy worek jutowy, z którego wystawała długa przykładnica oraz dwa zwinięte arkusze papieru do szkicowania. Czyżby inżynierka? A może architektka?

Alicia nie była studentką – to jest była nią przed dwoma laty. Swego czasu zapisała się do Szkoły Literatury i Sztuki, za wiodący przedmiot

obierając literaturę francuską. Teraz posiadała państwowe zezwolenie na prowadzenie niezależnej praktyki translatorskiej. Zdaniem sąsiadów od czasu do czasu pracowała jako tłumaczka. „Chętnie zerknęłabym na te jej przekłady” – rzucała niekiedy jakaś stara babina. Zawsze trafiał się ktoś, kto spod nawet najlepszych perfum zdawał się wyczuwać coś podejrzanego, lecz Alicia nigdy nie dopuściła się czegokolwiek, czym mogłaby ściągnąć na siebie uwagę państwowych strażników rewolucji.

Prócz bezbłędnej francuszczyzny władała też angielskim, którego nauczyła się w dzieciństwie, a ostatnio, dzięki parze Włochów, którzy odbyli z nią intensywny, dziewiętnastodniowy kurs (dwanaście dni z Enzem i siedem z Guidem), udało jej się nawet liznąć języka Dantego. Miała talent do języków – doskonałe ucho do wychwytywania wymowy – i dzięki wytężonej nauce umiała go wykorzystać. Zawsze prosiła, powtarzała i nalegała, by ją poprawiać, jeżeli wymawia coś niewłaściwie. Guido nie posiadał się ze zdumienia, że w tak krótkim czasie podłapała tyle słownictwa i zdołała wbić je sobie do głowy.

Ecco! Ribadito sul cervello.

Rubasznie rechocząc, co podrzucało jego obwisły podwójny podbródek, głaskał ją po pupie niczym po szklanej kuli. Był przekonany, że uczyła się właśnie z jego powodu. Czy mu to schlebiało? A jakże!

Nim wsiadł do samolotu, który miał go zabrać z powrotem do Włoch, Guido kazał jej przysiąc, że nie przerwie nauki. Kiedy za osiem miesięcy powróci, zrobi jej test – jeśli Alicia go zda, otrzyma od niego nagrodę. –
D'accordo?

Va bene.

A jeśli Alicia rzeczywiście będzie się starać i nauczy kilku włoskich piosenek, nagrodą będzie zaproszenie na wycieczkę do Italii.

Alicia lubiła śpiewać, zwykle też akompaniowała sobie na gitarze. W repertuarze miała parę starych, sentymentalnych utworów kubańskich, trochę Serrata, Piaf, Léo Ferrégo, Jacques'a Brela; lecz Guido życzył sobie, by swym sennym, zmysłowym, chropowatym głosem śpiewała mu przeboje

Domenica Modugno, Rity Pavone i innych jego *favoriti* z lat sześćdziesiątych. Tydzień później Alicia otrzymała za pośrednictwem firmy kurierskiej DHL paczkę zawierającą słownik, podręcznik, sześć kaset oraz książkę z włoskimi piosenkami o miłości, opatrzoną romantycznymi dopiskami poczynionymi starannym pismem Guida.

Niech to szlag, jaka szkoda, że Guido jest tak gruby. Co więcej, nie był wcale bogaty. Owszem, zarabiał 150 tysięcy dolarów rocznie, lecz poza tym nie miał ani lira oszczędności w banku, żadnego portfela inwestycyjnego, posiadłości czy w ogóle czegokolwiek. Nie byłoby czego po nim dziedziczyć. Sam siebie określał „anarchistą na drodze ku socjalizmowi”. Dacie wiarę?! No i zawsze wygłaszał romantyczne tyrady o tym, jak to pieniądze są ważne tylko wtedy, gdy mu są do czegoś potrzebne, że nigdy nie dałby się im zniewolić i całe inne temu podobne bzdury. Zarazem jednak był miły, dowcipny i szczodry... a przy tym wcale nie najgorszy w łóżku. Ale co za palant! Jaka szkoda!

Rozdział czwarty



Hawańskie dziwki, zwłaszcza debiutantki – a tych jest najwięcej – zazwyczaj pragną być zapraszane do ekskluzywnych restauracji. Alicia wolała podejmować klientów we własnym domu. O ile tylko nie brakowało właściwych składników, kuchnia jej matki była w stanie sprostać nawet najbardziej wygórowanym wymaganiom. Margarita robiła fantastyczne panierowane krewetki oraz godną pozazdrosczenia homarową enchiladę, odkąd zaś córeczka zaczęła przynosić do domu dolary, spiżarka była odpowiednio zaopatrzona w przedniej jakości owoce morza, przyprawy oraz konserwy, by można w pośpiechu przygotować dowolny sos. Nie brakowało też przyzwoitych win i dobrego, doskonale schłodzonego piwa w

butelkach pokrytych wilgotną mgiełką. Wszystko to stanowiło część planu. Matka nigdy nie wiedziała, kiedy Alicia wróci do domu z nowym przyjacielem, a przecież to nie do pomyślenia, żeby zastali ją nieprzygotowaną.

Zaprowadzony do domu Alicii klient nie płacił ani grosza. Był u niej gościem, ona zaś gospodynią. Chodziło tylko o wymianę uprzejmości. Koniec końców to ów życzliwy dżentelmen dopomógł Alicii przy awarii roweru i okazał się tak miły, że odwiózł ją do domu. Na dowód wdzięczności zapraszała go na drinka, no, może dwa, a przy okazji może by tak spróbował przygotowanych przez mamusię krewetek? Ależ proszę, to żaden kłopot. Dopiero co je przyrządziła i w razie odmowy poczuje się urażona.

– Wydaje mi się, że pana polubiła – wyznawała szeptem nowo poznanemu, nadając rozmowie bardziej przyjacielski ton.

Kiedy Alicia po raz pierwszy opracowała standardową procedurę postępowania w przypadku wstępnych wizyt, zauważyła, że Margarita jest w stanie rozmrozić, zamarynować i obtoczyć w mące ze dwa tuziny krewetek, a do tego spreparować sos tatarski bądź rosyjski, dokładnie w dwadzieścia siedem minut. Tyle właśnie czasu miała zatem, by charakter nowej znajomości przemienić z oficjalnej wdzięczności w ciepłą poufałość.

Wpierw, dla przełamania lodów, wypijali parę drinków. Kiedy gość zupełnym przypadkiem na jednym ze stolików w salonie dostrzegł zdjęcia, a wśród nich inspirujący akt Alicii, który zdawał się fotografią obrazu olejnego, Alicia uznawała S-1 (kryptonimem tym określała „pierwsze stadium” swojego uwodzicielskiego planu) za ukończone i przechodziła do S-2.

Fotografia stanowiła pretekst, by poprowadzić cudzoziemca za rękę do sypialni i zaprezentować mu właściwy obraz olejny. I oto wisiał – dziewięćdziesiąt centymetrów na sześćdziesiąt, Alicia widziana z profilu, idealne piersi, siedzi na kuchennym taborecie, opiera podbródek na kostkach dłoni, a na jej twarzy maluje się pełen oczekiwania uśmiech.

– Kto to namalował?

– Niedysiejszy przyjaciel.

Tłumaczyła, że narzeczony zrobił jej serię zdjęć i ostatecznie urzekło go akurat to. Wnet otwierała szufladę i wyciągała fotografię, lekko różniącą się, lecz ewidentnie przedstawiającą tę samą osobę w tej samej pozie.

Jeżeli w danym momencie usta lub dłonie delikwenta podejmowały jakieś działania, Alicia przyjaźnie i elegancko go mitygowała, nawet na chwilę nie przestając się uśmiechać. Przez boczne drzwi prowadziła go do sąsiedniego pokoju z obszernym łóżkiem, klimatyzatorem, dużymi lustrami, osobną łazienką i kolejnym olejnym malowidłem: portretem w zbliżeniu, w swej rozciągniętej wertykalności przypominającym prace El Greca i Modiglianiego... a przy tym absolutnie nie seksownym.

– A to co jest?

– Kolejny narzeczony.

Riposta była godna wykucia w granicie.

– Najwyraźniej masz słabość do malarzy.

W odróżnieniu od takiej prymitywnej uwagi odpowiedź Alicii była za każdym razem dopasowana do konkretnej osoby i okazji – jeśli klient mógł uchodzić (a przynajmniej we własnym mniemaniu) za przystojnego, Alicia z nieśmiałym, wyćwiczonym uśmiechem przyznawała:

- Cóż, tak naprawdę to lubię mężczyzn przystojnych.

Jeżeli gość był gruby:

- Cóż, tak naprawdę to podobają mi się mężczyźni przy kości.

Gdy klient, zdumiony nieoczekiwaną odpowiedzią, zamieniał się w słuch, Alicia wyjaśniała, że malarze obydwu obrazów byli nieco bardziej niż przy kości, a wręcz, prawdę mówiąc, w skali otyłości od jednego do dziesięciu zbliżali się do dziesiątki. Twórca aktu, którego, tak, przyznawała to, kochała do szaleństwa, był wedle wyciągniętej skądś fotografii tak niewyobrażalnie tłusty, że w porównaniu z nim jej obecny pulchny towarzysz mógł czuć się całkiem szczupło. Alicia głaskała jego brzuszysko i pieściła podwójny podbródek, aby pokazać swoje uwielbienie dla grubych

mężczyzn. Opowiadała o pewnej obsesji na punkcie niesamowicie otyłego wujka, który był dla niej uosobieniem czułości i obiektem dziecięcego uwielbienia. Kiedy zaś przyznawała, że za ideał mężczyzny uważa pewnego yokozunę walk sumo, wszystkie te grubasy po prostu rozpląwały się w niewypowiedzianej wdzięczności.

Jeżeli grubas nie miał zahamowań, pozwalała mu się pocałować, wstępnie i niezobowiązująco. Kiedy natomiast trafiał się facet z kompleksami, przejmowała inicjatywę i sama go całowała.

Tak zatem, zależnie od tego, czy klient był chudy, niski, stary czy brzydki, zawsze okazywało się, że obydwaj malarze byli dokładnie jak on, tyle że nieco gorsi. Na potwierdzenie swych słów Alicia dysponowała odpowiednio przygotowaną kolekcją zdjęć. Na tym, wymagającym wielkiej delikatności, etapie procesu uwodzenia Alicia robiła wszystko, co tylko mogła, by przekonać klienta, że jego niedoskonałości są w istocie rzeczy zaletami.

Wkrótce po pierwszych miłosnych zapasach, o ile klient nie wykazywał w łóżku oznak impotencji, proponowała mu parę praktycznych lekcji tańca do muzyki kubańskiej – była to specjalna atrakcja dla zagranicznych gości, w ramach której Alicia wprowadzała szereg śmiałych innowacji pedagogicznych.

Sama wyznawała bardzo osobliwą teorię dotyczącą tańca. Uważała, że jeśli uczeń pragnie opanować ową szczególną płynność ruchów, cechującą każdego dobrego tancerza karaibskich rytmów, już od pierwszych zajęć musi poznać szereg opracowanych przez nią samą ćwiczeń horyzontalnych.

Teoria w istocie sprowadzała się do stwierdzenia, że każdy, kto nauczy się tańczyć w łóżku, poradzi sobie na wszystkich parkietach tanecznych świata.

Za wyjątkiem szczególnych okoliczności Alicia zazwyczaj rozpoczynała proces kształcenia od ujeżdżania na szerokiej macie podłogowej. Rzadko który adept jej hipodromu, koniec końców, nie stękał z miarowej rozkoszy.

Alicia utrzymywała, że dzięki tej właśnie technice zdołała nauczyć Niemca, Szweda, a nawet pewnego Kozaka, jak należy kotysać biodrami, by nie wyglądać przy tym niczym mors.

Faktem jest, że jeśli mężczyzna nie nauczy się, jak poruszać biodrami i jak wprawiać zadek w rozkołysanie, nigdy nie będzie w stanie tańczyć do karaibskich rytmów z wystarczającą gracją. Zarazem jednak Alicia odkryła, że dla wielu Europejczyków, potomków tradycji wojskowego drylu, podrygiwanie tyłkiem wydaje się czymś całkiem niegodnym i zgoła niemęskim. Ot, taki mieli kompleks. Lecz zdaniem Alicii wystarczyło raz ich do tego skłonić, wystarczyła jedna sesja na wznak z piękną kobietą na górze, wyklaskującą rytm lub wybijającą go na ich pośladkach, i voilà... po kompleksie.

Taka kuracja zazwyczaj leczyła ich już na stałe. Do końca życia pozbywali się zahamowań i w większości okazywali się pojętnymi uczniami.

Rzecz jasna, zdarzały się też przypadki beznadziejne: faceci, którzy po prostu nie byli w stanie zarzucić biodrami czy potrząsnąć pośladkami. Pewnego razu Alicię rozwścieczył grubas, który okazał się sztywny jak pień. Kiedy poprosiła, by zakręcił miednicą, gość zdołał jedynie zamachać w powietrzu rękami. Gdy kadencja osiągnęła moment krytyczny, akurat na skraju orgazmu, niezdarny sukinsyn wbił jej łokieć w brzuch.

Niekiedy i pilniejsi z uczniów napotykali poważne trudności ze złapaniem rytmu. Owładnięci bez reszty pożądaniem przyglądali się Alicii w strategicznie rozmieszczonych lustrach, jak przegina pierś w rozkołysie bądź odwraca się, by za pomocą pilota odpalić odtwarzacz, który akompaniował jej podczas zajęć.

W trakcie ujeżdżania Alicia była w stanie poruszać się i falować całym ciałem za wyjątkiem nóg. A jeżeli facet choć trochę jej się podobał, zatraciła się w tańcu. Oddawała się bez fałszu i znajdowała w dosiadananiu klientów satysfakcję. Przychodziło jej to z łatwością, oni zaś to uwielbiali i puchli wówczas z dumy.

Alicia nie miała przesadnie wrażliwego żołądka, lecz i ona znała granice swojej wytrzymałości. Jeżeli przy pierwszej okazji facet okazywał się obleśny i odpychający, nawet nie wsiadała do jego samochodu. Lecz jeśli już znaleźli się w domu, w większości przypadków postępowała wedle tego samego schematu. Gdy wyprowadzała klienta z drugiego pokoju, nie brała go za rękę, tylko opierała się na jego ramieniu, aby mógł poczuć jędrność jej piersi.

Otóż to: niechaj poczują moc jej młodego ciała.

Wcześniej wyznawiała konspiracyjnym szeptem, że pokój z wielkim łóżkiem i niedyskretnie rozmieszczonymi lustrami stał dotąd nieużywany. Przed dwoma laty była to jeszcze sypialnia rodziców, lecz nikt z niej już nie korzystał. Służyła teraz za pokój gościnny.

– Odkąd się rozwiedli, matka sypialni nie używa... a przynajmniej nie dospania... Cóż... – dodawała z czarującą bezczelnością.

Następnie wychodzili na podwórko, by pobawić się z ogromnym psiskiem, które odrywało się od patrolowania posesji i siadało wpatrzone w nich z kosooką lubieżnością. Wówczas Alicia pozwalała klientowi na chwilę swawoli pod cytrynowym drzewkiem.

Kiedy wracali do salonu, Margarita zupełnym przypadkiem wychyliła głowę przez kuchenne drzwi i wyciągając rękę z gitarą, mówiła:

– Leonor pyta, czy pożyczysz jej znowu gitarę na najbliższą niedzielę.

– Jakżebym mogła odmówić? – odpowiadała z westchnieniem bezradności Alicia, otwierając futerał i przeciągając dłońią po strunach instrumentu. Wtedy też śpiewała pierwszą piosenkę – zawsze tę samą, autorstwa Marty Valdes. Później wypijali znowu parę drinków i częstowali się owymi wyśmienitymi panierowanymi krewetkami. Margarita odśpiewywała swój popisowy numer, stare bolero z lat pięćdziesiątych. I wówczas, niestety – „Ojejku, nie miałam pojęcia, że jest już tak późno” – musiała wyjść.

Kiedy wreszcie zostawali sami, zdarzyć się mogło zupełnie wszystko. Klientów z krztyną inicjatywy Alicia zabierała wprost do sypialni, a tam już

działała na wyczucie, odgadując możliwości bądź niedociągnięcia ich męskości. Wszyscy jednak byli świadkami wirtuozerskiego popisu.

Zwyczajową reakcją dopieszczzonego faceta było zaproszenie na kolację do La Cecilii, El Tocatoro czy innej popularnej wśród cudzoziemców drogiej i wykwintnej hawańskiej restauracji.

– Posłuchaj mnie uważnie – oznajmiała Alicia, delikatnie, jasno, słowo po słowie, z zamkniętymi oczyma, z absolutną władczością. – Kiedy mężczyzna mi się podoba, to go zdobywam. Ty mi się podobasz, ale w żadnym razie nie zgodzę się umówić z tobą w miejscu publicznym, gdzie pierwszy lepszy kretyn mógłby sobie źle o mnie pomyśleć.

A jeśli klient proponował jej pieniądze, była wręcz bliska gniewu.

– Jeśli cenisz sobie moją przyjaźń, nigdy więcej tego nie rób! Proszę, byś mnie nie obrażał – ostrzegała, palcem wskazującym mierząc w jego tors. – Godność to ostatnie, co nam w tym kraju zostało, a jeżeli o mnie chodzi, to jedynym mężczyzną, od którego kiedykolwiek przyjmę pieniądze, był mój ojciec.

– Ale jakżeż w ogóle mogłaś pomyśleć... – oponował facet.

Charakter znajomości stawał się więc jasny. Żadnego zapraszania w miejsca publiczne. Alicia nie pokazywała się w restauracjach, hotelach, sklepach czy też innych miejscach uczęszczanych przez obcokrajowców. Nie chciała, by uznano ją za jineterę. Niekiedy wręcz musiała tłumaczyć, co tak dokładnie oznacza w Hawanie słowo *jinetera*: nie kurwę, ale coś bardzo podobnego.

Następnie klient dowiadywał się, że Hermán, ojciec Alicii, sprawował szereg funkcji w służbie dyplomatycznej oraz zagranicznych kubańskich misjach handlowych. W dzieciństwie Alicia spędziła osiem lat w rozmaitych krajach europejskich.

– Naprawdę boli mnie, gdy przyglądam się temu, przez co przechodzimój kraj – dodawała, z patriotyzmem wpatrując mu się w oczy. – Co więcej, za pieniądze, jakie wydałbyś na mnie w jednej z tych luksusowych restauracji, kubańska rodzina mogłaby się wyżywić przez trzy miesiące.

I tak naprawdę wszystkie te wykwintne dania stają człowiekowi kością w gardle. Lecz jeśli klient nalegał, cóż, za o wiele mniejszą sumę jej matka była w stanie upichcić obiad na dziesięć osób, a do tego o wiele smaczniejszy. Jeżeli tylko gość miał ochotę, mógł nawet zaprosić paru kolegów.

Jednym z przewidywalnych efektów takiej strategii (czego dowiodły przypadki sześciu spośród czternastu facetów, których Alicia w ciągu ostatniego półtora roku omotała za pomocą roweru, tyłka, gitary i otwartego umysłu) było to, że wkrótce klient pojawiał się z tak ogromną ilością jadła i napojów, że dwójce oszczędnych i gospodarnych kobiet wystarczyło tego na wiele tygodni. Część frachtu matka i córka przeznaczały na zaspokojenie żołądków następnych klientów, resztę zaś sprzedawały na czarnym rynku za bająnskie sumy. Przecież fakt, że Alicia odmawiała przyjmowania prezentów w gotówce, nie oznaczał, że musiała gardzić upominkami w postaci pocziwych wiktuałów.

Alicia nosiła mały zegarek, zawsze ten sam, który nieodmiennie psuł się w obecności klienta. Przez osiemnaście przepracowanych miesięcy wręczono jej osiem zegarków, wartych łącznie, bagatela, dwa tysiące dwieście dolarów. Otrzymała też dwie pojemne zamrażarki, fortepian, trzy prześliczne gitary, pięć odtwarzaczy płyt kompaktowych, komputer stacjonarny i laptopa, a także motocykl (aczkolwiek w dalszym ciągu przemieszczała się na rowerze).

W naprawdę gorące noce rzucała: „Jasna cholera, ten pieprzony klimatyzator znowu nawala” – i z gołym tyłkiem nurkowała w ociekającej smarem i zakurzonej maszynie, robiąc wszystko, co w jej mocy, by naprawić tę cholerną kupę złomu. Klient siedział na łóżku, wciąż wstrząśnięty tak brutalnym przykładem stosunku przerywanego, tymczasem matka Alicii wyłączała w kuchni bezpieczniki. Alicia przeklinała i kopała w zasrane pudło, wrzeszcząc z frustracji („akurat wtedy, gdy było najbardziej potrzebne, a żeby to szlag!”), a jej złość była tak autentyczna, jej szloch tak dziewczęce, jej ruchy tak kokieterijne, gdy roztrzaskiwała o podłogę naczynie z taniej porcelany, że sukinsyn musiałby być najbardziej nieczułym bydlakiem pod

słońcem, by nazajutrz nie zameldować się pod drzwiami z lśniącem nowością klimatyzatorem.

Zdarzało się, że któryś z klientów, oczarowany przez Alicję i rozpieszczony przez Margaritę, upierał się, że pomimo ich szczodrej gościnności pilne sprawy wzywają go gdzie indziej, lecz będzie zaszczycony, jeśli jednak wyjątkowo przyjmą jego zaproszenie do określonego lokalu. Alicia trwała przy swoim i koniec końców ustalali, że kolacja znowu odbędzie się w jej domu. Klient miał przynieść niezbędne produkty. A po kolacji, jeśli tylko będzie pan chciał, może pan przenocować –wtrącała Margarita tonem tak naturalnym, jakby proponowała komuś miskę prażonej kukurydzy. (Opcja z nocowaniem idealnie sprawdzała się w upalne letnie noce, ponieważ stwarzała warunki do przedstawienia z klimatyzatorem bądź też awarii malutkiego zamrażalnika w ich skromnej radzieckiej lodówce. Jejku, jaki straszny wstyd!)

Przy zaplanowanych okazjach, gdy klient pragnął pochwalić się zdobyczą i wychodził z propozycją zaproszenia na kolację paru znajomych, Margarita-kucharka miała do zaoferowania dwie kosmopolityczne propozycje: danie główne w postaci fondue po burgundzku (z odpowiednią zastawą) bądź też kurczaka po marylandzku w sosie suprême.

Specjalnością Margarity był w istocie kurczak. W czterdzieści minut potrafiła wyluzować go, nadziać i zaszyć przy użyciu bambusowych igieł. Następnie pół godziny w szybkowarze i gotowe. Ale to tylko w wypadku posiłków improwizowanych. Niekiedy, gdy klient w pochlebnych słowach wypowiadał się o daniach tradycyjnej kuchni kubańskiej, podawanych w Bodeguita del Medio, matka Alicji wybuchała sopranowym śmiechem. Ależ o czym ty mówisz? Dobrze jedzenie w Bodeguicie?

Na tym etapie Margarita traktowała go już jak starego znajomego, zwracała się do niego poufałą formą *tú*, żartowała i z ożywieniem gestykulowała mu przed nosem, zachęcając do skosztowania jej własnych kubańskich potraw, rzecz jasna o niebo lepszych. I w pewnym sensie takie istotnie były.

Jeżeli jednak mowa o tradycyjnej kuchni kubańskiej, Margarita okazywała się doskonałą manipulatorką. Jeśli gość przybywał z Europy bądź południowego krańca Ameryki Południowej, w miejsce *yuca con mojo* podawała dobrze przyprawione pieczone ziemniaczki; przygotowywana przez nią wieprzowina zawsze była chudziutka, sucha i jedynie w samym środku plastra lekko zaróżowiona; ryż *conгри* nigdy nie był płynny, a do tego doprawiała go szeregiem składników, z którymi typowe *conгри* nie miało nic wspólnego. Zarazem opanowała pewien wachlarz smaków właściwych dla *haute cuisine*, lekkich i z delikatną nutką słodko-kwaśną, które spotykały się z powszechną aprobatą.

Wyśmienite rezultaty osiągała również z włoskimi makaronami: cannelloni, lasagne, fettuccine, ravioli, gnocchi, a do tego sosy – bolognese, pesto, vongole, arrabiata, puttanesca. Kiedy zaś przy stole zasiadało ponad osiem osób, podawała cieszącą się niesłabnącą popularnością paellę, która jeszcze nigdy jej nie zawiodła.

Kiedy klient był nader nieśmiały lub okazywał się impotentem, to jest w wypadkach, które można by nazwać trudnymi, Alicia ze zdwojoną troską dbała, by wszystko przebiegło idealnie. Pewne fatalistyczne skrzywienie w głębi duszy podpowiadało jej, że Prometeusz, który uwolni ją od niewygód i niedoborów kubańskiego stanu wyjątkowego, przybędzie właśnie pod postacią jednego z klientów impotentów. Jeżeli więc w momencie, gdy Alicia osiągnęła już trzecie stadium stymulacji, facetowi flaczał kutas, markowała nieujarzmioną potrzebę, zrzucała resztę ciuchów, by się nieco pomasturbować, a następnie upraszała delikwenta, który nadal był w pełni ubrany, by zanurkował w dół na małe lizanko, które wspierała fachowymi ruchami palców, aż osiągała najprawdziwszy orgazm – z drżeniem ciała, jękami, gryzieniem, postękiwaniem i tak dalej.

Jeżeli po tym wszystkim facetowi nadal nie stawał, w żadnym razie go nie naciskała, tylko dziękowała za doznaną z jego pomocą rozkosz. Jeśli zaś dostrzegała w jego członku choćby ślad poruszenia, rzucała się na niego z całą swą energią i maestrią, aż klient miał wrażenie, że wysysa mu z kości

szpik. Jak dotąd nie zdarzyło się, by metoda ją zawiodła. Już po wszystkim krzątała się wokoło, nadpobudliwa, szczęśliwa i wdzięczna. Ponownie sięgała po gitarę i śpiewała. Klient musiał się zgodzić, by zajęła się jego paznokciami i fryzurą, musiał dać się wykąpać, pozwolić, żeby zmieniła jego uczesanie, a także pobawiła się jego fujareczką, jego „maluśkim siusiaczkiem”.

Alicia nauczyła się od matki, że wielu mężczyzn fantazjowało na temat tego, że są traktowani niczym wyrosnięte lalki. Takich trafiło jej się tylko dwóch (Guido i Jack), obydwaj też proponowali jej wyjazdy za granicę. To właśnie z nimi odkryła w sobie coś, o co nigdy by siebie nie podejrzewała – a mianowicie, że ma duszę gejszy.

Spośród przerażającej wielości rozmaitych świi (sadystów, masochistów, pijaków, łózkopierdów i tym podobnych) Alicii nie trafił się – odpukać w niemalowane – ani jeden. Lecz gdyby przez własną pomyłkę lub pechowym trafem kiedykolwiek dostała się w łapska obrzydliwca czy szaleńca, odpowiednią zagrywkę miała przeciwzoną do perfekcji, a w jej kulminacyjnym punkcie gasiła natręta tekstem:

– No dobra, kochasiu, będzie pięćset dolców z góry i zapomnij o wszelkich czułościach, jestem zarabiającą na życie lesbijką.

Rozdział piąty



Victor King i Jan van Dongen, człowiek z wielkim nosem, jechali czerwonym chevroletem jedną z głównych arterii komunikacyjnych Hawany. Okrągłe dźwięki amerykańskiej angielszczyzny z ledwością przebijały się przez rozbrzmiewającą w tle salsę. Van Dongen tłumaczył Victorowi, dlaczego jest przekonany, że kubański rząd będzie chciał wejść w

ich projekt wykorzystywania zatopionych galeonów jako atrakcji turystycznej.

– Cholera! – przerwał Victor, przeraźliwie trąbiąc. Ruchem podbródkawskazał na czterech rowerzystów zajmujących całą szerokość jezdni. – Patrz tylko, co za dupki!

Kolejne dwa klaksony. Wreszcie czwarty, a rowerzyści nawet nie drgnęli. Jeden z nich, który pedałowiał sobie spokojnie, jak gdyby nigdzie się nie spieszył, rozprostował ramię i pokazał Victorowi środkowy palec, nawet się nie oglądając.

– Pozdrów tym swoją matkę – wymamrotał po hiszpańsku Victor. – Cowy, do kurwy nędzy, wyczyniacie?

Rzeczywiście, rowerzyści nie korzystali z przeznaczonego dla nich pasa, lecz blokowali całą szerokość bulwaru Malecón.

Bip, bip, biiip!

– Mowy nie ma, sukinsyny! Tylko spójrz na tych palantów: bujają się, jakby byli w jakimś pierdolonym parku!

Podczas spotkań z urzędnikami na Kubie i w rozmaitych krajach Ameryki Łacińskiej Victor starał się używać neutralnej hiszpańszczyzny, lecz za każdym razem, gdy coś go zdenerwowało, powracał do soczystego języka, jakim nasiąkł swego czasu w Meksyku.

Aby wyprzedzić rowery, odbił w lewo, przecinając podwójną żółtą linię ciągłą, i przyspieszył. Zamiast jednak jechać dalej, umyślnie zwolnił przed kolejnym rowerem. Ten akurat przemieszczał się zgodnie z przepisami po pasie rowerowym. Jakimś trafem w tej krótkiej chwili, jaką zajął mu ów niebezpieczny manewr, podświadomie dostrzegł podskakujące po obu stronach tyckiego siodełka półkule i niemalże stanął w miejscu, by dać im się wyprzedzić. Oszołomiony widokiem, praktycznie nie zwracał uwagi na bezsilne protesty i złorzeczenia palantów, którym właśnie zajechał drogę.

Nawet parę miesięcy po tym niewytłumaczalnym zdarzeniu, które miało odcisnąć na jego życiu głębokie piętno, Victor nie potrafiłby wytłumaczyć,

jak się w to wszystko wpakował. W gruncie rzeczy nie potrafił tego wyjaśnić nawet samemu sobie.

Czy zrobiłem to tylko po to, aby wkurzyć tych czterech dupków? Czyżby opanowało mnie jakieś nadprzyrodzone natchnienie, by nauczyć ich, że kto zachowuje się jak pirat drogowy, ginie jak pirat drogowy? Czyżbym starał się ich sprowokować?

Nie. Nie miał w zwyczaju wkurzać innych kierowców i wdawać się w bezsensowne wymiany zniewag. A już zupełnie obce było mu podejmowanie głupiego ryzyka tylko po to, by dać komuś nauczkę.

Kilka razy zdarzyło się, że w przebłysku podświadomości zastanowił się, czy to, że tak niespodziewanie i niebezpiecznie dał po hamulcach, nie było efektem reakcji hormonalnej, imperatywem kategorycznym emanującym z samego jądra jego jąder, informacją w milisekundę bezrefleksyjnie przesłaną przez mózg do zawiadującej hamulcem nogi.

– Nie dziwota! Czy ktokolwiek, mając na wysokości oczu taki tyłek, chciałby jechać gęsiego pasem dla rowerów? A kiedy w krajobraz wciął im się samochód, dwóch po prawej usiłowało zmieścić się między pozostałymi, by nie stracić zwierzyny z pola widzenia.

– Co prawda, to prawda, sam bym tak zrobił – skomentował Jan.

Lecz Victor zafascynowany wydarzeniami rozgrywającymi się na siodełku nie słyszał ani słowa.

– Matko Boska! Myślisz, że to kurwa?

– Nie wydaje mi się. Sądzę, że studentka – zawyrokował Jan, przy każdym słowie potrząsając nochalem.

– Tak czy owak, Janie, bardzo bym pragnął zapoznać się z tym tyłkiem.

Victor przyspieszył nieznacznie i zrównał się z rowerzystką.

Dziewczyna, blondynka o głębokiej, naturalnej opaleniznie, pięknie przedstawiała się również z profilu.

Gdy Victor opuścił szybę i błysnął swym najlepszym uśmiechem à la Mel Gibson, spojrzała na niego bez widocznego zainteresowania. Po sposobie, w jaki pedałowiała, znać było asertywność. Miała jędrne piersi i pełne usta.

Przez plecy przewiesiła worek jutowy z okazałych rozmiarów przykładnicą i dwoma zrolowanymi arkuszami papieru do szkicowania.

Gdy zbliżyli się do hotelu Riviera, przyspieszyła, zasygnalizowała zamiar zmiany pasa na lewy i przejechała im tuż przed maską.

– Panie w niebiesiech, cóż to było?

Obiecujące pogórze dwóch bliźniaczych masywów rumianych pośladków wylewało się po obu stronach znad rowerowego siodełka. Victor nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio dostał równie spontanicznej erekcji.

Gdy skręciła pod hotelem, czterej rowerzyści podążyli dalej wzdłuż bulwaru Malecón. Co było do przewidzenia, jeden z nich pokusił się o nieprzyzwoity komentarz. Co również było do przewidzenia, pozostała trójka nerwowo się zaśmiała.

Umysł Victora pracował na najwyższych obrotach. Ów tyłek, tak łaskawie zesłany mu przez hawańskie godziny szczytu, mógł być właśnie tym, czego tak bardzo potrzebował. A jako że na początku nawet najdłuższej podróży należy poczynić pierwszy krok, zamierzał jechać za dziewczyną, dokądkolwiek go powiedzie.

Podrywanie kobiet na ulicy zdecydowanie nie było w jego stylu, lecz tym razem postanowił spróbować szczęścia. Zatrzymał się przy krawężniku i odwrócił ku van Dongenowi.

– Nie obrazisz się, Janie? Na postoju pod Rivierą czeka mnóstwo taksówek, a ja nie pozwolę, by taka okazja mi się wymknęła.

– Nie ma problemu. – Kinol uśmiechnął się dobrodusznie. – Powodzenia. Jan wysiadł z wozu i wolnym krokiem ruszył ku postojowi taksówek.

W tym czasie rowerzystka zdążyła skręcić w Trzecią Ulicę i Victor na moment stracił ją z oczu. Przyspieszył i dojrzał ją zbliżającą się do rogu kolejnej ulicy. Gdy ponownie skręciła w lewo, czerwony chevrolet był już wprost za nią, w odległości jakichś dwudziestu metrów.

Victor spojrzął na zegarek, wyciągnął komórkę i błyskawicznie wstukał numer.

– Halo, Margaret? Tak, to ja. Powiedz, proszę, Karlowi Bosowi, że niedam rady dotrzeć na umówione spotkanie. Lekko niedomagam. Nie, nie! Nie martw się o mnie. To nic takiego, sensacje żołądkowe i trochę temperatury. Tak, to zapewne to. Możesz go poprosić, by wyznaczył inny termin? Dobra, wielkie dzięki.

Kiedy Alicia miała już przeciąć kolejną przecznicę, pochyliła się, delikatnie trąciła zawleczkę i pedał roweru odpadł. Pozwoliła sobie spaść z pojazdu, lądując praktycznie na czworakach, lecz gdy zbierała się, by wstać, stopa uwięzła jej gdzieś w ramie roweru. Zarazem prawą dłońią podpierała się na kierownicy, a lewą na chodniku. Pozycja ta sprawiała wrażenie niezwykle bolesnej, a jednocześnie oferowała imponującą panoramę jej bezkresnego tyłka.

Victor z autentycznym zaniepokojeniem wyskoczył z samochodu i podbiegł, by jej pomóc.

– Nic ci się nie stało, panienko?

Alicia zdążyła wyswobodzić się z konstrukcji roweru i stała teraz z pedałem w jednej dłoni i zawleczką w drugiej. Spojrzała na Victora ze złością, tak jakby to on ponosił winę za jej nieszczęście.

– Cholerna kupa złomu! – Wymierzyła rowerowi potężnego kopniaka i wybuchła szlochem.

– Spokojnie, panienko. Pomogę.

Alicia odwróciła się do niego plecami. Z dłońmi opartymi na biodrach skłoniła się na prostych nogach, aby się upewnić, czy nie uszkodziła kolan.

Wyeksponowane ponownie pośladki sprawiły, że Victor przygryzł wargę. Wciąż spoglądając w drugą stronę, Alicia zaczęła narzekać.

– A jak niby miałby pan mi pomóc? Za każdym razem, gdy to gówno siępsuje, na ileś dni tracę jedyny środek transportu!

– W tej chwili mogę cię przynajmniej podwieźć, dokądkolwiek jechałaś. Pozwól, wrzucę twój rower do bagażnika.

Alicia odwróciła się i spojrzała na niego zaskoczona.

– A myśli pan, że się zmieści?

– Ależ oczywiście.

– Dokąd pan jechał?

– Tam gdzie ty – odparł z eleganckim, pewnym siebie uśmiechem.

Alicia nie odwzajemniła uśmiechu. Z ostrożną aprobatą rodem z portretu Mony Lisy otaksowała go spojrzeniem od góry do dołu, na dłuższą chwilę zatrzymując się na wysokości krocza.

– Dziękuję – powiedziała wreszcie i odetchnęła z ulgą.

Victor uśmiechnął się ponownie, całkiem przekonany, że przeszedł inspekcję z wynikiem pozytywnym.

Rozdział szósty



Jeżeli klient nie pojawiał się w ciągu pierwszych czterdziestu ośmiu godzin bądź też wspominał, że czeka go niebawem zagraniczny wyjazd, Alicia uruchamiała standardową procedurę i ponownie wyruszała rowerem w trasę.

Dziewczyna szybko dojrzała. Już w wieku szesnastu lat miała fenomenalne ciało, oczy przypominające niemal przezroczysty bursztyn oraz ową złotą cerę, która sprawia, że karaibskie blondynki są równie (a niekiedy nawet bardziej) seksowne niż tamtejsze legendarne Mulatki.

Alicia zakochała się w swoim nauczycielu od wuefu, czarnoskórym mężczyźnie o ciele greckiego boga. Owładnięta pożądaniem, którego nie potrafiła już dłużej tłumić, praktycznie zmusiła go, by ją wziął na jednej z gimnastycznych mat.

Gdy o wszystkim powiedziała matce, Margarita rzuciła tylko: „Takie jest życie”. Jednocześnie zaś pomyślała: *Powinnam była wiedzieć, że prędzej czy później jej geny wezmą górę.*

– Lecz skoro już ci to pasuje, mogłabyś się przynajmniej czegoś nauczyć. Zatem słuchaj...

Od tego dnia, motywowana bardziej kobiecą dumą aniżeli matczyną miłością, Margarita wtajemniczała Alicię we wszystko, co sama umiała. A jako że córka nie była już dzieckiem, Margarita postanowiła wyznać jej prawdę o jej ojcu. Miewał liczne romanse, czym sprawiał Margaricie wielki ból. Bardzo kochała Hermana, lecz prędzej by szeszła, niż pozwoliła odebrać sobie godność, toteż zapewniła sobie kochanka, potem następnego i następnego. Gdy Hermán to odkrył, opuścił ją. Oświadczył, że to, co zrobiła, było niewybaczalne.

– A więc w jego wypadku wszystko było w porządku, a w moim niewybaczalne. Co za tupet! – wspominała wściekła, ze spojrzeniem utkwionym gdzieś w oddali.

Jeżeli zaś chodzi o podjętą parę lat później decyzję Alicii, by skupić się na rynku cudzoziemców i świadczyć usługi za przysługi, jak to zwykła bez owijania w bawełnę nazywać, Margarita miała czyste sumienie. Na pomysł wpadła Alicia. Była to jej autorska koncepcja. W chwili gdy ją stworzyła, miała już skończone dwadzieścia jeden lat, była więc pełnoletnia, i miała ciało kobiety, i to pod niektórymi względami o wiele dojrzałszej aniżeli jej matka. Jakby tego było mało, miała też *cojones*, których mógłby jej pozazdrościć każdy facet.

Nie, Margarita jako matka nie miała sobie nic do zarzucenia. Nie żałowała też, że udzieliła jej tak entuzjastycznej pomocy, gdy córka podjęła wreszcie decyzję. Alicia sama przyznała, że o ile tylko klienci nie byli nieprzyjemni, kurwienie się stanowiło świetną rozrywkę, wymagającą i stymulującą.

Co jeszcze mogła zrobić Margarita? W ramach wkładu w nowy interes rodzinny poświęciła nawet swój związek z Carlosem, najnowszym z kochanków, który pomieszkiwał z nimi od paru miesięcy. Doprawdy szkoda. Facet był dobry w łóżku, cichy, wystarczająco zakochany, by zrobić dla niej wszystko, co tylko mógł, a do tego nie zatruwał jej życia scenami zazdrości

czy zgraną śpiewką o niepoświęcaniu wystarczającej uwagi. Ale niczego sobą nie wnosił – stanowiłby jedynie przeszkodę.

Splawiła go więc bez słowa wyjaśnienia.

– To koniec! *Finito*, przeminęło z wiatrem. I tyle! Zabieraj swoje rzeczy i wynocha!

Rzecz jasna, w projekcie Alicii nijak nie dałoby się znaleźć miejsca dla Carlosa. Nie żeby Ali kiedykolwiek coś takiego powiedziała. Wiadomo jednak, że było to przedsięwzięcie wymagające całkowitego oddania, a skoro córeczka podjęła taką decyzję, cóż innego mogła uczynić Margarita, jak pozbyć się balastu i wesprzeć ją wszystkimi siłami? A nie było czasu do stracenia: ten jej tyłek, te cycki, ta cera dwudziestotrzylatki i temperament nie miały trwać wiecznie.

Cały plan istotnie opracowała Alicia – od numeru z prezentacją tyłka na rowerze po procedurę wykonawczą postępowania uwodzącego. Lecz Margarita wniosła ze swojej strony wiarę, wiarę żarliwą jak u Izabeli Kastylijskiej, wiarę, przez którą sprzedała ostatni klejnot, aby móc za dolary nabyć pierwszy rower.

– Teraz albo nigdy – skonstatowała Alicia, kiedy poszły zakupić pojazd.

– To wszystko jego wina – stwierdziła Margarita, mając na myśli byłego męża, po czym dodała ze wzgardą: – No i tego łysego kutasa Gorbaczowa, który wszystko spieprzył.

Gdyby Związek Radziecki nie upadł, na Kubie nie wprowadzono by stanu wyjątkowego, a Alicia mogłaby dokończyć studia. Z pewnością znalazłaby sobie odpowiedniego męża: kogoś z nomenklatury, technokratę, a może i artystę, o czym marzyła jeszcze w dzieciństwie.

Lecz w 1994 roku, gdy kryzys gnębił ich żołądki, ich stopy, a nawet ich umysły, uczucia patriotyczne Alicii osiągnęły granicę wytrzymałości, postanowiła zatem zostać kurwą.

– Tak, kurwą, kurwą, oczywiście, że jestem kurwą – podkreślała.

Gdy co noc wyłączano prąd, a codzienna racja pieczywa zmalała do jednej bułki na osobę, Alicia podjęła ileś uczciwych prób zdobycia bogatego

cudzoziemca, który mógłby wywieźć ją z kraju i zagwarantować egzystencję na poziomie, jakiego pragnęła. Stwierdziła, że życie ma tylko jedno, a upodobania kosztowne. Zamierzała więc wykorzystać to życie do zaspokojenia wspomnianych upodobań i uznała, że oto przyszedł najwyższy czas.

Dwa razy, w latach 1994 i 1995, jej uczciwe wysiłki niemalże się ziściły, aby w ostatnim momencie spełznąć na niczym.

Wówczas nadszedł ten dzień, gdy Alicia postanowiła zostać kurwą.

Dosyć przemówień! Kiedy tylko w telewizji dostrzegła Fidela, wyłączała odbiornik. Całą tę swoją pieprzoną moralność i równie pieprzone pryncypia mogli sobie wsadzić w dupę. Była kurwą, i już!

Margarita musiała się z tym pogodzić. Bo też co innego jej pozostawało? Z pewnością nie mogłaby córki powstrzymać. Koniec końców, zalewając się łzami, przyznała sama przed sobą, że gdyby tylko była dwadzieścia lat młodsza, postąpiłaby identycznie.

– Moje biedne dziecko...

– Gówno prawda. Jak masz się zalewać łzami, to leć do tego swojego kocioła.

Alicia i jej matka nigdy nie opowiadały się przeciwko Rewolucji.

Margarita urodziła się w 1948 roku. Pod koniec lat sześćdziesiątych uczyła się malarstwa w Akademii Sztuk Plastycznych San Alejandro, a następnie przez parę lat studiowała na uniwersytecie historię sztuki. Potem przyszło małżeństwo i okres podróży. U boku Hermana, mniej więcej dwadzieścia lat starszego pracownika Ministerstwa Handlu Zagranicznego, Margarita spędziła pięć lat w Belgii i trzy w Anglii. Wywodziła się ze starego i zamożnego hawańskiego rodu, lecz z miłości do Hermana, przystojnego i męznego patrioty i fidelisty, zerwała kontakty z bogatą rodziną, która wyemigrowała do Miami, i całkiem szczerze przyswoiła założenia Rewolucji – wszystko to, rzecz jasna, z bardzo komfortowej perspektywy, tym niemniej jej oddanie sprawie było szczerze.

Kiedy wraz z mężem zostali wezwani z powrotem do kraju, Margarita podjęła pierwszą pracę w muzeum. Przez ostatnich dziesięć lat pracowała w Ministerstwie Handlu Zagranicznego, początkowo jako sekretarka, później natomiast w departamencie protokolarnym.

W tym specyficznym, kosmopolitycznym środowisku Margarita czuła się jak ryba w wodzie, współpracując z gośćmi z zagranicy i dopilnowując szczegółów ich wizyt w Hawanie. Choć zawsze uważała się za rewolucjonistkę, kiedy w 1991 roku Hermán odszedł, jej patriotyzm i przekonania zostały wystawione na ciężką próbę.

Odtąd Margarita i Alicia utraciły znaczną część przywilejów, jakimi cieszyły się dzięki Hermanowi. Fakt, zostawił im dom w prestiżowej dzielnicy Miramar – dwie kondygnacje, pięć sypialni, ogród, podwórze, drzewa, garaż oraz stary motocykl Triumph, który przywieźli, wracając z Anglii (choć od czasu, gdy przed dwoma laty spalił mu się silnik, stał nienaprawiony).

Kiedy więc przez kilka dni żaden klient nie zaprzętał jej uwagi, Alicia wyciągała rower i ruszała na łowy. Jeśli polowanie nie szło, pedałowiała siedem dni w tygodniu, od dziesiątej do południa i od czwartej do szóstej. Jej technika była jedyna w swoim rodzaju, a przy tym skuteczna.

Na dowód wystarczy wspomnieć, że w ciągu zaledwie paru miesięcy od rozpoczęcia działalności zdążyła otrzymać cztery poważne propozycje stabilnych związków za granicą: Panama, Argentyna, Niemcy i Włochy. Panamczyk był bardzo majątny i przystojny, zarazem jednak był despotą z wypisaną na twarzy przynależnością mafijną. Niemiec okazał się jeszcze bogatszy, lecz o wiele za stary i nazbyt dziwaczny nawet jak na jej szeroki margines tolerancji. Argentyńczyk z kolei był typowym synkiem dzianych rodziców, nieco szurniętym, z ogromnym spadkiem i dużą firmą, przy tym jednak niedojrzałym i zdecydowanie zbyt wymagającym. Z całej czwórki Alicia zdecydowałaby się na Włocha, ale nie miał znowuż tyle pieniędzy, był o wiele za gruby, a na dodatek nieco głupkowaty.

Rower krążył dalej.

Rozdział siódmy



W pomieszczeniu, które wyglądało jak po przejściu huraganu, znajdowało się mnóstwo rozmaitych sprzętów. Wkoło zalegało kilka zasilanych prądem wentylatorów, kuchenka elektryczna, lodówka, parę gitar, dwa rowery oraz jeden stary motocykl.

Margarita, ubrana w fartuch i gumowe rękawice, torowała sobie drogę pośród urządzeń, unosząc nogi niczym brodząca w wodzie czapla. Przystanęła i pobieżnie przyjrzała się etykietce dużego klimatyzatora.

– To Westinghouse. Mogę go wam odstąpić za tysiąc.

Podchodzący pod pięćdziesiątkę Mulat w koszuli w kwiaty, ze złotym łańcuchem na szyi, słomkową wersją kapelusza tyrolskiego (z piórkami i całą resztą) na głowie oraz grubym czarnym cygarem wciśniętym między zęby wyrzucił ręce w górę, jakby prosił o zmiłowanie.

– A ten możecie kupić za osiemset.

– Toż to zdzierstwo, Margarito. Przypierasz nas do muru.

– Właśnie, kochaniutka – włączył się młody blondyn o atrakcyjnej sylwetce. – Daj nam rabat. Uwolnimy cię od obydwu tych skrzynek.

Margarita, pewna swej znajomości rynku, odpowiedziała możliwie przyjaznym tonem.

– Mowy nie ma, serdeńko! Tysiąc osiemset za dwa to okazja, więc bierzecie albo nie mamy o czym gadać.

Słyszając niemożliwy do pomylenia z niczym chrzęst opon na żwirze, Margarita wyrzała przez jedno z okien, aby zobaczyć, kto przyjechał.

– Cholera! Alicia przyprowadziła gościa, a ja niczego nie przygotowałam...

Pognała do salonu, podniosła gitarę i włożyła ją do szafy. Następnie otworzyła szufladę i wyciągnęła standardowy zestaw zdjęć, w tym jeden akt Alicii, i uważnie rozłożyła je z pozorną niedbałością na okrągłym stoliku w

rogu pokoju. Sprawdziła zaopatrzenie barku, unosząc bursztynowe butelki pod światło, aby zobaczyć, czy nie są puste, i popędziła do kuchni.

Otworzyła lodówkę, wyciągnęła parę piw i przełożyła je wraz ze szklankami do zamrażalnika. Wyjęła ze środka kilka wielkich krewetek i wstawiła je do mikrofalówki. Wreszcie otworzyła mały plastikowy pojemnik, wrzuciła zawartość do rondla i ustawiła kuchenkę na wolny ogień. Zakończywszy przygotowania, podbiegła z powrotem do okna, wyrzała zaniepokojona na podjazd, mamrocząc coś pod nosem.

Gdy powróciła do obu czekających na nią mężczyzn, Mulat kończył właśnie przeliczać pieniądze.

– Dobra, tu masz tysiąc osiemset. Ile chcesz za motor i lodówkę?

– Nie dawaj mi teraz pieniędzy, nie mam nawet czasu, by je przeliczyć. Przyjdźcie później po południu albo jutro rano. Tak, lepiej jutro rano. A teraz zmywajcie się tylnym wyjściem, tylko nie naróbcie hałasu.

Kupcy wyszli, a Margarita zamknęła drzwi od podwórza. Zaciągnęła zasłony, zdjęła rękawice i fartuch. Następnie, prostując się, wzburzyła włosy, rozprostowała ramiona, uniosła podbródek i z postawą wspaniałej damy ruszyła otworzyć drzwi. Przechodząc przez salon, zerknęła do lustra, po czym – usatysfakcjonowana swoim odbiciem – podążyła do wejścia.

Margarita otworzyła drzwi i ujrzała Alicję akurat w momencie, gdy Victor wyciągał rower z bagażnika. Dziewczyna złapała za kierownicę i podeszła ku matce z feralnym pedałem w dłoni. Kiedy weszła do niewielkiego ogródka obok drzwi wejściowych, matka rozpoczęła zwyczajową litanię utyskiwań.

– Mówiłam ci, że przez ten szmelc zdarzy się nieszczęście.

Powinnaś wywalić to barachło i poprosić ojca, by kupił ci skuter.

– Mamo, to jest Victor... Victor, moja matka.

– Proszę, Mel Gibson – rzuciła Margarita, nie zwracając właściwie większej uwagi na przybysza. – Jesteś po prostu zbyt uparta. Ile razy będę ci jeszcze musiała powtarzać...

– Mamo, proszę, już wystarczy – zaprotestowała Alicia.

– Niech mi pan wybaczy brak manier, zapraszam do środka – powiedziała, a zwracając się ponownie do Alicji, dodała: – Ale naprawdę musisz poprosić ojca...

– Mamo, bardzo cię proszę, zamknij się wreszcie, do jasnej cholery! – I teraz sama zwróciła się do Victora: – Ciągle nalega, by ojciec kupił mi skuter, przecież to nie jest takie proste!

Gdy klient był w pobliżu, Alicia świadomie ozdabiała swoje wypowiedzi paroma wulgaryzmami. Dwie eleganckie kobiety umiejące we właściwym momencie zakląć sprawiały wrażenie wyzwolonych, liberalnych i *chic*, wydawało się, że są ponad otaczającą je rzeczywistość. Żadna poczciwa kobieta skromnego pochodzenia nie pozwoliłaby sobie na przekleństwo w obecności kogoś, komu starała się zaimponować. Ci zaś cudzoziemcy, przyzwyczajeni już do uległości prostytutek w Trzecim Świecie, postrzegali swobodne używanie wulgaryzmów przez te dwie Kubanki jako coś zaskakującego i w istocie fascynującego.

– Nie jest pan Kubańczykiem, prawda?

– Nie, señora, jestem Kanadyjczykiem.

– Ależ po hiszpańsku mówi pan idealnie. Gdybym miała zgadywać, wzięłabym pana za Meksykanina.

Przeszli do salonu.

– Zgadza się, proszę pani. Przez wiele lat mieszkałem w Meksyku, który uważam za swoją drugą ojczyznę.

– Jakże panu zazdrozczę! Niech no sobie przypomnę, mój mąż niegdyś...

– Mamo, może historię swego życia opowiesz przy innej okazji?

Lepiej zaproponuj naszemu gościowi coś do picia. Mnie trzeba piwa. W gardle mi tak wyschło, że aż boli.

To powiedziawszy, Alicia zniknęła w kuchni.

– Proszę się rozgościć – zaprosiła Margarita, wskazując na przepastny fotel ustawiony przy stoliku z nagim zdjęciem córki. – Czego się pan napije?

Coś bez alkoholu? Czy raczej coś mocniejszego?

Victor miał kłopot z podjęciem decyzji.

Margarita spojrzała na barową półkę i doprecyzowała, jak gdyby chodziło o coś najzwyczajniejszego pod słońcem:

– Rum, koniak, whiskey, wódka, gin, piwo?

Nie wiedziała, czy gość zdaje sobie sprawę z faktu, jak niewiele jest domostw na Kubie, gdzie młode damy jeżdżą na chińskich rowerach, a dom ma do zaoferowania taki wybór trunków.

– Dla mnie też piwo. Dziękuję pani.

Podczas gdy obydwie domownicy krzątały się w kuchni, Victor przyglądał się szczegółom wystroju salonu: meble z epoki, oryginalne obrazy olejne najlepszych kubańskich malarzy, eleganckie zasłony, wysmakowane bibeloty.

Alicia powróciła z dwiema butelkami piwa i dwiema szklankami na tacy.

W tym momencie Victor dostrzegł fotografię, którą pisane mu było zauważyć. Zmarszczył na chwilę brew, po czym się uśmiechnął.

– Niech mnie szlag, jeśli to nie ty.

Trzymając zdjęcie na wyciągnięcie ręki, przypatrzył mu się uważnie.

– Tak. To zdjęcie obrazu – powiedziała i roześmiała się, otwierając obiebutelki i szykując się do przelania ich zawartości do szklanek.

– Mnie wystarczy w butelce, dzięki. A więc powiadasz, że to obraz?

Alicia przełknęła spory łyk, odetchnęła z satysfakcją, ostrożnie odstawiła piwo i wyciągnęła dłoń w kierunku Victora.

– Obraz jest na górze. Jeśli chcesz, pokażę ci.

Victor wziął butelkę i pozwolił zaprowadzić się na piętro. Nie przestawał zachodzić w głowę – kim jest ta dziwna młoda kobieta? Zachowywała się tak prostacko (kopała „ten cholerny rower”, mówiła do matki „zamknij się” i tak dalej), a zarazem zdradzała pewne dystygowanie. Podobnie i matka... nieco szurnięta, lecz bez dwóch zdań kobieta z klasą.

W drodze do domu Alicia cały czas skarżyła się na komunikację miejską w Hawanie, opowiadała, jak bardzo męczy ją konieczność przemieszczania

się okazją („na jakich świrów można się natknąć!”), i relacjonowała niekończący się dramat ciągłych awarii roweru.

Na ścianie wzdłuż schodów wisiało ileś płócien, w tym niezwykle kolorowy portret koguta bojowego, przywołujący na myśl obrazy Mariano Rodrigueza. Czy to możliwe, by był to oryginał?

Po wejściu do zaniedbanego pokoju – z niezaścielonym łóżkiem, biurkiem zawalonym papierami i instrumentami – Victor oniemiał na widok wielkiego aktu Alicii, który podziwiał już na fotografii.

– Hm, coś wspaniałego – zauważył, dotykając płótna i przebiegającopuszkami palców po jednym z sutków.

Alicia konspiracyjnie zachichotała.

– Ja tylko starałem się wyczuć fakturę farby – zaprotestował, markującprzeprosiny. – Namalowano to na Kubie?

– Tak – odparła z roztargnieniem, szukając czegoś w jednej z szufladbiurka.

Pół godziny później – zapoznawszy się z drugim obrazem w przylegającym pokoju z lustrami, dowiedziawszy się, że Alicia nie specjalizuje się w malarzach, ale w mężczyznach nader przystojnych, poczuwszy na ramieniu muśnięcie owych oszałamiających piersi, ostrożnie pogłaskawszy zezowate psisko z piekła rodem, wysłuchawszy piosenki Marty Valdes w wykonaniu Alicii oraz bolera *Dos gardenias para ti* zaśpiewanego przez Margaritę, skosztowawszy krewetkowej enchilady, z uśmiechem przyjąwszy nieuniknione komentarze na temat swego podobieństwa do Mela Gibsona i akcentu Cisco Kida, opowiedziawszy o swych narodzinach w Kanadzie, dwudziestu pięciu latach spędzonych w Meksyku i studiach w Stanach Zjednoczonych, wypiwszy kolejne piwo, pożegnawszy się z Margaritą (która – „o Matko Boska!” – niemal spóźniła się już na wizytę u dentysty) i usłyszawszy, że powinien czuć się jak u siebie w domu – Victor otrzymał pierwszy pocałunek, długi, wilgotny i rozpalający.

Alicia wyczuła, jak natychmiastowo napęczniał, i nie przerywając pocałunku, z pomocą dłoni subtelnie upewniła się co do jego gotowości.

Spojrzeniem i delikatną zmianą pozycji wyraziła aprobatę i zaczęła rozpinąć bluzkę. Lecz Victor łagodnym gestem powstrzymał jej ruchy i powoli z powrotem zapiął guziki.

– Nie teraz. Te raki tylko pobudziły mój apetyt. Odkryłem wczoraj nową restaurację...

– *I'm sorry* – odparła po angielsku. – Ale nie mogę. Jeszcze dzisiejszego wieczoru muszę znaleźć mechanika, który naprawi mi rower, abym mogła jutro pojechać na zajęcia. Inaczej będę zmuszona w obie strony łapać stopa.

Victor wyciągnął z portfela kilka dwudziestek i usiłował położyć je na stole.

Alicia spojrzała na niego posępnie.

– Mógłbyś być tak łaskaw i mi to stąd zabrać? Ja nie biorę od nikogopieniędzy! Za kogo ty mnie masz?

Victor sprawiał wrażenie zupełnie zdezorientowanego.

– Wybacz. Nie chciałem... Chciałem tylko, byś miała na nowy rower...wtedy moglibyśmy pójść dzisiaj na kolację.

– Posłuchaj mnie uważnie: w tym kraju godność to jedyne, co nam jeszcze zostało.

I podczas gdy Alicia recytowała z pamięci wstęp do swej etycznosentymentalno-rewolucyjnej tyrady, Victor uniósł dłonie w geście kapitulacji, wsunął portfel z powrotem do kieszeni i delikatnie przyłożył palce do jej ust.

– Dobra, niech będzie. Podziwiam twoją postawę, ale pozwól chociaż, że zabiorę cię na kolację.

– Do restauracji też nie pójdę. Czułabym tylko smutek i wstyd przed sobą samą.

– Nie rozumiem!

– Oczywiście, że nie rozumiesz. Spadłeś z księżycyca... – odparła i z proszącym spojrzeniem płaczącego kocięcia wytłumaczyła: – Czy nie zdajesz sobie sprawy, że za pieniądze, które wydałbyś na moją kolację,

kubańska rodzina mogłaby jeść przez trzy miesiące? To tak niemoralne, że jedzenie utkwiliby mi w gardle...

– A zatem przyjdź do mnie i pozwól, że sam ci coś przygotuję.

Potem weźmiemy rower i podwiozę cię do mechanika.

Alicia spojrzała na niego, w zamyśleniu przygryzając wargę.

– Dalej, zaryzykuj. Ja naprawdę całkiem nieźle gotuję. Jestem pewien, że będziesz zadowolona.

Posłuszna podświadomym rozkazom własnego losu, tego popołudnia Alicia złamała jedną z kardynalnych zasad: nigdy nie sypiać poza domem.

Odkąd postanowiła poświęcić się swemu nowemu powołaniu, jeszcze nigdy nie nocowała poza domem. Zarazem jednak jeszcze nigdy żaden trzydziestosiedmioletni Mel Gibson nie proponował, że coś dla niej ugotuje.

Rozdział ósmy



Van Dongen malował, a jego kinolem wstrząsały drgania. Malował z pasją, nachylony nad sztalugą pokrywał farbą węglowy szkic przedstawiający od tyłu blondynkę na rowerze. Kobieta miała na sobie szorty, które były nieco za krótkie i nieco zbyt obcisłe. Szkic uwydatniał trud, z jakim pedałowiała na zdecydowanie za wysoko umocowanym siodełku. Dziecięcy urok tych wysiłków kontrastował jednak z nieprzyzwoitym kołysaniem – zbyt nieprzyzwoitym, by wykorzystać go w reklamie, i niewystarczająco nieprzyzwoitym jak na plakat pornograficzny, aczkolwiek ruchy bioder i wynikające z nich wypięcie tak wspaniałego tyłka mogłyby przyciągnąć sporą widownię do któregoś z kin specjalizujących się w „ekscytujących” produkcjach.

Zarazem jednak szkicowi nie brakowało poetyki. Wokół przedstawionej postaci artysta rozmieścił triumfalne girlandy liści wawrzynu i mirtu

Afrodyty, tworząc z nich aureolę zwieńczoną u szczytu lirą w charakterze spinki. Wokół tyłka w kształcie serca śmigają zaś małe cherubinki.

Z zamyślenia wyrwał van Dongena odgłos przekręcanego w zamku klucza. Malarz z uśmiechem zwrócił się ku drzwiom. Stała w nich Carmen, przedstawicielka szczególnej mieszanki pierwiastków europejskich, afrykańskich i azjatyckich, którą Kubańczycy zwą *mulata china*. Rysy miała szlachetne, a gdy obróciła się, by zamknąć drzwi, linia jej harmonijnie rzeźbionych nóg zdradzała, że pięć lat i dwa i pół kilograma temu bliska była fizycznej doskonałości. Carmen miała około trzydziestu lat – nie była już idealna, lecz wszelkie niedoskonałości z nawiązką kompensował jej magnetyzm.

Van Dongen zakrył oburącz nos, a Carmen obeszała go i ucałowała w kark.

–Więc co takiego nie mogło poczekać jeszcze kilku godzin?

Musiąmpowiedzieć, że zachorowała mi matka, i poprosić inną pielęgniarkę, by popilnowała mojej sali do końca zmiany.

Wstał, przytargał z drugiego końca pokoju stary rower stacjonarny i ustawił go obok sztalugi.

–Rozbierz się i wsiadaj.

Popatrzyła na niego przez dłuższą chwilę, po czym się uśmiechnęła. Zdjęła pielęgniarski czepek i zrobiła parę kroków w tył, by spojrzeć gospodarzowi w oczy. Ten ponownie usiadł i zakrył nochal. Wykrochmalony fartuch pielęgniarki opadł niczym skorupa z masy perłowej. Biała bielizna niemalże fosforyzowała na tle jej złocistobrązowej skóry.

–A więc co to za nowe zбочzenie, kochanku?

–Śniło mi się, że widziałem cię nagą na rowerze, ot i tyle.

Carmen podeszła bliżej. Głaszcząc swoje włosy, przyglądała się obrazowi z rosnącą podejrzliwością.

–Hm, jak na mnie ten tyłek jest zdecydowanie za jasny. Jesteś pewien, żeto ja ci się śniłam?

– Tak, to byłeś ty, ale światło w moim śnie było takie silne, że wręcz zainspirowało mnie do skomponowania piosenki. A teraz wsiadaj na rower i pedałuj.

– Nie, nie lubię działać tak znieścacka. Zagraj mi tę swoją melodię, a nuż się nieco rozochocę.

Jan wstał i podszedł do szafy. Otworzył szufladę i wyciągnął czarną maskę, która zasłaniała wszystko oprócz oczu i ust. Z maską dokładnie okrywającą twarz zaczął grać.

W miarę zaś jak grał, kołysał ramionami i torsem z nadspodziewaną gracją.

Rozdział dziewiąty



Nie redukując nawet prędkości, Victor wycelował pilotem w długą bramę z siatki, która zaskakująco szybko stanęła otworem. Chevrolet wyminął kolejno ogród połączony z tarasem, podwyższoną werandę, tropikalne drzewa, zadbane trawnik i donice pełne wypielęgnowanych kwiatów. Wybrukowanym podjazdem przejechali jeszcze około pięćdziesięciu metrów.

Gdy zbliżyli się do garażu, Victor ponownie użył pilota.

– Sezamie, otwórz się – rzuciła Alicia.

Wewnątrz garażu, czekając na domknięcie się bramy, wymienili jeszcze jeden długi pocałunek.

Na życzenie Victora Alicia nie przebrała się ze spodenek rowerowych i przez całą drogę do wiejskiej rezydencji jechała z zupełnie odstoniętym biustem. Gdy okrążali rotundę obstawioną figurkami nazywanymi przez miejscowych *Las Muñecas*, uklękła na siedzeniu i zaczęła sterczącymi sutkami muskać go po skroni.

Poczuł, jak włosy stają mu dęba, i przycisnął palce do jej ust.

Pojąwszy w lot, o co mu chodzi, zaczęła lizać go po opuszkach.

Kiedy palce miał już należycie zwilżone, zaczął gładzić ją po sutkach.

Przystając co chwila na pieszczoty, dotarli wreszcie do domu.

– Jak widzisz – zauważył Victor, gdy przechodzili przez niewielki hall prowadzący z garażu do kuchni – nikt nie zobaczył, jak wchodzimy, nikt też nie zauważy, gdy będziemy wychodzić.

W salonie przywitała ich zielona poświata, która zdawała się dobywać spod podłogi. Victor nacisnął guzik i rozsunał panele, ku zdumieniu Alicii ujawniając, że blask istotnie pochodził spod podłogi, gdzie – równo na środku wielkiego pomieszczenia bogato ozdobionego nowoczesnymi meblami – znajdował się miniaturowy stawik z prowadzącymi do niego trzema schodkami. W jednym z narożników oczka wodnego spod wykładających je kamieni tryskała fontanna. Nadmiar wody spływał krętym strumykiem, który przecinał salon po przekątnej. Przejrzyście zielona woda przebiegała pod przezroczystymi kafelkami podłogi między szpalerem zasadzonych w smugach światła drzewek bonsai, by zniknąć na przeciwnym końcu pomieszczenia.

Alicia stała zafascynowana.

- Nigdy czegoś podobnego nie widziałam!

Wyjątkowo duża ściana do wysokości metra osiemdziesięciu wyłożona była lustrami. Natomiast ściana przeciwna stanowiła bibliotekę, od podłogi po sufit zastawioną książkami. Na wystrój pokoju składały się również obrazy abstrakcyjne, parę asymetrycznych waz, ogromna czarno-biała fotografia, znacznych rozmiarów rzeźba z jadeitu oraz nieco mniejszy posążek z marmuru.

Wszystko za wyjątkiem waz było abstrakcyjne. Fotografia i rzeźby nie przedstawiały sobą żadnej figuratywnej treści, aczkolwiek można było z nich wyczytać kształty i starania aktów miłosnych.

- Chodź, oprowadzę cię po domu.

Na piętrze znajdowały się trzy sypialnie, każda z przylegającą łazienką oraz sauną, a oprócz tego salonik i taras. Na dole, poza salonem z oczkiem wodnym, mieściła się jadalnia połączona z przestronną kuchnią (wyposażoną we wszelkie wyobrażalne urządzenia), studio oraz kolejna sypialnia – a to wszystko również z osobnymi łazienkami.

-Rany! Mógłbyś tu urządzić balangę i na pięćdziesiąt osób!

Kiedy wrócili do salonu, Victor pootwierał okna wychodzące na kolejny zadbany trawnik ze wznoszącymi się tu i ówdzie starymi drzewami oraz widocznym w oddali basenem. Gdy Alicia wychyliła się, by nacieszyć oczy pięknym ogrodem, Victor dotknął czegoś na jednej z górnych półek biblioteki i dało się słyszeć muzykę.

Pomieszczenie wypełniła *guaracha*.

Alicia stanęła przed lustrem i rozpoczęła prowokacyjny taniec. Victor podszedł do niej od tyłu i objął w talii.

Odwróciła się i zmusiła go, by z nią zatańczył, co też uczynił ze znacznie większą płynnością aniżeli gros ludzi urodzonych na skutej mroźnej Północy.

– Cóż – oceniła – całkiem nieźle czujesz rytm, ale i tak ruszasz się nieco sztywno, a do tego nie masz zielonego pojęcia o tym, jak się tańczy *guarachę*. Patrz na mnie.

Pięć minut później zniecierpliwiony pociągnął ją ku rozłożystej kanapie w jednym z kątów pokoju. Ona jednak wołała nakrytą dywanem podłogę. Uparła się, by go dosięść i nauczyć, jak się tańczy *guarachę*.

Rozłożony na wznak i ujeżdżany przez doświadczoną amazonkę Victor w mig wyzbył się resztek nieskoordynowania i zaczął kołysać biodrami.

Do czasu pierwszego orgazmu tego wieczoru zdążył osiąść ducha i koloryt *guarachy*, jak gdyby urodził się w którymś z zakątków Starej Hawany.

Ku wielkiemu zaskoczeniu Alicii wyciągnął nagranie sporządzone przy użyciu ukrytej kamery. Zdołał z jej pomocą uchwycić samą istotę rytmicznej *wołyżerki* w narożniku salonu.

– Nie ma mowy, draniu! Na to się nie zgodzę! – zaprotestowała.

– Tylko spokojnie. Jeśli miałbym jakiegokolwiek nieczne zamiary, to przecież nie ujawniłbym ci istnienia tej taśmy. Chodzi o to, że przyglądanie się seksowi jest dla mnie niemal tak ważne jak uprawianie seksu i naprawdę chciałbym się z tobą jeszcze kochać, napawając się przy tym widokiem twojego roztańczonego tyłka trzęsącego się na mnie w rytm muzyki.

Alicia właściwie mogła to zrozumieć. Nie była co prawda do końca przekonana, ale rzeczywiście, brzmiało to sensownie.

Obiecał, że gdy tylko skończą, odda jej kasetę albo ją zniszczy.

Wkrótce, rozkoszując się „Pocałunkiem węża boa” (scenariusz i reżyseria: Alicia), Victor począł delikatnie rozwierać jej tylne wrota za pomocą wprawnych manipulacji palcami.

Wiedząc, co się zbliża, Alicia przerwała dotychczasową czynność i wykrzywiła buzię w dziecinnym grymasie.

– Ty dupożerna bestio!

Gdy była już wystarczająco rozwarta, wciągnął prążkowaną prezerwatywę i istotnie obrał węższy ze szlaków (jak to zwykli określać starożytni Rzymianie), nie odrywając spojrzenia od nagranych filmu.

Dzięki jego fachowym przygotowaniom w ogóle jej to nie bolało, a oglądane nagranie jej własnego tyłka i kibici w działaniu sprawiło, że poczuła w pochwie pulsującą rzekę gorąca. Nigdy wcześniej nie zaznała takiego podniecenia i po raz pierwszy w życiu osiągnęła orgazm w tej pozycji, której zazwyczaj unikała i na którą zgadzała się jedynie w ostateczności.

Narcyzm? Być może. Ale z pewnością było to dla niej nowe doświadczenie!

Perwersja? Możliwe! Ale cóż za wyborna jej odmiana.

Wreszcie udało jej się znaleźć mężczyznę, który miast czczych przechwałek był w stanie ją czegoś nauczyć.

Kiedy więc Victor ściągnął prezerwatywę i wbił się w jej waginę, nie tracąc tempa i nie zmieniając pozycji, Alicia pogrążyła się w długotrwałym,

konwulsyjnym orgazmie, któremu towarzyszyły ciche, urywane krzyki. Następnie, kiedy tak ciepło wlał się aż do jej macicy, dała się ponieść do końca i złączyła się z Victorem w crescendo pchnięć i jęków, idealnie współgrając z ciałami podrygującymi na ekranie odtwarzacza.

Gdy odzyskała panowanie nad sobą, Victor leżał na plecach i palił papierosa. Sięgnął do magnetowidu, wysunął kasetę i oddał jej. Zaspokojona, uśmiechnęła się ospale.

– Wiesz co, jeszcze parę lekcji i z twoim wrodzonym wyczuciem rytmu będziesz umiał doprowadzić do szaleństwa niemal każdą Kubankę.

– Nie obchodzi mnie poczucie rytmu czy doprowadzanie do szaleństwa. Obchodzisz mnie ty.

Spojrzała na niego miło połączona.

Była o krok od rzucenia mu się w ramiona, jednakże zdołała powstrzymać się przed tym bezprecedensowym odruchem. Poczowała strach.

Miała jednak w sobie na tyle rozsądku, by wziąć kasetę i schować ją do torebki.

Rozdział dziesiąty



– Znaczy w tym momencie? Nic! Tylko rozmawiam z tobą i obcinam sobie paznokcie. Nie, u stóp. Jasna cholera, mam, przestaniesz zadawać durne pytania? Tak! To jakaś, kurde, rezydencja. Wszystko. Nawet sadzawkę w salonie. A skąd mam wiedzieć? Mowy nie ma! Wszystko jest supernowoczesne. Same przyciski i przełączniki. Tak, to wszystko jego. Nie, ten drugi dom to bliźniak – dla szefa Victora i dla gości firmy. Victor też się tam przenosi, gdy przyjeżdża jego żona. Tak, wspominał o niej, ale tylko mimochodem, jak gdyby chodziło o coś zupełnie naturalnego. To żaden

problem, mamó – wiesz, że nie jestem zazdrosna. Nie, ona jest teraz w Europie, ale niebawem znowu przyjedzie. Tak, kilka razy w tygodniu przychodzi pokojówka, która porządkuje obydwa domy. Victor? Albo je na mieście, albo gotuje sam. Naprawdę wielki z niego smakosz. Tak, mówi perfekcyjnie, ale z dziwnym akcentem. Co ja tam wiem? Mówi, że tak gadają w Quebecu. Tak, spędził jakieś pięć lat w Montrealu. Nie, nie byłam w tym drugim domu, ale Victor opowiadał, że ma tam własny kort do squasha i rodzinną saunę. Alberto? Jasny gwint, zupełnie zapomniałam, że przychodzi... Nie, czekaj, jeśli znowu zadzwoni, powiedz mu, że jestem w samym środku egzaminów na uczelni, zatrzymałam się w domu znajomej na wsi i aż do soboty nie zdołam się z nim zobaczyć... Nie, nie, wszyscy moi znajomi wiedzą, że się wściekam, gdy ktoś przerywa mi naukę. Tak jest, zaproś go na kolację w sobotę. To samo zresztą powiedz Otto i niech zadzwoni do mnie w niedzielę po południu. Nie bądź śmieszna, mamó, nie masz się czym martwić. Wiem, jak się z takimi typami obchodzić. Im mniej czasu im poświęcasz, tym bardziej się napalają... Ten? Dopóki jestem z nim, nie chcę się widzieć z żadnym innym. No jasne, mamó – to najlepszy, jaki mi się trafił, a do tego najlepszy w łóżku, silny i pomysłowy. Tak, o parę długości. Jest przystojny, sympatyczny i fantastycznie gotuje... Nie, poszedł akurat do drugiego domu... Co? Matko! Ha, ha, ha. Niech to szlag, jesteś, mamó, gorsza ode mnie. Tak, uwielbia moje lekcje tańca i mówi, że chce mnie dzisiaj wieczorem zabrać do Palacio de la Salsa. Nie! Nikt mnie tam nie pozna. Zresztą Alberto i Otto nie bywają w takich miejscach. W żadnym razie! Jego żona ma tu całą kolekcję peruk. Victor? Przecież mówiłam, że poszedł do domu obok po drewno, bo chce zrobić na grillu pieczeń. Ależ, mamó, ile razy mam ci to jeszcze powtórzyć? Nie! Nie miałam jeszcze lepszego niż on. Ale jest jedna sprawa, która mnie martwi. Sęk w tym, że za bardzo go lubię. Co chcę przez to powiedzieć? Chcę powiedzieć, że za bardzo go lubię. Że od zawsze marzyłam, by spędzić resztę życia z facetem takim jak on, a teraz przeraża mnie, że mogę się w nim zakochać. Byłabym wówczas zupełnie bezbronna.

Rozdział jedenasty



Victor szybkim krokiem wszedł do bliźniaczej posiadłości w Siboney, nie przez dom z sadzawką w salonie, do którego zabrał Alicię, lecz przez główne drzwi drugiego z budynków.

- Hej, Elizabeth! Gdzie jesteś?

Zdjął marynarkę, po schodach dostał się na piętro. Otworzył drzwi i wkroczył w półmrok rozległego pomieszczenia z pozaciąganyimi kotarami. Jedyne źródło światła stanowiła niebieskawa poświata w rogu pokoju, gdzie do nieistniejących odbiorców wdziały się ekran telewizora.

Na łóżku, pod stertą jedwabnych kołder i prześcieradeł, zalegała bezkształtna masa. Jedynie długie blond włosy zdradzały, że masa ta zwrócona była plecami do wejścia.

Obok łóżka stała popielniczka pełna niedopałków, na podłodze zaś opróżniona do połowy i odkręcona butelka wódki. Victor przysiadł na brzegu łóżka i delikatnie potrząsnął ramieniem śpiącej kobiety.

- Elizabeth?

Bez odpowiedzi.

Victor obmacał stertę pościeli, starając się odszukać pilota. Na ekranie telewizora widniała końcowa plansza filmu dla dorosłych.

Victor wyłączył telewizor, odłożył pilota na łóżko, po czym odsłonił jedną z kotar, wpuszczając do pokoju światło. Zbliżył się do kokonu z kołder i półgłosem powiedział Elizabeth do ucha:

- Dobre wieści, Eli. Wygląda na to, że znaleźliśmy laskę, o jaką namchodziło.

Nadal na pół nieprzytomna, przeturlała się na drugi bok. Oślepiąca przez wdzierające się światło osłoniła oczy prześcieradłem i schowała twarz między nogami Victora.

- Jesteś pewien? – zapytała ochryplym i niezdrowym głosem.

- Pewien. Właśnie kogoś takiego nam trzeba. Za parę dni zobaczysz ją wakcji.

Rozdział dwunasty



U wybrzeży Cayo Largo nurek nagrywał na wideo rafę koralową. Był wyposażony w akwalung i korzystał ze standardowej kamery na taśmę ośmiomilimetrową.

W miarę jak powoli wy pływał ku powierzchni wody, skadrował końcowe panoramiczne ujęcie rafy i ryb we wszelkich możliwych kolorach na tle białego piaszczystego dna szelfu karaibskiej wyspy.

Nagle operator przerwał wynurzenie i skierował obiektyw ku górze, robiąc zbliżenie na pływaczkę bez stanika posuwającą się raz stylem grzbietowym, raz kraulem. Wznoszący się nurek zaskoczył ją; przez chwilę bawili się we dwójkę, po czym zanurzył się dokładnie pod nią, aby płynąć odtąd unisono.

Razem – on u dołu, płynący w tył, ona zaś u góry, posuwająca się naprzód – wykonali wodny układ choreograficzny, jakiego nie widziano na żadnym pokazie pływackim świata. Gdy nurek wreszcie wyszedł na powierzchnię, obydwójce skierowali się ku łodzi, na której dziobie widać było brązowy napis: RIEKS GROOTE.

Członek załogi spuścił sznurową drabinkę z drewnianymi szczeblami. Marynarz przechylił się przez reling i odebrał płetwy oraz butle z tlenem. Kiedy nurek ściągnął maskę, oczom wszystkich ukazał się nochal van Dongena.

Carmen pozostała w wodzie, na powierzchni utrzymując jedynie głowę i ramiona. Krystalicznie czysta toń, miast skrywać jej piękne ciało, przydawała mu magicznej efemeryczności.

Gdy van Dongen wspinał się po drabince, spytała:

- Co właściwie znaczy Rieks?
- To zdrobnienie od imienia Hendryck.
- A więc Groote nazwał jacht na cześć samego siebie?

Jan obrócił się na drabince.

– W pewnym sensie. Łódź w rzeczywistości zawdzięcza imię jego dziadkowi, ale ten również nazywał się Hendryck. W sumie więc na jedno wychodzi.

Wdrapawszy się na pokład, van Dongen podniósł ręcznik i gdy Carmen z cudownie swobodnym biustem wysunęła się ponad reling, okrył ją. Otulona dokończyła swoją wspinaczkę.

- Stary Rieks był wielkim miłośnikiem żeglarstwa.

Z rufy odezwał się tajemniczo uśmiechnięty chiński kucharz.

- Mam podawać śniadanie?
- Dziękuję, Chang, ale jeszcze nie teraz. Za jakieś pół godziny będzie jak znalazł.
- Jak to za pół godziny? Umieram z głodu.
- Najpierw mam ochotę na śniadanie w wersji eko.

Carmen roześmiała się i chwyciła go za rękę.

- Że też o tym nie pomyślałam!

Ramię w ramię przeszli przez salonik do głównej kajuty. Z owiniętym wokół szyi ręcznikiem, śmiejąc się radośnie, Carmen usiadła na niskim stołku i skrzyżowała nogi.

Jan otworzył torbę, wyjął z niej czarną maskę i zaczął ją wkładać.

Carmen rozłożyła brzegi ręcznika, oparła pięści na biodrach i uniosła klatkę piersiową, eksponując biust. Gdy ukląkł obok, by ją pocałować, powstrzymała go, kładąc dłoń na jego ustach, i w wyczekiwaniu nadchodzących rozkoszy zamknęła oczy.

- A może tak dzisiejsze śniadanie skonsumowałbyś bez maski?

– Jan van Dongen uniósł ramiona, a potem pozwolił im opaść w geście poddania i bezsilności.

– Nie proś mnie o to, Carmen. To byłoby nieszczęście. Bez maski jestem skończony.

Rozdział trzynasty



Alicia miała na sobie białą sukienkę, która swobodnie opływała jej ciało. W kłębach pary wynurzyła się z aluminiowo-szklanej kabiny i usiłując jednocześnie ściągnąć czepek kąpielowy, pognąła do kuchni, aby wyłączyć włoski ekspres do kawy.

Przygotowała dwie małe filiżanki, łyżeczki oraz cukier. Do dwóch szklanek nalała wody mineralnej, wszystko ustawiła na tacy i ruszyła korytarzem. Mijając wazon, zgarnęła goździk i dokomponowała go do niesionego zestawu. Gdy otworzyła drzwi od sypialni, o mały włos nie wpadła na ubranego w ciemny szlafrok obudzonego już Victora.

– Nie, nie. Kawę pijam przy stole, po tym, jak wezmę prysznic, kiedy zdąży już niemal zupełnie wystygnać – wyjaśnił tonem graniczącym z nieuprzejmością.

Udał się pod prysznic, a Alicia stała w miejscu i spoglądała na niego, jakby zadawała sobie pytanie: „Co go, do licha ciężkiego, ugryzło?”.

Uniosła głowę, skrzywiła się, zagryzła wargę i weszła do sypialni. Usiadła na brzegu łóżka, stawiając tacę obok siebie. Piła kawę powoli i w zamyśleniu. Wreszcie wstała, przejrzała się w lustrze szafy i poprawiła fryzurę.

Z krzesła, na którym zostawiła ubranie, wzięła nader krótką sukienkę, po czym włożyła pantofle z odsłoniętą piętą, zabrała tacę i opuściła sypialnię.

Gdy weszła do salonu, zastała Victora siedzącego na kanapie z papierosem przyklepionym do kącika ust i przeliczającego nad stolikiem plik banknotów. Zdawał się nie zauważać jej obecności.

Alicia podeszła bliżej i postawiła tacę na stole, lecz Victor kontynuował liczenie, nie odrywając spojrzenia od pieniędzy.

– O której mieliśmy wyjść?

Victor liczył dalej.

– Usiądź.

Alicia ruszyła w stronę kanapy, by usadowić się obok niego.

– Nie, usiądź tam – powiedział, nie patrząc na nią. Podniósłszy plik studolarówek, wskazał fotel naprzeciwko i zaczął wyliczankę. – W poniedziałek po południu dwa razy, raz jeszcze we wtorek rano, wczoraj po południu dwukrotnie, no i ponownie tej nocy... to razem sześć razy, zgadza się?

– Sześć razy co? – spytała Alicia.

– Sześć razy się pieprzyliśmy. Sześć numerków, jeśli wolisz to tak nazwać.

Alicia, zaalarmowana, zmarszczyła brew.

– No i co?

– Licząc trzysta dolarów za numerkę, razem wychodzi tysiąc osiemsetdolarów – powiedział, kładąc pieniądze przed nią na stół.

Alicia pobladła. Nie panowała nad sobą ze zdenerwowania i wściekłości.

Nie była w stanie zdobyć się na reakcję.

– Impreza skończona, kochanie.

– Jak możesz!

– Nie bądź, do cholery, śmieszna – uciął ostro Victor.

Alicia spasowała. Ogarniał ją strach.

– A teraz zamknij się i słuchaj – powiedział już o wiele spokojniejszym tonem. – Cała ta szopka z odpadającym pedałem to jeden wielki szwindel. A śpiewka o studiach na uczelni – kolejny. W zeszłym tygodniu kurwiłaś się z jednym Panamczykiem, a jeszcze tydzień wcześniej z

Włochem. Więc po jaką cholere kłamiesz? Żeby zarobić parę dolców? I nie obrażaj się tak. Przecież to właśnie kochasz najbardziej na świecie. Czczisz wszechmocnego dolara, laleczko. Zatem weź te pieniądze, zasłużyłaś sobie. A, i jeszcze dodatkowe pięć stów za lekcję tańca.

Gdy odliczał kolejne pięć banknotów, Alicia była bliska łez. Opadła na kolana, zgarbiła się i schowała twarz w dłoniach. Minęło parę sekund i jej umysł zdołał odpędzić strach. Podniosła głowę i oceniwszy okoliczności, w jakich się znalazła, spojrzała Victorowi prosto w oczy, niemalże rzucając mu wyzwanie.

– No dobra, Victor... gra skończona.

Nachyliła się, by zgarnąć plik banknotów, i zaczęła głośno odliczać.

– Sto, dwieście...

Pewnym gestem, niczym profesjonalny krupier rozdający karty, przeliczyła pieniądze. Następnie niespiesznie odłożyła pięćset dolarów z powrotem na stół i zdobyła się na przyjazny uśmiech.

– To te pięć stów za lekcję tańca. Okazałeś się uzdolnionym uczniem i zajęcia z tobą były tak przyjemne, że inkasować za nie byłoby niemalże czymś niemoralnym.

Resztę pieniędzy schowała do torebki i wstała.

– Zadzwońię po taksówkę.

Nielicho połechtany Victor pokręcił głową i roześmiał się w głos.

– Trzeba przyznać, naprawdę masz klasę. A do tego jesteś cholernie inteligentna. Bierz te pięćset dolców i siadaj – powiedział, wskazując miejsce na kanapie tuż obok siebie.

– Uraczysz mnie drinkiem?

– Jasna sprawa. Czego się napijesz?

– Koniaku.

– Tak wcześnie rano?

– Potrzebuję czegoś, co da mi kopa.

Victor przeszedł do barku i sięgnął po matową czarną butelkę umieszczoną na napoleońskiej lawecie armatniej. Z oddali wyglądało na to,

że etykieta butelki była opisana odręcznie. Po chwili wrócił z dwiema lampkami Extra Vieille.

Alicia wychyliła koniak niemal jednym haustem, nie zwracając sobie nawet głowy wznoszeniem toastu.

– Załóżmy – zaczął Victor, popijając zimne, gorzkie espresso i rozkoszując się pierwszym łykiem Extra Vieille – tak czysto teoretycznie, że przekażę ci klucze do domu jako mojej kochance, zaoferuję kieszonkowe w wysokości trzech tysięcy dolarów miesięcznie, nowiutki samochód i tyle benzyny, ile tylko zdołasz wyjeździć. Byłabyś wówczas zainteresowana pracą dla mnie? Alicia musiała się powstrzymać, by nie zaryć szczęką w stolik.

A to sukinsyn! – pomyślała. Wpierw zmasowany ostrzał, by zmiękczyć pozycje przeciwnika, a teraz zagrywka!

Alicia zerwała się na równe nogi, zrobiła kilka kroków, odetchnęła spokojnie, otaksowała go spojrzeniem i uśmiechnęła się chytrze, przebiegając wzrokiem po pokoju, jak gdyby odpowiedź, której szukała, kryła się na suficie lub jednej ze ścian. Uśmiechnęła się raz jeszcze, a nawet wydała z siebie lekki chichot. Krygując się, zakryła usta dłonią i kokieteryjnie przesunęła obcasem buta wzdłuż arabesek podłogowych kafelków. Przygryzła wargę i z powrotem usiadła.

Potrzebowała paru chwil zwłoki, ponieważ propozycja Victora ścięła ją z nóg. Intuicja podpowiadała jej, że w grze, którą uprawiała od pięciu dni, nastąpił właśnie przełom: teraz była to Liga Mistrzów, Monza, Le Mans, Wimbledon. Jej umysł zaprzętała owa szczególna odmiana analizy wariantowej, którą wytrawni gracze przeprowadzają niemalże nieświadomie: w najlepszym wypadku A, w najgorszym wypadku B. Nie miała pomysłu na równie rzutką czy ostrą ripostę, pozwalającą skontrolować mistrzowską zagrywkę Victora, który w dwóch posunięciach posłał ją na deski. Spośród wszelkich możliwych odpowiedzi ostatecznie zdecydowała się na bezpośrednią i oczywistą, która może i nie kończyła wymiany, ale przynajmniej przebijała piłeczkę na stronę adwersarza.

– Co takiego miałabym robić?

– Dokładnie to samo, co zrobiłaś, by zarobić te oto tysiąc osiemsetbaksów.

– Chodzić z tobą do łóżka?

– Niekoniecznie ze mną.

– Czekał, czekał. To już zupełnie inna sprawa...

– Ale za każdym razem byliby to przystojniacy. Czy to nie w nich właśnie gustujesz?

– Miałaś prawo wyboru?

– Niekiedy byś ich sobie wybierała – odparł, upijając kolejny łyeczek. – Kiedy indziej prosiłbym cię, byś, że tak się wyrażę, zwróciła czyjąś uwagę.

– Zwróciła uwagę...?

– Ejże, z twoim ciałem, twoim intelektem, odpowiednimi ciuchami i samochodem jesteś w stanie owinąć sobie wokół palca i ściągnąć na kolację ze śniadaniem, kogo tylko zechcesz.

Pomimo uśmiechu, jaki na jej ustach wywołała pełna superlatywów ocena, Alicia wciąż nie otrząsnęła się ze zdumienia. Musiała dowiedzieć się więcej.

– Schlebiasz mi, ale kontynuuj.

Victor referował dalej w typowym dla siebie zwięzłym stylu.

– Możesz na przykład otrzymać czyjąś fotografię bądź opis, a twoim zadaniem będzie zwabić tego kogoś tutaj i odbyć z nim stosunek, wykazując się przy tym całą swoją maestrią.

– Taa, jasne. A ty będziesz wszystko nagrywał i robił amatorskie porno. Takiego wała! Pornosy za trzy tysiące miesięcznie? Coś ci się pomyliło, Victor. Tym razem to ty przestrzeliłeś, i to sporo. Jeśli chcesz filmować, jak się pieprzę, będzie cię to kosztowało o wiele więcej.

– Nie rozumiałaś, to zupełnie nie tak. – Victor pokręcił głową, roześmiał się i spokojnie pociągnął łyk koniaku. Alicia nalała sobie jeszcze jedną lampkę i wzięła papierosa. Podsunął jej złotą zapalniczkę marki Ronson.

Obydwojgu lekko trzęsły się ręce. – Z twoich występów uciechę czerpałyby wyłącznie dwie osoby. – Umilkł i postukując obrączką w rant kieliszka, przyglądał się, jak utalentowana, acz niedoświadczona zawodniczka przedziera się przez wszelkie niejasności i dochodzi do sedna sprawy.

– Kto?

– Elizabeth i ja.

– Elizabeth? Tak ma na imię twoja żona?

– Tak.

Alicia stała zamyślona. To wszystko nie miało sensu. Ale niech mówi dalej.

– Ryzyko związane z AIDS nas przeraża, dlatego Elizabeth i ja zdecydowaliśmy się ratować monogamią. Jediną dewiacją, na jaką sobie pozwalamy, jest podniecanie wyobraźni drobnym voyeuryzmem na własny użytek.

– A nie możecie sobie po prostu kupować pornosów?

– Sęk w tym, że Elizabeth jest ode mnie o parę lat starsza i rozumie, że niekiedy trudno mi jest ograniczyć aktywność seksualną do kontaktów wyłącznie z nią.

– A więc?

– A więc ma w sobie na tyle dobrego smaku, by udawać, że podnieca ją autożsamianie się z dziewczyną widoczną za szybą, podczas gdy w istocie robi to dla mnie.

– Za jaką szybą?

Victor uniósł palce wskazujące obu dłoni niczym dymiące rewolwery i wskazał na lustro niemal w zupełności zakrywające ścianę za Alicią.

– Czyli z drugiej strony wszystko widać?

– Jak na dłoni!

Alicia obróciła się, podeszła do luster, dotknęła ich gładkiej tafli i dopiwszy resztę koniaku, zdecydowanym krokiem wróciła do Victora.

– W porządku. Umowa stoi. Kiedy zaczynamy?

– Od zaraz. Umiesz prowadzić?

– Tak!

– A masz prawo jazdy?

– Owszem. Do ubiegłego roku jeździłam samochodem taty.

– Idealnie. W przyszły wtorek przydzielę ci jeden z wozów firmy.

Czekajna mnie w domu matki. I zrób się na bóstwo.

1996



Martini i oliwki

Rozdział czternasty



Od odkrycia Alicii minęły cztery miesiące, a Victor wciąż gratulował sobie szczęścia (które postawiło ją na jego drodze) oraz wyrobionego oka (które pozwoliło mu dostrzec jej geniusz). Ich tajemne porozumienie okazało się nie tylko nader satysfakcjonujące dla jego własnego życia seksualnego; cechująca Alicię świeżość i trzeźwość umysłu dawały mu wytchnienie i ratunek od całodobowego rytmu pracy, który narzucił sobie, starając się wprowadzić w życie z dawna obmyślany projekt turystyki archeologicznej.

Na początku września Ministerstwo Turystyki zaakceptowało jego pomysł utworzenia wspólnego przedsiębiorstwa celem poszukiwania zatopionych galeonów na kubańskich wodach. Parę dni później jego szef Rieks Groote wyszedł zwycięsko z pierwszej bezpardonowej konfrontacji ze swym bratem Vincentem, który od pierwszego dnia sprzeciwiał się projektowi.

Vincent podjął się tytanicznego wysiłku namówienia pozostałych liczących się przy podejmowaniu decyzji członków rodziny Groote, by ukręcili łeb zamysłowi, który zyskał sobie miano „Projektu Koronnego”. Czy to po prostu z powodu krótkowzroczności, czy też z wrodzonej niechęci do czegokolwiek wymagającego ryzyka bądź kreatywności – a może z czystej zawiści wobec młodszego brata mogącego osiągnąć kolejny sukces –

Vincent Groote od samego początku prowadził nieubłaganą kampanię przeciwko „szalonym pomysłom” sprzęgania losów firmy Groote z hiszpańskimi galeonami na dnie Morza Karaibskiego. Projekt uznał za nieprzemysłane, nierozważne rojenia nowobogackiego oportunisty i przewidywał, że okaże się takim samym niewypałem jak taśma ośmiościeżkowa czy auta marki Edsel.

Lecz przez ostatnich pięć lat szczęście zdawało się sprzyjać Rieksowi. Wbrew ocenie zmarłego ojca (który nie był przekonany do pomysłu, aczkolwiek mu się nie sprzeciwiał) oraz starszego brata Vincenta (który sprzeciwiał mu się na całej linii) Rieks powołał do życia Sekcję Karaibską Grupy Groote, która od tego czasu zapewniała nieustający przyływ pieniędzy. Dzięki impetowi wywołanemu powodzeniem Sekcji Karaibskiej Rieks był w stanie przeforsować nowy pomysł mimo sprzeciwów brata i wygrać pierwszą rundę batalii o Projekt Koronny.

Wkrótce jednak nastąpił niespodziewany kryzys, który boleśnie poróżnił Riekxa i Victora.

Piętnastego września Victor wystosował memorandum do rady nadzorczej Groote International Inc., domagając się prowizji w wysokości trzech procent dochodu netto pochodzącego z wszelkich działań biznesowych wynikających z Projektu Koronnego lub z tym projektem połączonych.

Rieks się wściekł. Zastrzegł, że rodzina nie będzie chciała nawet o tym słyszeć. Tym razem Victor posunął się za daleko. Ambicja wyraźnie zaćmiła mu umysł. Stracił kontakt z rzeczywistością.

– Zgodzą się albo po umowie – oznajmił Victor, nie pozostawiając polado negocjacji.

– Vic, nie bądź śmieszny!

Kilka dni upłynęło pod znakiem upartych sprzeciwów i rozgrzanych do czerwoności temperamentów, a całe przedsięwzięcie zdawało się iść na dno – i to znacznie głębiej niż wzbudzające nadzieje galeony. Koniec końców Jan van Dongen, szara eminencja stojąca za sukcesem spółki,

namówił szefa, by przed poczynieniem dalszych kroków ten pozwolił mu przeprowadzić Symulację Oceny Wydajności Finansowej projektu, podejrzewał bowiem, że istnieją przesłanki uzasadniające wygórowane żądania Victora.

Rieks nie był w żadnym razie zachwycony, lecz van Dongen zdążył sprawdzić się w boju, a swą przenikliwością zasłużył na zaufanie. Groote polecił mu przeprowadzić proponowaną ewaluację. W ciągu miesiąca, skorzystawszy ze wsparcia i metodologii zastrzeżonego oprogramowania na licencji firmy konsultingowej będącej twórcą SOWF, van Dongen powrócił z niepodważalnym werdyktem: dla trwałego powodzenia tak zwanego Projektu Koronnego Victor King jest postacią kluczową. Rzecz jasna, można było z niego zrezygnować, lecz potencjalne skutki finansowe tak zmodyfikowanego czynnika ryzyka były nie do przyjęcia.

Raport sporządzony przez van Dongena dla Groote International Inc. sugerował, by zaproponować panu Kingowi dwa warianty: A) dwa procent dochodu netto plus opcje na zakup akcji do późniejszego ustalenia, plus 250 tysięcy dolarów rocznie do odliczenia od przyszłych prowizji, bądź też B) 1,5 miliona dolarów rocznie przez dziesięć lat.

Gdy van Dongen zapoznał Victora z tą alternatywą, zdał on sobie sprawę, że o ile wariant A mógł z czasem przynieść zdecydowanie większy zysk, o tyle wariant B oznaczał pewne, namacalne piętnaście milionów dolarów przy zerowym ryzyku. Nad czym tu się zastanawiać?

– Ale kiedy Vincent dowie się, że co dwa lata będziemy mu wypłacać potrzy miliony dolarów, zagotuje się z wściekłości! – oponował Rieks.

Van Dongen wytłumaczył, że albo projekt jest wart zachodu, albo nie, a jeżeli jest, to dwa procent będzie dla spółki oznaczać znacznie, znacznie większy wydatek aniżeli równa stawka, na którą gotów był przystać Victor. Teraz zadaniem Rieksa było z pomocą wyliczeń przekonać Vincenta i członków rady nadzorczej.

– A co, jeśli przez pierwsze dwa lata niczego na tym cholernym dniu nieznajdziemy?

– Istnieje taka możliwość, Rieks. Ale musisz pamiętać – i uświadomić to Vincentowi – że sprawa została dokładnie przebadana. Turyści będą się garnać, by móc na własny koszt uczestniczyć w eksploracji. Wiemy, że wraki tam są, i będziemy mieli do nich prawa należne znalazcy. Victor będzie odpowiadał za marketing i kampanie promocyjne, aby utrzymać stały napływ turystów, a dzięki znajomości meksykańskiej hiszpańszczyzny zapewni nam jasny i dyskretny kontakt z władzami... żadnych tłumaczy. Victor to splot słoneczny całej operacji. Przy umiarkowanym sukcesie Groote International Inc. osiągnie w pierwszych dziesięciu latach przedsięwzięcia dochód netto rzędu 400 milionów. Wedle wariantu A Victor zainkasuje coś około dwudziestu milionów, a na dodatek (i tym Vincent będzie zachwycony) już na zawsze będzie właścicielem części spółki. Wybacz, że przedstawiam to tak brutalnie.

Podczas gdy bogowie wraz ze swymi pitbulami decydowali o jego losie, sam Victor wziął parę dni wolnego, by – jak wyjaśnił – nie wchodzić nikomu w drogę, w istocie zaś po to, by pieprzyć się do utraty przytomności.

Rozdział piętnasty



Odkąd Alicia zaczęła pracować dla Victora i jego żony, zgarniała co miesiąc 3300 dolarów, wliczając w to codzienny przydział dziesięciu dolarów na benzynę. Wszystko poukładało się bez najmniejszego zgrzytu. Wedle jej własnych kalkulacji od początku funkcjonowania umowy do połowy października odbyła pięćdziesiąt sześć przedstawień z jedenastoma różnymi mężczyznami, przy czym niemal wszystkich miała prawo wybrać sama. Zaledwie w trzech przypadkach przyszło jej dokonać „uwiedzenia zleconego”, przy wykorzystaniu otrzymanych od Victora opisów i fotografii. A nawet wtedy wskazani goście okazywali się przystojniakami. Było właśnie

tak, jak to jej przepowiedział: dzięki swym umiejętnościom, odpowiednim ciuchom i idealnemu samochodowi Alicia nie miała najmniejszych trudności z zapraszaniem do salonu z sadzawką kolejnych klientów.

Alicia nie musiała już polować w pocie czoła (i nie tylko), a przyzwoite wynagrodzenie otrzymywała za sypianie z facetami, którzy jej się podobali. Tak, nie miała wątpliwości, że był to zdecydowanie najlepszy okres jej życia. Co więcej, Victor wyjawiał jej, że Elizabeth pochwałała jej dobór partnerów, była usatysfakcjonowana częstotliwością, z jaką ich zmieniała, i podekscytowana nowymi doznaniem, jakie wniosło to do ich życia seksualnego. Wszystko zdawało się wskazywać, że przymierze zadowala wszystkich zainteresowanych i że Alicię czeka długa kariera z gwiazdorską gażą.

Zgodnie z danym słowem zachowała absolutną dyskrecję. Nie można było dopuścić, by niczego niepodejrzewający mężczyźni odkryli, co się w istocie święci. Wraz z Victorem, który za każdym razem był obecny po drugiej stronie posrebrzanych luster, opracowała prosty i przekonujący scenariusz: była mianowicie oficjalną kochanką potężnego zagranicznego bankiera i musiało być jasne, że podczas jego nieobecności w kraju mogą sobie pozwolić na parę namiętnych, anonimowych sesji miłosnych – lecz na tym koniec. W dwóch przypadkach, gdy partner okazywał zbyt daleko posunięte zainteresowanie szczegółami z jej życia, była zmuszona się odciąć:

– Słuchaj, przyszedłeś tutaj, by mnie przelecieć czy napisać moją biografię?

Pewien zakochany idiota, a może po prostu oszust sam w sobie, który niefortunnie począł rozwodzić się nad swą do niej miłością, został splewiony bez ogródek:

– Co?! Popierdoliło cię? Prosty rachunek: Alicia kocha milionerów, z ciebie jest ostatni gołodupiec, ergo nie masz najmniejszych szans.

Elizabeth, która wedle słów Victora była chorobliwie nieśmiała, nigdy nie pokazała się Alicii. Lecz jako dowód swego uznania dla maestrii osiągniętej przez nią w dziedzinie *ars amandi* podarowała jej

dziewięćdziesięciosześcioelementowy zestaw porcelany z Sèvres, czym sprawiła Alicii ogromną radość, był to bowiem serwis nader śliczny, a przy tym w dowolnej chwili nadawał się do spieniężenia. Kiedy indziej, po powrocie z wyjazdu do Hiszpanii, Elizabeth przekazała Alicii wspaniałą gitarę koncertową, której obdarowana niemalże bała się dotykać.

Za wyjątkiem krótkich interludiów z anonimowymi oblubieńcami Alicia mieszkała w swoim domu z matką, Victor zaś zamieszkiwał w rezydencji z oczkiem wodnym. O istnieniu Alicii nie wiedział w jego firmie nikt.

W lipcu i sierpniu, gdy Elizabeth przebywała w Nowym Jorku, Victor osobiście korzystał z usług Alicii. Takie rozwiązanie wkrótce stało się czymś tak naturalnym, że za każdym razem, kiedy Elizabeth opuszczała Kubę, Alicia przeprowadzała się do posiadłości z sadzawką w salonie i spędzała tam całe tygodnie, czy to z Victorem, czy bez niego.

Od samego początku seks był dla obydwójga bardzo satysfakcjonujący. Można powiedzieć, że lubowali się w sobie i świetnie się razem bawili. I choć brakowało wówczas publiczności, a więc nie były to zakontraktowane pokazy, punktualnie pierwszego każdego miesiąca Victor wypłacał jej ustaloną gażę. Był rozrzutny, prawdziwy ksiązę – właśnie takich mężczyzn Alicia uwielbiała. Nie miał w sobie ani krztyny skąpstwa czy wyrachowania.

Kabriolet, który przydzielono jej na potrzeby łowów, był do jej całkowitej dyspozycji. Dzięki temu mogła tu i ówdzie zabierać matkę – a to weekend w Varadero czy Viñales, a to popołudnie w Marina Hemingway, prywatne kolacje w dobrych restauracjach. Mogły sobie wręcz pozwolić na wynajem domu w Guanabo bez konieczności przecierpienia niewygód podróży tam i z powrotem środkami niewydolnego transportu publicznego.

Victor nie szczędził wysiłków, by ukryć istnienie Alicii przed każdym, kto był związany z Groote International Inc. Podkreślił, że dom z sadzawką miał być wykorzystywany wyłącznie do spotkań z konkretnymi mężczyznami i w terminach ustalonych w ramach porozumienia. Inni przygodni kochankowie Alicii, jej osobiści przyjaciele, krewni i znajomi nie mieli prawa korzystać z tej posiadłości, oglądać jej czy choćby nawet o niej wiedzieć.

Ostatnimi czasy Alicia poznała Fernanda, kolejnego już Argentyńczyka, i na trzy dni zamknęła się z nim we własnym domu w Miramar. Dwa razy zaprosiła jego znajomych, którzy dali się oczarować muzyce i wdziękowi córki oraz kulinarnym talentom matki.

Tak, Alicia nie musiała już pedałować przez miasto, rozwalać klimatyzatora, radzieckiej lodówki czy zegarka. Nie musiała urządzać szopki i opowiadać o tłustych, chuderlawych, kurdupłowatych czy brzydkich jak noc malarzach, wreszcie nie musiała rozbierać się na kanapie w salonie, by jak najszybciej przejść z klientem do konkretów. Mogła pozwolić swym znajomościom rozwijać się we własnym tempie, bez pośpiechu czy upokorzeń. I było też najprawdziwszą prawdą, że nie przyjmowała żadnych zaproszeń czy prezentów. Teraz to ona fundowała, i to z własnych pieniędzy. Jej zniewalający urok, zasilony środkami finansowymi i porządnym samochodem, stał się zabójczo skuteczny, a przy tym praktycznie nie wymagał wysiłku. Frazesy w rodzaju „nigdy więcej nie obrażaj mnie prezentami” czy „godność to wszystko, co nam pozostało” nabrały wydźwięku fanatycznego oddania sprawie. Z końcem pierwszego tygodnia znajomości każdy klient wydawał na nią krocie. Ten cały Fernando zaoferował wręcz, że zabierze ją do Buenos Aires.

Parę dni później otrzymała poważną propozycję małżeństwa połączoną z perspektywą rychłej przeprowadzki do luksusowego przedwojennego apartamentu przy bulwarze La Castellana w Madrycie.

Lecz Alicii już się nie spieszyło; stać ją było, by poczekać. Dzięki stabilnej sytuacji z Victorem i nowemu wizerunkowi niezależnej i majątnej wiedziała, że może sobie pozwolić na rozgrywanie karty samotnego serca spragnionego prawdziwej miłości. Postanowiła zachować rozwagę. Nie zamierzała przyjmować awansów pierwszego lepszego Iksa czy Igreka, który stawiliby się z paroma dolcami. Facet, który chciałby ją stąd wyrwać, musiał być prawdziwym, dosłownie śpiącym na pieniądzach, milionerem. Tak Argentyńczyk, jak i Hiszpan zostali odstawieni na bocznicę.

– Twoja propozycja to dla mnie wielki zaszczyt, ale chodzi o poważny krok...

– Musisz pozwolić mi to przemyśleć...

Alicja dysponowała szerokim wachlarzem przeciwicznych manewrów obronnych, które nieodmiennie rozpałały klientów. I właśnie o podtrzymywanie płomienia jej chodziło, goście ci bowiem stanowili jej rezerwę strategiczną, jej tratwę ratunkową, tak na wszelki wypadek.

Jeśli wracali – w porządku, podejmowała ich w domu i obchodziła się z nimi niczym prawdziwa gejsza. Powzięła jednak decyzję, w której wsparła ją matka: należało zaczekać, aż pojawi się facet z naprawdę poważną forszą.

Rozdział szesnasty



- Przyszedł do pana niejaki pan Polanco.

- Dziękuję, Julio. Zaproś go do środka.

Van Dongen spojrział na zegarek. *No jasne!* Wszak poprosił Polanco, by zjawił się o pierwszej. W niewytłumaczalny sposób zupełnie stracił poczucie czasu.

Kapitan Polanco, dawny oficer Policía Nacional Revolucionaria, aż do chwili przejścia na emeryturę był kubańskim łącznikiem przy paryskim dowództwie Interpolu. Obecnie szefostwo Państwowej Policji Rewolucyjnej zezwoliło mu na prowadzenie własnej skromnej działalności dochodzeniowej na potrzeby cudzoziemców i wielkich korporacji.

Przed dwoma miesiącami, gdy van Dongen poddał Projekt Koronny Symulacji Oceny Wydajności Finansowej, postanowił też, nie informując o tym nikogo, nawet swojego szefa Hendrycka Grootego, prześwietlić przeszłość pana Victora Kinga. Nie miał względem niego jakichkolwiek

podejrzeń; przeciwnie, podziwiał jego talent i od samego początku czuł do niego sympatię. Lecz gdy Projekt Koronny znalazł się w samym środku paskudnej awantury wewnątrz przedsiębiorstwa, Jan uznał, że najlepiej będzie w chwili przystąpienia do gry trzymać wszystkie atuty w garści. W gruncie rzeczy nikt nie dysponował pewnymi informacjami na temat Victora Kinga. Dołączył do spółki dzięki osobistej rekomendacji Riekxa, który uznał jego pomysł poszukiwania galeonów za fenomenalny. Na początku to wystarczało, lecz już niebawem chciano powierzyć mu kierowanie operacją wartą setki milionów dolarów, toteż brak jakiejkolwiek wiedzy o nim mógł się okazać istotnym obciążeniem. Nie była to kwestia braku zaufania czy podejrzliwość, ale jedynie dbałość o reguły – ot, działanie profilaktyczne.

Gdy Jan van Dongen poprosił kogoś w Amsterdamie o podanie namiaru na człowieka na Kubie gotowego podjąć się delikatnego zadania rozpoznawczego, skierowano go do pracownika biura w Paryżu, a ten z kolei polecił mu señora Polanco, kapitana w stanie spoczynku, który zgodził się przyjąć zlecenie. Jako że van Dongen nie chciał bezpodstawnie szargać imienia Victora, śledczy otrzymał od niego jedynie odciski palców z poleceniem prześwietlenia przeszłości ich posiadacza. Nie poinformowano go nawet, że osoba ta pracuje dla firmy Groote. Wedle oficjalnych wyjaśnień odciski należały do perspektywicznego klienta, spółka zaś chciała mieć pewność, że nie miał on przeszłości kryminalnej. Polanco pojął w lot, czego się od niego oczekuje, przyjął zaliczkę i nie zadawał zbędnych pytań. Tego ranka Polanco zadzwonił do van Dongena.

– Szklanka, którą mi pan przekazał, idealnie pasuje do odcisków z bazy w Paryżu...

– Proszę przyjść do mnie jak najszybciej – przerwał mu van Dongen, niechcąc kontynuować rozmowy na niezabezpieczonej linii telefonicznej. – Tak, będę tu całe przedpołudnie.

Były to złe wieści. Chłodny jak zawsze van Dongen nie okazywał emocji, lecz w głowie miał istną gonitwę myśli. Jeśli ten człowiek w istocie był

niebezpiecznym przestępcą, losy Projektu Koronnego stały pod znakiem zapytania. Byłby to druzgoczący cios dla imponujących planów Rieksa, dotyczących budowania karaibskiego imperium. W najgorszym wypadku mogłoby to zniszczyć jego pozycję w firmie, co nie wróżyłoby pomyślnie wszystkim tym, którzy wsparli go w konfrontacji z Vincentem.

– Zebrałem odciski ze szklanki, którą mi pan przekazał – wyjaśnił Polanco, gdy stanął twarzą w twarz z van Dongenem – i przesałem znajomemu, który zidentyfikował je bez trudu. Ich właściciel ma nader interesującą kartotekę, której szczegóły znajdzie pan w sprawozdaniu na piśmie.

Polanco wyjął z teczki kopertę na dokumenty i przekazał van Dongenowi pojedynczy arkusz maszynopisu.

– Czyta pan po francusku?

Van Dongen skinął głową, podniósł kartkę i przeczytał:

Odciski, które mi pan przesał w pliku N§ 3324/Cu, należą do Henry'ego A. Moore'a, Kanadyjczyka urodzonego w 1952 roku. Osiemnastego grudnia 1974 roku dwudziestodwuletni Henry Moore w pojedynkę napadł na biuro National City Bank of New York w Veracruz w Meksyku i zrabował równowartość 87 tysięcy dolarów, które zainwestował w projekt poszukiwań podmorskich, zakończonych zresztą fiaskiem. Dwunastego sierpnia 1976 roku obrabował placówkę National City Bank w Cancún, kradnąc 200 tysięcy dolarów, lecz dwa tygodnie później został schwytany. Po procesie w kwietniu 1977 roku skazany na siedem lat, z których w miejscowym więzieniu odsiedział sześćdziesiąt dwa miesiące. Pozostałe informacje zawarto na mikrofilmie. Dołączam fotografię.

Jan van Dongen spojrział na zdjęcie. Żadnych wątpliwości – był to Victor King. Więzienna fryzura nie dodawała mu urody, w dodatku miał o dwadzieścia lat mniej, lecz z pewnością to on.

Kiedy Polanco starannie schował wynagrodzenie wraz z niemałą premią za dyskrecję i wyszedł, van Dongen usiadł, aby przeanalizować sytuację i rozważyć wszelkie wynikające z niej zagrożenia i możliwości.

Utkwił spojrzenie w węglowym rysunku przedstawiającym Carmen, który niedawno kazał oprawić, i swoim zwyczajem wymamrotał pod nosem: „A więc teraz mówicie mi, że gość w istocie nazywa się Henry Moore, jest hochsztaplerem i rabusiem. Kto by pomyślał? Nasz mały John Dillinger”.

– Kurwa! – wykrzyknął.

A mimo to van Dongen nie skwitował przekleństwa odpowiednim gestem niezadowolenia, strachu czy obrzydzenia. Wręcz przeciwnie. Odepchnął krzesło w tył, walnął się po kolanie i uśmiechnął z pełną satysfakcją.

Rozdział siedemnasty



Biały kabriolet zajeżdżał na parking przed elegancką kawiarnią na świeżym powietrzu. Victor obserwował Alicję z tarasu, paląc cygaro i bawiąc się lodem w szklance z chivase. Zawczasu poprosiła go, żeby zamówił jej koktajl z jabłkami i owocami mamei, który czekał gotowy w wysokiej pękatej szklance na nóżce.

Alicja wysiadła z samochodu i podeszła do stolika. Świetnie wyglądała i zdawała sobie z tego sprawę. Z jej chodu można było wyczytać pewność siebie i dumę. Przywitała się z Victorem zwyczajowym muśnięciem wargami, usiadła, sięgnęła po napój i upiła spory łyk.

– Mmm, dzięki. Tego mi było trzeba. Mam lekkiego kaca.
Victor spojrzał na nią, rozsmakowując się w jej urodzie.

– Tak też podejrzewałem. Ostatniej nocy to było coś.

Przełożyła nogi na jedną stronę krzesła i czubkiem palca zamieszała drinka. Victor pogłaskał ją po złocistej skórze kolana.

Alicia rozsiadła się wygodnie.

– To może poczekać. Przejdźmy do interesów.

Victor uśmiechnął się i zaciągnął cygarem. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i nie mówiąc ani słowa, wyłożył na stół fotografię nad wyraz przystojnego Mulata, ubranego w afrykański strój rytualny.

Alicia spojrzała na zdjęcie i skinieniem głowy wyraziła aprobatę.

– Któż to więc jest?

– Nazywa się Cosme. Kilka dni temu dostrzegliśmy go, kiedy tańczył, i Elizabeth ma na niego chrapkę.

Nie odrywając oczu od fotografii, Alicia z podziwem uniosła brwi.

– A niech mnie, ta twoja Elizabeth ma świetny gust. I gdzie niby znajdę brunatne ciacho?

– W Państwowym Zespole Folklorystycznym.

– Uwielbiam tancerzy. Są elastyczni i potrafią się wygiąć niemal w każdą stronę...

– Ostrożnie, nie wszystko tak możesz naginać.

Alicia zaśmiała się, dokończyła drinka, włożyła zdjęcie do torebki i wstała.

– Już się zbierasz?

– Tak. Mam parę rzeczy do załatwienia. Na kiedy sobie życzysz przedstawienie z Mulatem?

– Gdybyś zdołała go tam ściągnąć w niedzielę wieczorem, byłoby idealnie.

– Zatem nie mam zbyt wiele czasu. Dobiorę mu się do tyłka jeszcze dziś po południu. Jeśli złapie haczyk, odezwę się na komórkę.

– Będziemy gotowi na dziewiątą.

Skinęła głową, nachyliła się do pożegnalnego całusa, włożyła ciemne okulary i ruszyła przez taras, a promienie letniego słońca wydobywały spod białej spódniczki zarys jej wydatnych ud.

Widząc, jak odchodzi w oślepiającym blasku, młody kelner ze szklanką w dłoni stanął jak wryty. Szklanka, którą miał właśnie postawić przed klientem, również zamarła w połowie drogi między tacą a stolikiem. Tam też pozostała, zastygła w czasie i przestrzeni, aż Alicia wyjechała kabrioletem z parkingu i zniknęła za najbliższym zakrętem.

Gdy młodzieniec wreszcie doszedł do siebie, zerknął na Victora i wydał z siebie pełne melancholii westchnienie.

Dopiero wówczas szklanka dotarła na stolik.

Rozdział osiemnasty



Niedzielny ranek. W ekskluzywnym klubie golfowym w podmiejskiej dzielnicy Capdevila Victor grał w tenisa. Pewny siebie, zaserwował po raz ostatni, rozegrał złożoną z trzech piłek wymianę i zapunktował. Piłka meczowa! Podszedł do siatki, uściśnął dłoń przeciwnikowi i udał się ku ławkom ciągnącym się wzdłuż kortu. Ręcznikiem osuszył z potu twarz oraz szyję, po czym zaczął pakować rakiety z piłkami do torby. Gdy to zrobił, opuścił teren kortu i wolnym krokiem ruszył wzdłuż wysypanej czerwonym żwirem ścieżki.

Otworzył drzwi samochodu, wrzucił rakiety i resztę sprzętu na tylne siedzenie, wyjął z lodówki turystycznej puszkę toniku i upił spory łyk. Gdy miał już zapalić papierosa, usłyszał chrzęst opon na żwirze i obejrzał się, by sprawdzić, kto zacz. Ku wielkiemu zdumieniu jego oczom ukazał się uśmiechnięty od ucha do ucha, wysiadający z samochodu Jan van Dongen.

Kinol ubrany był w biały golf, białe spodnie i ciemne mokasyny z odstoniętymi piętami. W rękę trzymał małą skórzaną aktówkę.

- Ty też grasz w tenisa? Cóż za zbieg okoliczności!
- W żadnym razie. Przyjechałem zobaczyć się z tobą.
- Coś pilnego?
- Niekoniecznie pilnego, za to bardzo ważnego.

Victor przyglądał mu się z narastającym zaniepokojeniem.

- Chyba niezwykle ważnego, skoro wymaga omówienia w niedzielę!
- Przejdziemy się kawałek?

Victor przystał na propozycję, zdjął przewieszony przez szyję ręcznik i wrzucił go do samochodu, a następnie spragniony wieści dołączył do van Dongena.

Van Dongen otworzył aktówkę, wyciągnął otrzymany maszynopis, rozłożył kartkę i przekazał ją Victorowi.

- Parę dni temu dostałem to od Interpolu.

Na wzmiankę o Interpolu Victor poczuł przechodzący przez ciało dreszcz. Zmarszczył brwi i ukradkiem spojrzął na van Dongena. Z każdą chwilą stawał się coraz bledszy.

Wreszcie spuścił oczy i przepatrzył pierwszą stronę tekstu, przeleciał wzrokiem po drugiej i zwrócił kartkę van Dongenowi.

– Tak! To prawda – potwierdził, prostując się i spoglądając z arogancją na rozmówcę. – Domyślam się, że cię to przeraża.

Przez dłuższą chwilę van Dongen nie reagował, a jedynie dalej wpatrywał się w Victora i zagadkowo kiwał głową.

– Nie, nie przeraża. W młodości sam popełniłem parę głupstw i nadal uważam, że bankowy rabuś ma więcej honoru niż bankowy prezes.

Kolejny szok. Dla Victora było to już zbyt wiele. Stał jak wryty. Zazwyczaj wygadany pan King zapomniał języka w gębie. Zgrywać aroganta w obliczu pewnej zagłady nie było aż tak trudno, ale ten promyk nadziei kompletnie podważał sens brawury. Zdołał jedynie podrapać się w głowę i

uśmiechnąć, aczkolwiek gdyby ktoś go zapytał o przyczynę uśmiechu, niełatwo byłoby mu odpowiedzieć.

Jan zrobił parę kroków, po czym obrócił się, by spojrzeć Victorowi w twarz. Victor z szeroko otwartymi oczyma otaksował go od góry do dołu; na twarz starał się przywołać grymas niedowierzania, lecz zdołał jedynie ukazać ogarniający go strach i zwątpienie. Van Dongen w milczeniu wpatrywał się Victorowi prosto w oczy. To on rozgrywał tę partię i nie miał najmniejszych powodów, by się przy tym spieszyć.

Koniec końców Victor wykoncypował w miarę spójną wypowiedź.

– Jak mam niby pogodzić ów deklarowany wstręt do bankierów z twoimi konszachtami z multimilionerem, jakim jest Rieks?

– Rieks uratował mnie przed obłądem i zhańbieniem i jestem mu winien wdzięczność. Ale to nie o tym chciałem z tobą porozmawiać, Victorze.

Trzeci wstrząs w ciągu pięciu minut. Victor usiłował coś powiedzieć, lecz głos uwiązł mu w gardle. Wreszcie otrząsnął się i zadał pytanie, które rozsadzało mu pierś.

– Czy dobrze się domyślam, że wszyscy w spółce wiedzą już o mnie wszystko?

Jan przeszedł jeszcze kilka kroków i zatrzymał się, przez chwilę coś rozważając. Następnie skierował się ku jednej z ławek przy podjeździe, odgarnął ręką liście i gałązki i usiadł. Victor stanął obok niego, dopił resztę toniku i cisnął opróżnioną puszkę w pobliskie krzaki.

– Na Kubie nie wie o tym nikt, Victorze. Jak na razie nawet Interpol nie ma pojęcia, że Henry Moore i Victor King to jedna i ta sama osoba. Na całym świecie wiedzę tę posiadamy jedynie ty i ja.

– A Rieks?

– A Rieks nie!

Victor rozłożył ręce w geście całkowitej kapitulacji.

– Czego ode mnie oczekujesz?

Van Dongen pochylił głowę, jak gdyby odpowiedź na pytanie skrywała się gdzieś pośród obumarłych liści i kamyków wiejskiej drogi. Następnie uśmiechnął się i spojrzał Victorowi w oczy.

– Przede wszystkim chcę, byś zrozumiał, że jestem prawą ręką Rieksa, któremu zawdzięczam wszystko. Zacznijmy od tego, że twoja przeszłość i zmiany tożsamości nie przerażają mnie ani trochę. To jasne, że napady na banki były dla ciebie jedynie sposobem pozyskania środków na sfinansowanie wypraw po podmorskie skarby. Podziwiam ludzi z pasją, a poszukiwanie zatopionych galeonów to pasja, że ho, ho! Oszaleć można. Jan przerwał, by sięgnąć do torby po papierosy, po czym poczęstował Victora. Zauważył, jak bardzo drżą mu ręce, więc odpałił za dwóch.

– Poza tym zapoznałem się szczegółowo z twoim pomysłem i wydał mi się całkowicie wykonalny; mało tego! – jestem wręcz przekonany, że wyjdzie z tego romantyczna przygoda z mnóstwem zabawy i ogromnymi zyskami dla wszystkich jej uczestników. Z wielką chęcią poświęciłbym temu projektowi życie. Byłbym szczęśliwy, mogąc po prostu porzucić obecną pracę i zostać twoim asystentem.

Victor uśmiechnął się, reagując na pochlebstwo rumieńcem.

– Lepszego asystenta ze świecą szukać!

– Odnoszę wrażenie, że dzięki dokładnemu rozpoznaniu, jakiego dokonaliśmy w tej dziedzinie – przy skali środków zainwestowanych w sprzęt i liczbie nurków, których wyprawy dzięki temu sprzętowi zaplanujesz – istnieje wielka szansa, że w rok, dwa natkniemy się na kilka wyładowanych po brzegi galeonów. Dzięki twojemu projektowi firma może zarobić setki milionów dolarów, ale zależy to tylko od ciebie, to ty będziesz zawiadywał komputerami. To ty będziesz mózgiem całej operacji i koniec końców to ty o wszystkim będziesz wiedział pierwszy. I tu tkwi sedno sprawy. Wszystko w twoich rękach, jaką więc mam gwarancję, że jeśli znajdziesz wśród raf jakiś galeon, nie postanowisz go ukryć czy też sprzedać informacji komuś trzeciemu w zamian za natychmiastowe i sowite

wynagrodzenie, nie zaś szczerą, lecz relatywnie skromną działkę, jaką otrzymywać będziesz od spółki?

Victor usiłował coś powiedzieć, lecz van Dongen go powstrzymał.

– Pozwól, że skończę. Siedź i słuchaj!

Victor usiadł okrakiem na ławce, by móc spoglądać na Jana, dla uspokojenia nerwów skrzyżował ramiona i zamienił się w słuch.

– Losy przedsiębiorstwa oraz całej rodziny Groote mam głęboko w dupie. Nie znoszę Vincenta nie mniej, niż on nie znosi ciebie. Mam jednak dług wdzięczności wobec Riekxa i nigdy, przenigdy nie zawiodę jego zaufania.

Jan zamilkł na parę chwil, wpatrując się Victorowi w oczy i starając się wybadać, na ile dobrze rozumiał on to, co do niego mówiono.

– Nie wydaje mi się, byś pogrywał z Rieksem nieczysto. Naprawdę taknie uważam, Vic, ale ja tak tylko myślę, a tu chodzi o to, żebym to wiedział. Dlatego też dziś się tu spotykamy. Abyś zrozumiał, że jeżeli oszukasz lub zdradzisz Riekxa, poczuję, jakbym to ja go zdradził, będzie mnie męczyło poczucie winy, ty zaś nie trafisz do więzienia, ale zginiesz.

Victor odetchnął z ulgą. Od momentu, gdy przed kilkoma minutami po raz pierwszy usłyszał wzmiankę o Interpolu, wyobraził sobie własną ruinę, utratę tej przyszłości, którą wypracowywał sobie, wykorzystując nawet przeciwność losu, przyszłości, którą praktycznie miał już w swoich rękach. Wyobraził sobie powrót do nędzy i ubóstwa, koniec marzeń, a wręcz widział perspektywę kolejnej odsiadki. Stwierdzenie Jana, że go zabije, brzmiało niemalże jak błogosławieństwo, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę fakt, że Victor nie zamierzał uczynić niczego, czym mógłby na siebie to zabójstwo sprowadzić.

W ciszy, która nastąpiła, Jan nie spoglądał na Victora, i jak zawsze, gdy ludzie mieli okazję dojrzeć jego groteskowy profil, począł drapać się środkowym palcem pomiędzy brwiami, tym samym przesłaniając dłonią swój nochal.

– Nie wiem, Janie, co powiedzieć – nie patrząc na rozmówcę, odezwał się wreszcie Victor. – Z jednej strony jestem ci wdzięczny za niewyjawianie mojej paskudnej tajemnicy. Z drugiej właśnie zagroziłeś, że mnie zabijesz. I nie rozumiem, dlaczego nie pokazałeś tych dokumentów Rieksowi.

– To nie byłoby wskazane. Rieks ma swoje ograniczenia, a w pewnych kwestiach jest człowiekiem małostkowym. Twoja przeszłość skłoniłaby go do wyeliminowania cię z projektu, na co ja nie mogę pozwolić. Operacja musi się posuwać, ja zaś jestem przekonany, że staniesz w niej postacią kluczową. Bez ciebie plan by zapewne wystartował, lecz, że się tak wyrażę, nie utrzymałby się w powietrzu.

Victor ponownie spojrzał na rozmówcę, a na jego twarzy malowało się zupełne zdumienie.

Rozdział dziewiętnasty



Gruba ciemnobrązowa maseczka miała za zadanie oczyścić pory i odświeżyć skórę twarzy. Została nałożona w taki sposób, by umożliwić dodatkowe działania wokół oczu, kości policzkowych oraz skroni, gdzie zmarszczki miało wygładzić czerwone mazidło. Zawinięty wokół głowy wielki zielony ręcznik przypominał turban. Ach tak, lustro: szybki rzut oka na maskę, aby zwiększyć satysfakcję z końcowego efektu, a teraz pora na nałożenie plastikowych tipsów i pomalowanie ich lakierem w odcieniu jasnej lawendy.

Tak, kochanie, powtarzaj sobie, żeś piękna, ale zadbaj też, by nie spieprzyć tych paznokci. Unieś ramiona w górę; rozchyl palce tak szeroko, jak tylko możesz. Tak, teraz wyglądamy o niebo lepiej, prawda?

– Tańczymy w ciemności, da ra ra ra, tańczymy w ciemności...

Świetnie, ale nie możemy zniszczyć maski. No dobra, papieros niech będzie, i pozbędźmy się tego koszmarne ręcznika. Jejku, czy ten telefon musi dzwonić akurat teraz...

– Halo? (...) Aa, tak, kochanie, ale mów do mnie po francusku czy jakośtak, angielski jest strasznie szorstki. Czy Alicia wreszcie przyjdzie? (...) Wspaniale! Z kim? (...) Nie! Victor, jesteś geniuszem! (...) Tak, tak, zobaczysz, mam dla ciebie niespodziankę! (...) Nie, pospiesz się. Będę czekać. Kocham cię.

Czyż to nie cudowne? Ten pomysł ze zmianą looku był strzałem w dziesiątkę. Pomyślmy: makijaż całego ciała, żeby wyglądać na Mulatkę, afrykańska peruka z drobnymi warkoczykami... Tak, Victor oszaleje z zachwytu.

Rozdział dwudziesty



Alicia weszła do salonu z sadzawką. W ślad za nią podążył Cosme.

– Rozgość się, zaraz wrócę.

Młodzieniec stał w miejscu, oszołomiony zbytciem i pięknem pomieszczenia. Przez rząd okien dostrzegał ogrody i basen. Ze zdumieniem zastygłym na twarzy kontynuował przegląd pokoju: wspaniała waza z epoki, ogromny telewizor, no i to oczko wodne!

Gdy przyklęknął, by sprawdzić temperaturę wody w sadzawce na samym środku pokoju, obok niej dostrzegł odsunięty, jakby porzucony, mający niespełna metr wysokości posązek z drewna. Rzeźba przedstawiała brodatego fauna z nogami kozy, długimi szpiczastymi uszami, wydatnym zadem i wielkim, czarnym, błyszczącym członkiem w stanie erekcji i ze szpiczastą główką. Cosme wpatrywał się w nią przez chwilę zmieszany, po czym się uśmiechnął.

Alicia niespodzianie zaszła go od tyłu.

– Czyż to nie najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałeś?

Cosme obrócił się, wciąż jeszcze nieco oszołomiony, i począł przyglądać się Alicii, jak gdyby widział ją po raz pierwszy. Była bosa, włosy zaś upięta w kok na czubku głowy. Wcześniej pozbyła się odzienia wierzchniego oraz stanika i miała teraz na sobie jedynie halkę i top z siatkowej dzianiny, który ledwie zasłaniał, acz nie zakrywał piersi. Cosme praktycznie dostał ślinotoku i nie mógł oderwać oczu od jej sutków. Alicia przyklękła przy faunie i delikatnie pogładziła go po udzie.

– Dostałam to wczoraj od przyjaciela – wyznała, ściskając teraz okazałytyłek fauna. – Nie jest ci za gorąco? Nie chciałbyś się trochę schłodzić?

Cosme przytaknął, wciąż jakby pogrążony we śnie. – Tak, o ile uważasz, że można.

Alicia odeszła, subtelnie się z niego podśmiewając.

– Ależ oczywiście, że można, głuptasie. Ściągaj ciuchy i wskakuj! Chcesz się czegoś napić? – spytała, z roztargnieniem pocierając jedną z piersi.

Cosme począł rozpinać guziki koszuli.

– Dobry pomysł! Co pijesz?

– Podwójny rum na lodzie.

– Świetnie, dla mnie to samo – odparł Cosme, unosząc kciuk.

Rozdział dwudziesty pierwszy



I voilà: Elizabeth Mulatka. Nowe afrowarkoczyki były urocze i sprawiały, że Elizabeth z każdej strony prezentowała się olśniewająco, co potwierdził

pobieżny rzut oka w trójskrzydłowe lustro. *Nie dziwota, że kosztowało tysiąc marek.*

Lekki biały golf na jej szyi sięgał niemalże uszu, a fałdy swetra w znacznym stopniu poprawiały wygląd niepozornego biustu. Fakt, jak na lato w Hawanie była ubrana trochę za ciepło, lecz klimatyzator chodził od wczesnego popołudnia i Elizabeth miała pewność, że w mieszkaniu skwar nie będzie im dokuczał. W czarnych jedwabnych pończochach i trzynastocentymetrowych obcasach jej masywne nogi wyglądały dosyć smukło, wręcz olśniewająco.

Spójrzmy, parę kroków w tył i seksowne spojrzenie w lustro przez ramię. No dobra, ten gorset to jakieś narzędzie tortur, ale z pewnością robi swoje: nikt nie mówił, że dbanie o szczupły wygląd będzie łatwe. Alternatywą jest tyranie dzień w dzień na treningu.

Tak, tak, tak! Piękna Elizabeth Mulatka. Co za radość!

Mam nadzieję, że się mu spodoba. Niech no spojrzę raz jeszcze na zadek... piękny. Być może nie jest tak doskonały jak Alicii, ale dopóki mam na sobie ten gorset, zazdrościć mi może wiele kobiet dwa razy młodszych ode mnie.

Pół godziny później samochód Victora zameldował się na podjeździe.

Parę kropli Joy za uszami. Dzięki, panie Patou. Perfumowany kubański papieros. Dzięki, panie Cohiba (o ile w ogóle ktoś taki istniał). Ruszajmy na spotkanie z Victorem w dymie kubańskiego dymu i francuskich róż.

– Cudownie – skomentował Victor, który czekał już u podnóża schodów.

– Podoba ci się moja peruka?

– Wspaniała – pochwalił Victor, delikatnie przebiegając dłonią po jedwabistej fakturze warkoczyków.

Elizabeth przeszła się wokół, naśladowując wypatrzone kiedyś w amerykańskim filmie krok alfonsa, podczas gdy Victor, autentycznie zadowolony z jej przemiany, rozptywał się w uśmiechach i komplementach. Zaczął wręcz wyczuwać narastającą przedwczesną erekcję.

Victor chwycił i podniósł wysoko dłoń Elizabeth, aby okręcić ją w tanecznym piruecie. W tle rozbrzmiewała muzyka Michela Legranda. Wymienili pierwszy pobieżny pocałunek.

Po paru kolejnych obrotach Victor objął Elizabeth w pól i pocałował ją długo i namiętnie. Elizabeth poczuła sztywność w jego spodniach i przycisnęła go mocniej i mocniej do siebie.

– Proszę, ta peruka naprawdę ci się spodobała!

Akurat w tym momencie z sąsiedniego budynku dobiegły ich trzy ćwierknięcia dzwonka.

– To Alicia.

– To niemożliwe – wymamrotał Victor, spoglądając na zegarek. – Jest dopiero za piętnaście dziewiąta, przyszła za wcześnie!

– Jeśli sama miałabym na warsztacie takiego czarnego adonisa, przyleciałabym jeszcze wcześniej!

Victor uniósł rękę w geście mówiącym „odczep się”, podczas gdy Elizabeth zwijała się ze śmiechu i już rozsuwała kotary z czerwonego aksamitu, które wisały po obu stronach szafy ciągnącej się wzdłuż ściany. Związała je grubymi sznurami.

Obróciwszy sofę przodem do atrapy szafy, Victor pospieszył przysunąć wózek z minibarkiem, Elizabeth natomiast rozwarła żaluzje w składanych drzwiach. Ich oczom ukazał się Cosme kucający nad brzegiem sadzawki.

Tył lustro fenickiego nie był zupełnie przejrzysty, ale połyskliwy i zasnuty białawą mgiełką. Zwierciadło nie było też zupełnie nieprzepuszczalne. Jeśli z przodu panowała ciemność, pomieszczenie zaś za lustrem dobrze oświetlono, w istocie dawało się spoglądać przez nie w drugą stronę. Lecz teraz światła w alkowie Elizabeth przygasły, a w pokoju z oczkiem wodnym było jasno, co w efekcie gwarantowało doskonałą widoczność.

Dwa rozległe pomieszczenia, teraz połączone ukrytym ekranem, sprawiały wrażenie otwartej przestrzeni o świeżej atmosferze ogrodowej oazy.

Cosme przystąpił do zdejmowania butów. Jego koszula leżała ciśnięta obok donicy. W miarę jak odsłaniał się coraz bardziej i bardziej, dało się stwierdzić, że istotnie był to okaz idealny: nieskazitelne zęby, które pochwaliby każdy ortodonta, czułe oczy, szerokie plecy zwężające się ku smukłej talii bez choćby grama tłuszczu, długi tułów i kończyny, delikatne dłonie. Elegancja w czystej formie.

Elizabeth przyglądała się wspaniałościom Mulata, który miał już na sobie jedynie białe stringi, cienki złoty łańcuszek na szyi oraz naszyjnik z czerwonymi paciorkami. Powoli, niemalże ostrożnie, zsunął się do wody i przykucnął, zanurzając się po podbródek.

Victor z nadzwyczajnym zainteresowaniem przypatrywał się drewnianemu faunowi. Podszedł do szklanej tafli, aby móc się mu przyjrzeć z bliska. Posążek posiadał niezmiernie grubego penisa o długości około piętnastu centymetrów. Zważywszy, że cała postać mierzyła niespełna dziewięćdziesiąt centymetrów, członek był ogromny. Na twarzy fauna malował się szelmowski uśmiech, jak gdyby pysznił się swym hojnym przyrodzeniem.

Spostrzegłszy to, Elizabeth zarechotała niczym facet w reakcji na świński dowcip, a następnie opadła na kanapę, by cieszyć oczy widowiskiem.

– Zastanawiam się, skąd ta szalona dziewczyna wytrasnęła ten posążek – skomentował Victor, wrzucając do swej whiskey parę kostek lodu.

– Przynieś mi martini – zamruczała Elizabeth. – Mariana przygotowała cały dzbanek i wstawiła do lodówki. Tylko użyj oliwek z Grecji.

Kiedy Victor zniknął za kotarą, Elizabeth skorzystała z jego nieobecności, by poprawić ułożenie suspensorium. Trzeba będzie sprawić sobie nowe, pomyślała, to jest zbyt obciste. W pośpiechu doprowadziła się do porządku. *Jasna cholera, za każdym razem, gdy krzyżuję nogi, prawie urywam sobie jajca.*

Rozdział dwudziesty drugi



Alicia wkroczyła w pole widzenia. Zauważyła Cosmego, który stał w wodzie ubrany w stringi.

– Facet, nie bądź śmieszny. Czyżbyś nigdy nie pływał na golasa z kimś, kto ci się podoba?

Cosme spojrzał na nią podejrzliwie, zdradzając oznaki zaniepokojenia.

– A co, jeśli ktoś tu wejdzie...?

Alicię bawiło jego zdezorientowanie. Stała obok sadzawki pewna swojej urody i delikatnie kołysała się z ręką na biodrze, spoglądając na niego, podśmiewając się z niego i w pełni nad nim panując.

– Jeśli ktoś wejdzie, załapie się na darmową lekcję pieprzenia z tancerzem, głuptasie... czy może masz coś przeciwko?

Najbystrzejszą ripostą, na jaką było go stać, okazał się chichot.

– Chcesz to zrobić już teraz, w wodzie?

– Nie, zrobimy to później. Wolałabym raczej zacząć, o tutaj...

Podejź, głuptasku.

Alicia usiadła z szeroko rozrzuconymi nogami i ustawiła między nimi niewielki taboret. Cosme z gracją wynurzył się z wody – lata treningów tanecznych wzięły górę nad cechującą go poza tym wielką niezdarnością. Nie żeby był prawiczkiem czy coś w tym stylu, zawsze jednak jego partnerkami były tancerki, dziewczyny z dzielnicy czy inne kąski z podobnej półki. Młodzieniec wydawał się więc zupełnie nieprzygotowany na to zaskakujące spotkanie z niesamowicie bogatą blondynką, która brzmiała jak Kubanka, lecz najwyraźniej musiała być cudzoziemką.

Kiedy podszedł, Alicia pozbyła się skąpego okrycia, które nie spełniało już żadnej praktycznej funkcji, i skinęła na niego palcem wskazującym jednej ręki, drugą kierując go ku stołkowi. Stał przed nią i czekał na kolejne

instrukcje, gdy wnet poczuł, jak ciągnie go dłońmi za stringi i klepie po nogach, aby podniósł stopy.

Alicia z podziwem oceniła jego przyrodzenie, wyraźnie unosząc brwi i wydając z głębi duszy okrzyk:

– O mój Boże, jaki piękny... Chodź tu i usiądź jak grzeczny chłopiec.

Rozwój wypadków nad oczkiem wodnym doprowadzał Victora i Elizabeth do szaleństwa. Obydwoje chłonęli każde mruknięcie, każde westchnienie, subtelne odgłosy dotykających się ciał, a ich podniecenie tylko wzrastało. Zgrawszy się w jedno z aktorami przedstawienia, obracali się lekko to w jedną, to w drugą stronę, dysząc, sapiąc, gryząc się nawzajem, ból i rozkosz łączyły się zaś i zlewały w jeden wartki strumień...

– Vic, spójrz tylko na to – głos Elizabeth obniżył się do chrapliwego szepotu tętniącego niecierpiącym zwłoki pożądaniem.

Akurat w tym momencie w pokoju z sadzawką odezwał się telefon.

– To z pewnością rzeźbiarz. Zapowiadał, że zadzwoni.

– Nie przerywaj, proszę. Niech sobie dzwoni.

– Jesteś taki impulsywny. Uważaj, bo jeszcze dostaniesz ataku serca. –

Alicia sięgnęła po aparat. – Jorge? Kochany jesteś. (...) Tak, jestem zachwycona. Jest przepiękny. Czego użyłeś, że się tak błyszczysz? Wazeliny? (...) Dla mnie? (...) Ale z ciebie napalony prosiak! (...) Tak, sama. – Mrugnęła porozumiewawczo do Cosmego, dzieląc swą uwagę pomiędzy pocałunki i pogawędkę przez telefon. – Niezupełnie jem, ale robię coś podobnego. Założę się, że nie zgadniesz...

Po drugiej stronie lustra Elizabeth naśladowała każdy ruch Alicii, a Victor, rozpostarty i niemalże osuwający się z kanapy, pozwolił jej działać, podczas gdy prowadzona przez Alicię rozmowa telefoniczna coraz bardziej go drażniła.

– Nie, kotku, to nie cukierek. W istocie jest to wręcz nieco słone.

Pogrążony w ekstazie Cosme zupełnie nie załapał żartu.

– O taaak, bardzo pożywne. (...) Sądzę, że nie potrafiłabym żyć bez tego. (...) Ciepłej, ciepłej. (...) Kształt? Trochę jak hot dog, tyle że większe (...)

i grubsze (...) Zgadza się. Gratulacje! Wygrałeś misia (...) No, ja myślę, jest przepyszny! A to już w ogóle nie twój interes (...) Ciao.

Alicia rozłączyła się i wybuchła śmiechem, łącząc się w nim z bratnią duszą satyra. Spojrzała na Cosmego i dostrzegła, że oczy uciekają mu już w tył głowy.

– Jeszcze nie! Poczekaj chwilę – powiedziała, odsuwając się. Następnie zaczęła pieścić przerośniętą główkę satyrycznego członka.

Oniemiała na widok nowego szaleństwa Alicii trójka obserwatorów śledziła miarowe obroty drobnej białej dłoni ze szmaragdowym pierścieniem. Wszyscy troje czuli, jakby zręczne manipulacje jej niecierpliwych palców dotyczyły ich samych.

Pochylony Cosme pieścił piersi Alicii, obserwując jej dłonie w lustrze naprzeciwko.

Jedną ręką urabiając śliski członek fauna, Alicia gestem poleciła Cosmemu przenieść się na stojącą przed nią kanapę. Mulat usiadł na sofie i rozłożył nogi w oczekiwaniu, licząc, że to właśnie miała na myśli. Alicia ustawiła się na czworakach i w dalszym ciągu pieściła satyra. Jednocześnie pozwoliła, by jej usta zajęły się czubkiem sztywnego fallusa Cosmego.

Mulat pomógł jej wyswobodzić się ze stringów, które do tej pory wciąż miała na sobie, by zintensyfikować jego wyczekiwanie. Jej wspaniały, rumiany tyłek kontrastował z ciemnymi barwami rzeźbionego fauna.

W przerwie między pocałunkami i ukąszeniami Alicia przygryzła wargi, westchnęła i przewróciła oczami. W jej przedstawieniu nie było ani grama fałszu. Była prawdziwą artystką, która rozkoszowała się i cierpiała z każdą chwilą procesu twórczego. Dla tej kobiety seks nie stanowił profesji, ale boskie powołanie, niebiański zew i objawione przeznaczenie.

Czubkiem jego członka przesunęła teraz po swych oczach i brwiach. Powąchała go i polizała niczym jakiś apetyczny tropikalny owoc, gotów w każdym momencie oddać swoje soki. Nie przerywając rytmicznych ruchów dłoni na penisie fauna, zaczęła kołysać całym ciałem. W miarę jak jej usta ślizgały się w górę i w dół po długim i nabrzmiętym członku Cosmego,

wypięta się tak, aby jej tyłek zetknął się z erekcją fauna. Nadal całując Cosmego, z każdym poruszeniem się napierała w tył i stopniowo rozwierała się musnięciami niecierpliwego i nasmarowanego fauniego prącia. Pięć minut później, penetrowana w ekstazie przez roześmianego satyra, zataczała biodrami ciasne kręgi, czego tak często starała się nauczyć Victora, który teraz obawiał się, że nie zdoła zaczekać na Elizabeth.

– Boże, jeśli zaraz nie skończę, chyba padnę trupem. Ona zwariowała.

Elizabeth stwierdziła, że również życzy sobie takiego samego fauna, a kiedy Victor ujrzał, jak Alicia wystawia szynkę ku Cosmemu i wpuszcza go w siebie na miejsce satyra, stracił panowanie nad sobą i buchnął orgazmem, który Elizabeth przyjęła na siebie z okrzykami niczym niezmaczonej radości.

– Tak! Taak!! Taaak!!! Taaaaak!!!! Taaaaaaaak!!!!!! Dawaj, dawaj, Vic, dawaj, kochany mój, teraz, Vic, teraaaaz, taaaak, oooo, ooooooch, oooch, ooch, och...

W ostatnich orgiastycznych konwulsjach Victor zerwał kosztowną perukę z warkoczykami i koralikami z kości słoniowej. Żłocisty makijaż Mulatki kontrastował z białą i piegowatą skórą łysej głowy Elizabeth.

Jednak Hendryck Groote nie zdołał zamaskować widocznego za uchem znamienia.

Rozdział dwudziesty trzeci



Przedstawienie Alicji dobiegło wreszcie końca. Elizabeth powróciła do salonu w roli zakochanej damy, z nieodłącznym słodkim uśmiechem na ustach – aczkolwiek w tym momencie uśmiech ów był zdecydowanie bardziej głupawy aniżeli słodki, a to za sprawą ośmiu martini, z których cztery ostatnie wtrąbiła niczym zawodowy pijak księżycówkę, a po których w znacznym stopniu utraciła panowanie nad mięśniami twarzy.

Rieks Groote i Elizabeth byli dwiema zupełnie niezależnymi osobami, które żyły w oddalonych od siebie światach. W kontaktach z Victorem każde z nich utrzymywało własny styl i nigdy nie przekraczało dzielącej ich linii. Odmienne przebiegały ich rozmowy, odmienne pełnili funkcje, a ich światy nigdy się nie przenikały. Kiedy Rieks spotykał się z Victorem, nigdy nie wspominał o Elizabeth, Elizabeth zaś zachowywała się tak, jakby Rieks w ogóle nie istniał. Victor i Rieks konferowali bądź spierali się na tematy biznesowe – i na żaden inny. Elizabeth i Victor również miewali sprzeczki, lecz nigdy nie dotyczyły one biznesu, a zdarzały się jedynie przy sporadycznych napadach zazdrości ze strony Elizabeth. Kiedy tylko odczuwała, że traci pewność siebie, czy też nachodziło ją zwątpienie w szczerść jego uczuć, atakowała Victora pod byle pretekstem.

Umiejętność tak przekonującego kształtowania obydwu osobowości wzbudzała w Victorze fascynację: były one zarazem tak spójne i tak zupełnie odmienne. Mimo to gdy we wrześniu za sprawą sporu o prowizję między Victorem a Rieksem powstała głęboka przepaść, ucierpiały na tym także jego relacje z Elizabeth.

Przez niemal miesiąc nie widzieli się ani razu, lecz na dwadzieścia dni przed pokazem wybujałych akrobacji Alicii z jej dwoma uległymi faunami Rieks zawiadził Victora do biura i poinformował go, że van Dongen dokonał dogłębnej analizy całej operacji, a wnioski płynące z raportu przekonały go, że żądania Victora są jak najbardziej słuszne. Oznajmił, że jeszcze tego popołudnia wyjeżdża do Holandii, zabierając ze sobą żelazne uzasadnienie oparte na sprawozdaniu van Dongena, aby wyjaśnić temat w rozmowie z bratem i w obecności członków rady nadzorczej.

Parę dni później Rieks powrócił i ogłosił, że wszystkie żądania Victora zostały przyjęte, a stosowne dokumenty będą gotowe do podpisu wraz z końcem stycznia. Victor szczerze podziękował mu za interwencję w jego imieniu. Jednocześnie odczuł nagłą potrzebę, by spotkać się z Elizabeth i

uczynić ją bardzo szczęśliwą. Jeszcze tego popołudnia zostawił w jej domu liścik.

Co do zasady – jeśli można tu mówić o zasadach – Victor był hetero; nie odczuwał fizycznego pociągu do Elizabeth. Kiedy jednak stroiła się w te swoje prowokujące suknie, spryskiwała egzotycznymi perfumami i na inne sposoby dodawała sobie czaru, wtedy, cóż, była w stanie go pobudzić. Rozpalała go powoli i wówczas, w ciemności, gdy nadchodziła chwila prawdy, reagował jak prawdziwy mężczyzna i doznawał wewnątrz Elizabeth najprawdziwszej satysfakcji.

Gdy na scenie pojawiła się Alicia, sprawy stały się jeszcze łatwiejsze. Ich kontakty seksualne były teraz czymś, czego oboje wyczekiwali z wielką niecierpliwością. Spiskowali niczym młodzi kochankowie i spekulowali, co też ta zwariowana dziewczyna wymyśli następnym razem. Alicia była bowiem bezcenna. W ich napięte relacje wprowadziła tajemniczość i nadzieję. Była pomysłowa i twórcza, wspaniale improwizowała, doprowadzała Victora i Elizabeth do erotycznego szaleństwa. Niekiedy pozwalała sobie na kpiny z własnych kochanków. Pewnego razu wysypała na podłogę salaterkę pełną sycylijskich oliwek i nakazała partnerowi wybieranie ich przy użyciu pośladków – za każdą podniesioną oliwkę obiecała przedłużyć pieszczoty oralne o kolejną minutę. Elizabeth śmiała się jak dziecko i błagała Victora, by również podjął się wyzwania.

Od chwili pojawienia się Alicii Elizabeth nie musiała już zaczynać swych podchodów od zera. Kiedy tylko Alicia przystępowała do działania, a Elizabeth przywdziewała swój strój, Victor był gotowy i wspaniale nabrzmiały. Elizabeth poczuła się piękna i seksowna; Victor wzbudzał w niej coraz większe zaufanie i coraz bardziej ją pociągał. Zamknąwszy oczy, niemalże była w stanie powrócić do lat młodości, w których tak rozpaczliwie pragnęła znaleźć się w ramionach kogoś pokroju Mela Gibsona.

* * *

Z pokoju, który podczas popisów Alicii służył za teatralną lożę, wciąż było widać arenę jej niedawnych wyczynów. Alicia i jej cudowny tancerz wyszli już jakiś czas temu. Spośród uczestników cudownego wieczornego misterium na miejscu pozostał jedynie faun, który nadal się uśmiechał.

Elizabeth zamknęła szafę i zaciągnęła kotary, nucąc coś pod nosem. Nalała sobie kolejne martini, Victorowi przygotowała whiskey na lodzie, po czym wzniosła toast.

– Za nas!

Wstali, stuknęli się szklankami i wypili.

Victor odciągnął kanapę na jej zwyczajowe miejsce pośrodku pokoju, a następnie na nią padł. Miał na sobie jedynie krótkie spodenki i pomimo działającej klimatyzacji było mu ciepło.

Pół godziny i dwa martini później język Elizabeth stał się ciężki jak nigdy dotąd, a jej umiejętność chodzenia na wysokich obcasach przepadła bez wieści. Przez cały czas miętoliła w ustach kosmyk włosów, co tym bardziej utrudniało zrozumienie artykułowanych przez nią słów.

Victor był znieczulony i rozluźniony, ale nie pijany, toteż gdy ujrzał, jak Elizabeth wlewa w siebie kolejne martini, delikatnym gestem zabrał jej kieliszek i odstawił go na stół.

– Wystarczy, Elizabeth. Nawet ty musisz sobie zdawać sprawę, że wypijaś już zbyt...

– Czy gdybym była tak pijana, jak ci się wydaje – przerwała mu, ewidentnie pijana w sztok, a zarazem zdeterminowana udowodnić, że jest inaczej – to myślisz, że byłabym w stanie zrobić coś takiego?

Rozrzuciwszy ramiona w bok, poczęła wirować na jednym obcasie niczym tańczący derwisz, wnet jednak utraciła równowagę i wpadła na Victora, który podtrzymał ją w pasie.

– Chodźmy do łóżka, Elizabeth. Jesteś bardzo pijana.

– To tyyy jesteś pijany, amigo... a teraz zobaczmy, czy umiesz zrobić tak.

Spróbowała zrobić czwórkę, to jest stanąć z rozpostartymi ramionami na jednej nodze i unieść kostkę drugiej nogi do kolana, lecz upadła na bok.

Victor zaśmiał się kpiarsko i poderwał się z kanapy, aby zademonstrować, jak należy robić czwórkę. Elizabeth odepchnęła go z powrotem na sofę i skoczyła na niego, udając atak gniewu, by koniec końców roześmiać się wraz z nim, podgryzając go i całując, aż w bezładnej masie splątanych ciał opadli razem na podłogę. W takiej pozycji pozostali na kilka minut, aż wreszcie zdołali opanować śmiech.

Usiadłszy na podłodze w pozycji lotosu, Elizabeth wzięła z dolnej części minibarku oliwkę.

– A teraz patrz na mnie! Pokażę ci, kto tu jest pijany.

I z oliwką między palcem wskazującym a kciukiem przymknęła jedno oko i podjęła próbę rzutu za trzy punkty do oddalonego o jakieś pięć metrów pustego wazonu o wąskiej szyjce. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu trafiła. Skoczyła z kanapy i wśród gwizdów i okrzyków radości odtańczyła chwiejny taniec zwycięstwa. Następnie podniosła talerz z oliwkami i podetknęła go Victorowi, wykrzykując:

– No dalej, pijaczku, pokaż, co potrafisz!

Victor bez przekonania wziął oliwkę, rzucił i ujrzał, jak wtacza się ona pod najbliższy stolik.

Pokojem wstrząsnął drwiący rechot Elizabeth, Victor zaś rzucił ponownie, a potem raz jeszcze, za każdym razem pudłując.

Elizabeth rozkoszowała się jego niepowodzeniem. Gwizdała, szydziła, pokazała mu wała i zapierdziała ustami.

Przy czwartej próbie Victor w groteskowy sposób odtworzył całą szopkę, jaką tyle razy widywał na boiskach do koszykówki. Chwycił oliwkę obiema rękami, przycisnął ją do klatki piersiowej i uniósł głowę, by ocenić odległość. Następnie odetchnął głęboko, skoncentrował się i podparł łokieć na dłoni lewej ręki. Płynnym ruchem nadgarstka wyrzucił oliwkę, która przeleciała wysokim łukiem, nawet nie zbliżając się do naczynia.

Tym razem Elizabeth dosłownie oszalała. Gwizdała, skakała i biegała przez cały pokój, robiąc wszystko to, co zwykli robić kibice, gdy drużyna przeciwnika zmarnuje rzut wolny.

Przy ostatniej z prześmiewczych akrobacji Elizabeth poślizgnęła się na oliwce i – w szpilkach na nogach nie mogąc odzyskać równowagi – upadła do tyłu na najbliższą donicę. Jeden z lancetowatych czubków na ozdobnym żelaznym obramowaniu donicy utrafił w jej kość potyliczną i przebił rdzeń kręgowy.

Śmierć na miejscu.

Elizabeth leżała na plecach z głową przygiętą do tułowia niemalże pod kątem prostym, otoczona zielenią przetykaną kwiatami alpinii purpurowej. Nieco przekrzywiona peruka i przesadny makijaż sprawiały, że wyglądała niczym zapomniany manekin. Lecz jej sztucznie przyciemniona cera, kontrastująca z przebłyskami intensywnego szkarłatu spowijających głowę kwiatostanów alpinii, zaczynała już przybierać upiornie trupi odcień zieleni.

Pestka feralnej oliwki nakreśliła na woskowanym parkiecie idealnie prostą linię.

1996



Scenariusz i rekwizyty do filmu z happy endem

Rozdział dwudziesty czwarty



Alicia spała głęboko. Dopiero któryś z kolei dzwonek telefonu zdołał wyrwać ją ze snu. Aparat przestał dzwonić. Alicia zakryła oczy poduszką, aby osłonić je przed ostrym światłem spod sufitu.

Margarita weszła do pokoju i poklepała ją po ramieniu. Alicia wymamrotała coś pod nosem i przewróciła się na drugi bok.

– Wstawaj, dziecko! Victor usiłuje się z tobą skontaktować.

– Która godzina? Czego chce?

– Czwarta trzydzieści. Podnieś słuchawkę. Mówi, że to coś pilnego.

Alicia wzięła słuchawkę i położyła ją sobie na uchu.

– Co? (...) Ty masz pojęcie, która jest godzina? Na Boga, przecież ja już oddawna śpię! – Alicia podparła się na łokciach. Nagle wyglądała na zupełnie obudzoną i zaintrygowaną. – Twoja żona? (...) Dobrze, coś na siebie wrzucę i natychmiast wychodzę.

Rozłączyła się i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że przez cały ten czas Margarita stała przy łóżku, pocierając ręce w oczekiwaniu na wyjaśnienie, cóż to za pilna sprawa. Alicia spojrzała tylko na nią zamyślona. Była w koszmarnym nastroju.

– Coś się stało, Ali?

– Wygląda na to, że żona Victora miała wypadek... – Co jej się stało?

– Nie powiedział.

– A więc co ty...

– Co ja tam wiem, matko? Skoro prosi mnie o pomoc... – Urwała,

wzruszyła ramionami i uznała, że wystarczy tego wypytywania.

Wyskoczyła z łóżka i na oczach matki krótkim, równym krokiem, rodem ze szkoły dla panien z dobrego domu, przeszła nago do łazienki.

Rozdział dwudziesty piąty



Popielniczka pełna w połowie niedopalonych kiejów; ciało Grootego nakryte jedwabnym prześcieradłem; połączony zegar kominkowy obwieszający wszem wobec godzinę piątą piętnaście.

Victor usłyszał odgłos otwierającej się automatycznej bramy, przeszedł przez salon, wyjrzał przez żaluzje i rozpoznał biały kabriolet Alicii, który podjazdem przez ogród zbliżał się do garażu. Z wnętrza domu uruchomił drzwi garażu; aby zrobić jej miejsce, własny samochód zawczasu wyprowadził na podwórko. W drodze przez kuchnię do salonu usiłował przygotować Alicię na czekający wstrząs.

– Stało się coś strasznego – zaczął niskim i rozedrganym głosem.

– Z Elizabeth?

– Cóż, mniej więcej – wykręcał się.

– Mniej więcej? Co to w ogóle za odpowiedź?

Alicia jeszcze nigdy nie była w tym domu. Przeszli wprost do salonu, niemalże tak obszernego jak w sąsiednim budynku. Pierwszą rzeczą, którą Alicia starała się namierzyć w pomieszczeniu, była posrebrzana strona wielkiego lustra. Ścianę, gdzie spodziewała się ją znaleźć, zasłaniały w

całości kotary z czerwonego aksamitu. Wciąż nie dostrzegała natomiast ciała, które leżało obok donicy za kanapą po przeciwnej stronie pokoju. Alicia zwróciła się ku Victorowi.

– No więc? Wykrztuś to! Co tu się dzieje?

Victor wziął ją za rękę, poprowadził za róg kanapy i wskazał na zalegającą na podłodze przykrytą prześcieradłem bryłę.

Alicia stanęła jak wryta i z dłońmi złożonymi na ustach stłumiła cichy okrzyk.

Victor podszedł na miejsce i odciągnął prześcieradło. Oczom Alicii ukazało się ciało. Włosy kobiety i głowa nadziana na ostrze rozłożone były na podłodze niczym wachlarz.

– Mulatka? Czy ona nie żyje?

Victor przytaknął.

Alicia poczuła, jak skóra na jej skroniach się napina. Victor wskazał między nogami zwłok ślad po feralnym poślizgu. Dwa metry dalej, w linii prostej od ciała, leżała zmiażdżona oliwka, a w innych miejscach salonu widać było jeszcze parę niezdeptanych.

– Poślizgnęła się na oliwce?

Victor znowu przytaknął.

Alicia spojrzała ponownie na ciało i wykrzywiła twarz w grymasie.

– Elizabeth była Mulatką?

Victor podpalił dwa papierosy i podał jednego z nich Alicii. Zawahała się przez chwilę, lecz gdy w końcu go wzięła, zaciągnęła się głęboko. Victor odszedł ku oknom, aby dać jej czas na pozbieranie się. Następnie, wsparłszy łokcie na zagłówek sporego fotela, jak gdyby dla osłony przed ewentualnym atakiem, nie podnosząc wzroku, wydusił z siebie najtrudniejszą z wieści.

– To facet.

– CO TAKIEGO?

– Czasami... po prostu daję się kochać...

Elizabeth nie żyła. Elizabeth była Mulatką. Mulatka była facetem. Facet był kochankiem Victora! Wszystkie te niespodziewane rewelacje ewidentnie ją przerastały. Uniósła brwi, zdobyła się na pełen melancholii uśmiech i spojrzała na Victora. Wnet otworzyła usta i podniosła palec, chcąc coś powiedzieć, lecz nie wiedziała co. Opuszkami palców ścisnęła skronie, usiłując sformułować natłok myśli w jakiś logiczny ciąg. Wreszcie, znowu zwróciwszy się ku zwłokom, wydukała:

– A więc... twoja żona... Elizabeth? – Nigdy nie było żadnej Elizabeth!

Alicia ponownie spojrzała na Victora. W jej oczach szok mieszał się ze strachem i nieufnością.

Tymczasem największą niespodziankę Victor zachował na deser.

– To Hendryck Groote.

Alicia jęknęła i nachyliła się ku Victorowi, tak jakby mogło jej to pomóc w zrozumieniu tego, co właśnie usłyszała.

– Twój sz... szef?

Victor nawet nie przytaknął. Zaczął ponownie chodzić bez celu po pokoju, przeczesując palcami włosy.

– Na miłość boską! – Alicia spojrzała na Victora jak na kogoś zupełnie obcego.

Co to za facet? I co ja tu z nim robię? Dlaczego jeszcze nie wyszłam? Ciągnie swój do swego i podobne brednie...

Złowieszcze porzekadło rozbrzmiewało echem w jej głowie niczym litania karcącego nauczyciela. Alicia zamknęła oczy i opadła na fotel.

– Zadzwońeś po pomoc?

– Zadzwońełm do ciebie.

– Ale po co do mnie? – Już po raz drugi tej nocy Alicia przeklinała się w myślach za uwikłanie w jakiejkolwiek konszachty z tym gościem.

– Kiedy rozpocznie się dochodzenie, z pewnością znajdą ekran łączącyoba budynki i zrobi się prawdziwy smród. Nie wiem, czy uda się ciebie przed tym ochronić. Kiedy wezmą mnie na przesłuchania...

O co mu chodzi z tym ochranianiem? Alicia zaczęła panikować. Czy to możliwe, że spróbuje zwalić całą winę na mnie? Albo że będzie mnie szantażował? Chwileczkę, spokojnie: zobaczymy, do czego zmierza.

Alicia stała, przygryzając wargi, i nie zdradzała po sobie, że szykuje się do kontrataku. W myślach rozważyła wszystkie możliwości. Nawet jeżeli koniec końców z danej sytuacji nic się nie urodzi, jej styl życia narażony był na niebezpieczeństwo dekonspiracji. Serce jej łomotało, lecz instynkt podpowiadał, by zdusiła strach. Wzięła głęboki wdech i nachyliła się, chcąc lepiej przyjrzeć się ciału, cały czas starała się udawać, że „to w sumie nic wielkiego”.

– Uważasz, że mogą usiłować cię zrobić? – spytała w pełni opanowanym głosem.

– W żadnym razie! Eksperci sądowi w mig przekonają się, że mówię prawdę. Gość był pijany i się po prostu poślizgnął... i tyle. Ja nie miałem z tym nic wspólnego.

– Uprawiałeś seks z wieloma mężczyznami?

– Paru ich było. Wyobraź sobie, że przez pięć lat siedziałem w meksykańskim więzieniu.

W meksykańskim więzieniu, pomyślała Alicia. I tak już będzie przez całą noc? Za każdym razem, gdy Victor otwierał usta, przebijał swoją wcześniejszą wypowiedź. A więc mój ukochany szef jest pedałem i byłem skazańcem. Dacie wiarę? Poruszę tylko jakiś temat, a tu nokaut.

Mimowolnie znowu otworzyła usta ze zdziwienia. Patrzyła, jak Victor sadowi się w fotelu i krzyżuje nogi na stole.

Niech mnie diabli, jeśli nie wygląda na opanowanego.

– Alicio, zadzwoniłem po ciebie, ponieważ ten burdel dotyczy nas obojga. I bez względu na rozwój wypadków ty wrócisz do zarzucania tyłkiem na rowerze, ja zaś wyląduję na tyłku jako gołodupiec, a rolę tę zdążyłem swego czasu szczerze znienawidzić.

– Faktycznie, ja pewnie będę musiała wrócić do pedałowania, ale dlaczego niby ty miałbyś oberwać? Szykujesz się do wielkiego interesu i wygląda na to, że wszyscy cię popierają – odparła Alicia.

Victor wyprostował się i zmusił, by wyznać jej całą prawdę, a przynajmniej tyle prawdy, ile był w stanie wyznać komukolwiek.

– To naprawdę oczywiste, o ile tylko znasz kontekst. Rieks i ja byliśmy kochankami od niemalże trzech lat, lecz utrzymywaliśmy to w ścisłej tajemnicy. Nigdy nie mieszaliśmy w nasz romans kwestii biznesowych i nikt niczego nie podejrzewał. Rieks miał żonę i dzieci, matkę i trzech braci – a wszyscy oni są niewyobrażalnie bogaci. Do tej pory za swą pracę otrzymywałem po prostu pensję, lecz za parę miesięcy firma miała podpisać kontrakt gwarantujący mi półtora miliona dolarów rocznie przez dziesięć lat. Tymczasem jednak wobec śmierci Rieksa można spokojnie założyć, że projekt poszukiwań zatopionych galeonów weźmie w łeb, a mnie spotka coś równie okropnego.

– Wciąż nie wyjaśniłeś mi dlaczego – przerwała mu Alicia.

– To długa i smutna historia, lecz dość powiedzieć, że starszy brat Rieksa, Vincent, nienawidzi mnie i mojego pomysłu, teraz zaś to od niego wszystko będzie zależało. Cała reszta rodziny ma w głębokim poważaniu uruchomioną przez Rieksa Sekcję Karaibską i istotnie, wzięwszy pod uwagę ich cały majątek, komórka ta znaczy tyle co nic. I właśnie wielkie nic mi z tego wszystkiego pozostanie.

Alicia przybrała oblicze zawodowego pokerzysty i zamieniła się w słuch. *A więc nie chodzi tu o mnie, ale o ciebie... Mów dalej, kochasiu. Jestem pewna, że to nie koniec niespodzianek – więc cokolwiek skrywasz w zanadrzu, wykrztuś to wreszcie. Pal sześć, jakoś to zniosę!*

I już na głos, do Victora:

– Co zatem chcesz zrobić?

Victor ponownie wstał i obszedł pokój, bynajmniej się nie spiesząc.

Alicia była zdecydowana zachować spokój i pozwolić, by działał w swoim tempie. Koniec końców to on wiedział, co się tak naprawdę stało, i tylko on

miał jakieś pojęcie o tym, co teraz należy zrobić. Zważywszy na jego opanowanie, Alicia była przekonana, że najlepsze dopiero usłyszy.

Po dłuższej chwili, która wydawała się trwać wiecznie, Victor nachylił się, by ponownie przykryć zwłoki, i powiedział coś, co sprawiło, że Alicii po plecach przebiegły ciarki.

– Tak, ta oliwka bez dwóch zdań wydymała nas na cacy, ale jeżeli odpowiednio rozegramy nasze karty, za tego trupa możemy wyciągnąć dobre cztery miliony.

Alicia patrzyła na niego z niedowierzaniem, lecz wzmianka o czterech milionach rozdzwoniła jej się w uszach setkami dzwoneczków. Wobec nieoczekiwanej wolty, która skierowała rozmowę na coś, do czego z łatwością sama mogła się odnieść, Alicia poczuła, jak dreszcz przerażenia opuszcza ją i przemienia się w dreszczyk żywotnego zainteresowania ową wciąż nieujawnioną propozycją. Uśmiechnęła się, lecz uśmiechem tym dawała do zrozumienia, że nie zamierza dać się oszwabić. Następnie zdecydowanym krokiem podeszła do Victora i zbliżyła czoło do jego ust, wyczuła w oddechu woń alkoholu i nikotyny.

– Upewnijmy się, że dobrze zrozumiałam. Mówisz o czterech milionach dolarów... amerykańskich... zielonych... nie lirów, nie franków, żadnego tego typu szajsu?

– Jego rodzina zapłaci każdą sumę, jakiej zażądamy... o ile, rzecz jasna, mi pomożesz.

– Cztery miliony za trupa?

– Ależ nikt nie wie, że on nie żyje. Posłuchaj – ciągnął Victor, nieomal uśmiechnięty – plan jest prosty i całkowicie bezpieczny, a przynajmniej równie bezpieczny jak codzienne wyjście z domu do pracy. Ja będę działał od środka, więc na każdym kroku będę dokładnie wiedzieć, co się dzieje, ale potrzebuję partnera, który działałby na zewnątrz, a możesz nim być tylko ty.

– Dlaczego ja?

– Bo, nie licząc mnie, jesteś jedyną osobą, która wie, co tu się wyrabiało, a poza tym nikogo innego po prostu nie mam.

Alicia stała w miejscu i usiłowała przetrwać tok rozumowania Victora, kiwając głową w podświadomym geście aprobaty. Co oczywiste, od pomysłu do skutecznego planu wiodła daleka droga. Lecz w chwili obecnej brzmiało to wszystko całkiem nieźle.

– A co ja z tego będę miała?

– Taką samą stawkę za takie samo ryzyko. Fifty-fifty, partnerzy nacałego. Dwa miliony dla ciebie i dwa dla mnie. Jeżeli zainwestujemy je z głową, możemy zyskać wolność do końca życia.

Alicia w dalszym ciągu zamyślona wpatrywała się w dal, przewracając oczami.

– Alternatywą jest wrócić na rower i dalej kręcić tyłkiem na ulicach Hawany. Pożegnaj się z kabrioletem i z trzema tysiącami miesięcznie. Bez polecenia ze strony Rieksa nikt tych poborów nie zatwierdzi, a ja nie będę miał jak ich uzasadnić.

Pod niewzruszoną powłoką Alicia była o krok od wymiotów. Tak, rozmiary kataklizmu stawały się coraz wyraźniejsze, a jakiś wewnętrzny głos podpowiadał, by przejść do działania, kontratakować, poczynić odpowiednie kroki, zrobić coś wreszcie. *Dobra, jasne, ale co z tym gościem, co z Victorem? Czy jest godzien zaufania? Tylko jeśli to będzie w jego interesie. Niech tam, tak już widać ma być.*

Z zachowania Victora, a także opierając się na własnym rozsądku i logice ostatnich wydarzeń, Alicia wnioskuje, że nie był on mordercą. Facet był zbyt cwany, żeby zarznąć kurę znoszącą złote jaja. Nie, Groote stanowił dlań gwarancję realizacji hołubionego projektu i życia pełnego wygód. Zabijanie go dla paru dolców było najzwyczajniej nielogiczne. *Jeżeli chodzi ci o okup, to utrzymujesz gościa przy życiu... a przynajmniej do momentu otrzymania pieniędzy.* Zresztą gdyby to on go zabił, po wszystkim by jej nie wzywał. Sprzeczka kochanków? Nic w pomieszczeniu na to nie wskazywało.

Nie, nie! Victor był kłamcą, oszustem, cynikiem i postacią zupełnie amoralną, lecz nie morderczym psychopatą zdolnym do tak głupiej zbrodni.

– A co, jeśli nie będę w to chciała wejść?

– Jeśli nie będziesz chciała, to nie wejdiesz. Ale bez twojej pomocy mamprzesrane. Nie dam rady zgarnąć okupu.

– Co byś w takim razie zrobił?

– Za parę minut wezwałbym policję, a potem przez kilka dni stawiałczoło ich podejrzeniom i przesłuchaniom, aż eksperci potwierdziliby prawdziwość moich zeznań. Jego śmierć to oczywisty wypadek, a zresztą każdy wie, że Rieks był dla mnie przepustką do świata grubych ryb... Zabicie go nie przyniosłoby mi żadnych korzyści, a utrzymanie go przy życiu dałoby mi bardzo wiele. Nie, to nie trupem się przejmuję. Problem stanowi dochodzenie, które przeprowadzą w tym domu, i wrzawa, jaka wybuchnie, gdy odkryją, co się tutaj działo.

– Co się gdzie działo? – spytała Alicia, rozglądając się po pokoju, byzatrzymać spojrzenie na czerwonych kotarach, które od sufitu po podłogę i od końca do końca zasłaniały ścianę działową.

Pojąwszy powód jej zmartwienia, Victor odciągnął ciężkie zasłony, po czym kluczem wyjętym z jednej z górnych szuflad szafy otworzył zamek i rozsunał drzwi z żaluzjami, prezentując panoramiczny widok na pokój z sadzawką.

– Tym się właśnie zamartwiam – wyjaśnił Victor z zamaszystym ruchemręki. – Ekranem, przylegającymi domami, tym wszystkim.

Alicia przypatrywała się przestronnemu pomieszczeniu, tak jakby widziała je po raz pierwszy w życiu. Tam zaś leżał faun, przewrócony twarzą w dół, lecz nadal uśmiechnięty od ucha do ucha.

– A kiedy wezmą mnie na przesłuchanie, nie ma szans, bym o tobie niewspomniał. Bo wiesz, mogą sobie pomyśleć, że to wszystko było nieźle zboczone, nie stanowiło jednak przestępstwa. Jeżeli zacznę im kłamać, będą gotowi dopatrywać się zbrodni, które nie miały miejsca, rozumiesz?

– Jasne. A jakie jest trzecie wyjście? Bo zawsze istnieje coś trzeciego?

– Pewnie, zawsze mogę rozpędzić mercedesa do stu osiemdziesięciu i rozwalić się nim na jakimś murze.

Wewnętrzne przeczucie kazało Alicii przystopować.

– Czułeś coś do Riekxa?

– Oczywiście. Wdzięczność, podziw... Sukinkot miał więcej ikry niż większość facetów hetero. A do tego był moim bliskim przyjacielem... Zakochał się we mnie.

– Miał niezły gust. Czy ktoś w firmie wiedział o jego upodobaniach?

– Jak na razie nikt. Ale jeżeli nie pozbędę się ciała, jutro wiedzieć będą wszyscy.

– Ale skąd się dowiedzą?

– Skąd się dowiedzą?! A jak ty sobie, kurwa, wyobrażasz, co pomyślą, kiedy znajdą go tutaj ubranego i wypacykowanego jak jakaś królowa nocy, a do tego z moim nasieniem w przełyku?

W tym momencie Victor stracił panowanie nad sobą. Ze szlochem, który dobył się z głębi jego trzewi, wybuchnął cichym płaczem i skrył twarz w dłoniach.

Jego brutalne wyznanie i szczerość jego łez zadziałały na Alicię uspokajająco. Jeżeli mogła skreślić go z listy potencjalnych zagrożeń, to całe przedsięwzięcie nie wydawało się aż tak trudne. *No jasne! Porwanie trupa jest o wiele łatwiejsze niż porwanie kogoś żywego. Nie trzeba takiego pilnować, nie trzeba karmić.* Alicia poczuła, że stąpa już po pewniejszym gruncie. Podeszła do Victora od tyłu i poczęła rozmasowywać mu kark, pozwalając, by wyrzucił wszystko, co mu leżało na wątrobie.

– Chodzi o to – zaczął tłumaczyć, ocierając policzki wierzchem dłoni – że albo wchodzimy w to razem, albo w ogóle. Wóz albo przewóz. Dlatego musimy wspólnie podjąć decyzję.

Alicia wciąż się zastanawiała, lecz nie była w stanie skupić się na szczegółach.

– Nie czuję się tu dobrze! – wykrzyknęła, stanąwszy naprzeciw Victora. – Możemy przejść do drugiego domu?

– Masz klucze od tylnych drzwi?

Alicia pogrzebała w torebce i wyciągnęła pęk kluczy. Razem wyszli na podwórze. Ostatnie gwiazdy nocy były wciąż widoczne na bladym tle zachodniego nieboskłonu. Z jakiejś odległej restauracji na świeżym powietrzu z ledwością dobiegało basowe dudnienie szafy grającej, bryza zaś niosła ze sobą charakterystyczny, bujny i tropikalny bukiet.

Victor odciągnął zasuwkę w siatkowej furtce między dwoma podwórkami. Razem pokonali niewielki pagórek skoszonej trawy, ścieżką z otoczków obeszli od tyłu basen i podeszli do budynku. Alicia wypróbowała kilka kluczy, nim wreszcie otworzyła przesuwne drzwi ze szkła.

– Chce mi się pić – powiedziała. – Wezmę sobie coś gazowanego. Co dla ciebie?

– Wolałbym piwo.

Kiedy Alicia podążyła do kuchni, Victor postawił posążek fauna z powrotem na nogi i się uśmiechnął. Uśmiech satyra był zaraźliwy.

– Podobało ci się wczorajsze przedstawienie?

– Było absolutnie genialne!

– Lecz niestety to już dawne dzieje – skostatowała, podając mu piwo. – Po ptokach! Ale zajmijmy się już naszym zadaniem.

Alicia upiła spory łyk z wysokiej szklanki z colą, położyła na stole notatnik i flamaster i zasiadła do roboty.

– No dobra. Przedstaw mi zatem swoją wizję planu działania: powoli, krok po kroku i ze wszystkimi szczegółami.

* * *

Alicia ukończyła ostatni wpis równo kwadrans po siódmej rano. Już prawie dała się przekonać. Nie zgadzało się zaledwie parę szczegółów. *Owszem, plan pozbycia się ciała jest dobry i nie powinniśmy napotkać żadnych trudności... No, chyba że zdarzy się coś zupełnie nieprzewidzianego, ale co tam.* Wszystko, co Victor zaplanował, było wykonalne. Najtrudniejszy mógł się okazać sam odbiór okupu, ale Victor miał działać od wewnątrz i

orientować się we wszelkich ruchach podejmowanych przez Vincenta Grootego i jego przydupasów... *Co zatem mogłoby pójść nie tak?*

Victor poszedł do łazienki, Alicia wykorzystwała więc przerwę, by przejść się po trawniku za domem. Odkręciła kran za garażem i przyłożyła mokre i schłodzone palce do skroni i karku.

Kiedy Victor wrócił, złożyła notatki w zgrabną kostkę, wsunęła ją do tylnej kieszeni dżinsów i zgarnęła kluczyki do samochodu.

– Wydaje mi się, że mamy już plan. Ale muszę pobyć sama, by goprzemyśleć – zakomunikowała, kierując się ku kuchennym drzwiom prowadzącym do garażu. – Jak chcesz, możesz tu poczekać. Niedługo wrócę z odpowiedzią.

– Dokąd jedziesz?

– Nie wiem. Masz zegarek? Daj mi parę godzin... O dziesiątej będę zpowrotem.

Victor z początku nie odpowiedział. Pożegnał ją wzruszeniem ramion i przeciągłym ziewnięciem.

– Postaram się nieco zdrzemnąć.

* * *

Alicia jechała kabrioletem Piątą Aleją, raz po raz rozważając zaistniałą sytuację. Zaiste, los to kawał skurwysyna. Jedna durna oliwka i wszystkie jej plany poszły w diabły. *Kurwa mać!* I co teraz niby miała zrobić? Bez pieniędzy, które dostawała za pokazy, i bez tego cholernego wozu nie będzie już mogła skutecznie odgrywać „młodej damy z dobrego domu”, a szanse zdobycia jakiegoś milionera zrównały się z prawdopodobieństwem trafienia szóstki w totka. Że nadal możliwe? Owszem. Ale raczej nie było to prawdopodobieństwo, od jakiego chciałoby się uzależniać własną przyszłość. Z piętnastu tysięcy, które zainkasowała w pięć miesięcy, około dziesięciu tysięcy poszło na garderobę, wydatki wizerunkowe oraz – a co! – trochę luksusu. Pozostałych pięciu tysięcy nie zamierzała przepuścić na promocję, co czyniło sytuację znacznie trudniejszą. Niech to szlag! Akurat gdy psy zwęszyły trop milionów, indyk zmyka gdzie pieprz rośnie... czy gdzie

tam zwykły spieprzać indyki. Sęk w tym, że miała przerąbane, i to na paru płaszczyznach. Czy powinna przyjąć którąś z pewnych propozycji małżeństwa, które do tej pory już jej złożono? Czy powinna podnieść kotwicę i wynieść się do Madrytu, Buenos Aires lub Mediolanu? Ci klienci nie byli w istocie aż tak bogaci...

Przed powrotem do swojego domu Alicia przystanęła przy parku na rogu Piątej Alei i Dwudziestej Szóstej Ulicy, aby wypalić papierosa.

– Kurwa mać! – setny raz przeklęła w głos. – Nie mogę uwierzyć, że pijany Holender mógł zrujnować mi życie!

Jeżeli skandal by się wydał, w mgnieniu oka dowiedzieliby się o tym absolutnie wszyscy cudzoziemcy w Hawanie. HOLENDERSKI MILIONER PŁACI KUBAŃSKIEJ ŚLICZNOTCE ZA PRYWATNE POKAZY PORNO. Jej imię przekazywano by z ust do ust, krążyłoby między firmami, między dyskotekami, między kurwami (tu zapewne z lekką nutką czci należnej bohaterom), koniec końców z pewnością trafiłoby do Otta, Alberta, Enza, Yves'a i każdego, kto jeszcze mieszka w tym przeklętym mieście. Jasne! Żegnaj, Europo, żegnaj, Buenos Aires, żegnaj, Madrycie! Pewnie, zawsze pozostawał jeszcze rower. Ale przy takiej reklamie kogo niby miałyby wrobić w małżeństwo czy choćby w wywiezienie jej z kraju? EUROPEJSKI BIZNESMEN ŻENI SIĘ Z PORNOKURWĄ OPŁACANĄ PRZEZ PODGLĄDACZAPEDAŁA. Akurat! Jedyłą możliwością było stać się zwykłą kurwą... bez maskarad, bez pretensji, po prostu rznąć się dla pieniędzy i dla chwały. *Kurwa mać! Akurat kiedy wszystko zaczynało się układać. Że też nie mógł sobie po prostu żyć szczęśliwie jako gej! Po cholere te obcasy?*

Tak, reakcja Victora była logiczna. Po trzech latach opływania w luksusy wyrzucenie na ulicę bez grosza przy duszy nie wydawało się śmieszne. Na jego miejscu Alicia również palnęłaby sobie w łeb. Gdyby nie matka.

* * *

Margarita przyjęła śmierć Elizabeth jak zawodowy bokser zwijający się pod ciosami przeciwnika. Na wieść o tym, że Elizabeth była mężczyzną, niemal padła na deski, ale to dopiero obmyślony przez Victora plan

naprawdę ściął ją z nóg. Doszczętnie poblądźszy na twarzy, dostojna i stateczna matrona lekko się zachwiała. Odwróciła spojrzenie od córki, prawdopodobnie nie chcąc wyczytać w jej oczach potwierdzenia tego, co właśnie usłyszała.

Alicia dostrzegła, że matka potrzebuje chwili, by otrząsnąć się z szoku, i przeszła do kuchni przygotować sobie cappuccino.

– Podjęłaś już jakąś decyzję? – spytała z salonu matka, wciąż nie ufajacswym nogom na tyle, by ruszyć się z miejsca, w którym zastygła.

– Jak na razie tylko jedną! – odkrzyknęła z kuchni Alicia, a jej twarzewykrzywił grymas niewzruszonej determinacji. Przeszła do salonu. – Nie wrócę do roweru. Już nigdy więcej nie będę obwozić tyłka po ulicach Hawany! Mowy nie ma!

Alicia nie była w stanie wyczytać z roztargnionego przytakiwania Margarity, czy matka istotnie błogosławi jej nowemu pomysłowi, czy też jeszcze nie otrząsnęła się z szoku. Wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że matka jest nader wytrzymałą i pragmatycznie myślącą kobietą, która zniosła w swym życiu aż nadto wstrząsów. Niezależnie od ostatecznej decyzji była przekonana, że matka koniec końców poprze ją i w miarę możliwości wesprze radą. Zawsze tak czyniła.

Nie przewidziała jednak, że decyzja matki okaże się tak natychmiastowa i kategoryczna.

– Jeśli rodzina tak go hołubi, a Victor będzie działał od środka, zaznajomiony z każdym ich posunięciem, to nie wydaje mi się, by groziło wam większe niebezpieczeństwo – stwierdziła Margarita, darując sobie wstępy i przechodząc od razu do sedna sprawy.

Cholera, dobra jest, pomyślała Alicia. Staruszka ani myśli wybijać mi ten pomysł z głowy – ona chce, bym to ja ją przekonywała, że nie powinnam tego robić.

– Tak, matko, co do tego akurat nie mam obaw. To Victor napawa mniestrachem – złodziej, były skazaniec i oportunistyczny pedał. Skąd mam

mieć pewność, że nie jest zdolny do czegoś jeszcze? Co, jeśli ja mu pomogę, a on postanowi zachować wszystko dla siebie?

– Nie bądź śmieszna! Tak postępują przygłupi przestępcy w filmach z Hollywood. Victor nie jest kretynem, a to nie jest film.

– A co, jeśli postanowi mnie zabić, żeby zatrzeć wszelkie prowadzące doniego ślady? Po przejęciu okupu będę dla niego warta kolejne dwa miliony.

– A ja to co? Obrazek na ścianie? Jeśli przez pół dnia nie odezwiesz się domnie i nie potwierdzisz, że jesteś cała i zdrowa, wzywam policję i już po nim. Niech będzie tego świadom! Musiałby zabić nas obojwemu, a to już oznaczałoby ubabranie się po uszy.

Alicia słuchała w milczeniu, od czasu do czasu przytakując.

– Poza tym czy nie mówiłaś, że widziałaś ślad po skórcie od oliwki, ułożenie ciała i tak dalej? Victor nie jest jakimś tam durnym mordercą, i tyle. Bo trzeba być najgłupszym człowiekiem na świecie, by zaplanować porwanie, zamordować jego ofiarę, a następnie przystąpić do poszukiwań współlnika. Nie, dziecko, jestem pewna, że Victor może być wszystkim tym, co mówisz, ale nie jest głupi, a zatem nie jest mordercą.

– Wiesz, mamu, mnie się wręcz wydaje, że ty go lubisz – odparła Alicia, rozluźniając się nieco.

– Lubiałabym go, gdybyś nie powiedziała mi o tym, co go łączyło z szefem – rzekła, wzdrygając się. – Wydaje mi się, że mogę nawet przyznać, że jeśli dwóch mężczyzn lub dwie kobiety mają się ku sobie, nic się z tym nie robi. To chyba kwestia pokoleniowa. Ale ten gość nie ma oporów przed pieprzeniem wszystkiego, co tylko się nawinie, a to już mnie po prostu przeraża.

Alicia patrzyła, jak przemyślna, wyrachowana stara diablica znika, ustępując na powrót miejsca jej wspaniałej, nieznośnej matce.

– Wiesz, że nie musisz robić takiej miny. Nie pieprzył się z jakimś trędowatym. Darzył Riekxa autentycznym podziwem i szacunkiem.

– Nie pogarszaj sprawy.

– Mamo, wszyscy mają prawo do wyboru własnego stylu życia.

– Tak, kochanie, każdemu według potrzeb i od każdego wedle ilości
ijakości jego instrumentarium.

Alicia roześmiała się radośnie.

– Chodźmy, mamo. Ty nigdy nie rozumiałaś ani trochę z marksizmu.* * *

Natychmiastowe pogodzenie się Margarity z sytuacją oraz jej chłodna analiza, która tak idealnie zgrała się z własnymi przemyśleniami Alicii, były jęczyzkiem u wagi. Alicia postanowiła wziąć byka za rogi i przyjąć propozycję. W drodze powrotnej do Siboney z wielką czułością i wdzięcznością wspominała, jak matka zawsze ją w życiu wspierała. *Boże, ona to ma ikrę!* Jak wtedy, gdy rodzina Margarity zostawiła ją samą w kraju i wyniosła się do Miami; gdy dowiedziała się o zdradach męża; gdy sukinsyn ją zostawił. Jeśli Victor nie postąpi jak należy, matka odgryzie mu jaja i splunie mu nimi na twarz. Jeśli Alicia trafiłaby z deszczu pod rynnę, matka stanowiłaby jedyne wsparcie, jakiego było jej trzeba. I wtedy właśnie, lejąc łzy, Alicia poprzysięgła, że – nieważne, co się stanie – nigdy nie opuści matki.

Dobra, kochanie, wystarczy. Musimy ruszyć do roboty i zapracować na te cztery miliony... no i przeżyć, by się nimi nacieszyć. Okazja czekała podana na tacy: musieli jedynie właściwie rozegrać sprawę. Przepuszczenie jej przed nosem byłoby głupotą.

Dwa argumenty okazały się przeważające: po pierwsze, Alicia prędeziej by się zabiła, aniżeli wróciła do bezsensownego żywota o nikłych perspektywach; po drugie, do odważnych świat należy. Jak to zwykł mawiać jej hiszpański dziadek: „Jeśli chcesz złowić rybę, będziesz musiał się zmoczyć”.

* * *

Alicia wróciła do domu w Siboney. W otwartych drzwiach wejściowych stał zaniepokojony Victor. Miał ciemne kręgi pod oczami. Znacznie przecenił własne opanowanie, nie zdołał bowiem zmrużyć oka.

– Jak zatem będzie? – spytał, a w jego głosie odezwało się coś chłopięcego.

Alicia weszła do budynku i stanęła na środku pokoju. Spadał jej poziom adrenaliny i zaczynała dotkliwie odczuwać trudy minionej nocy. Victor, nie spuszczać z niej wzroku, usiadł na kanapie i czekał na odpowiedź.

– A więc?

Zapaliła papierosa, odłożyła torebkę na stolik i spojrzała na Victora.

– W żaden sposób nie jestem w stanie stwierdzić, czy gość miał wypadek, czy też go zamordowałeś, a następnie nabiłeś mu łeb na ten szpikulec. Victor spróbował podnieść się z kanapy.

– Jak ty w ogóle mogłaś pomyśleć, że ja...

Alicia, w tej chwili panując w zupełności nad sytuacją, popchnęła go lekko z powrotem na siedzisko i ciągnęła:

– Teraz to ja mówię, do cholery. A ty słuchaj i mi nie przerywaj. – Zamilkła. Victor zapalił papierosa, aby nie dać po sobie poznać zdenerwowania. – Słuchaj mnie. Nie wiem, Victor, kim ty, kurwa, jesteś. Nawet nie wiem, czy to twoje prawdziwe imię. Wiem za to, że odkąd cię spotkałam, okłamujesz mnie i wykorzystujesz. Wpierw przekonałeś mnie, że cię interesuję, a wręcz sprawiłeś, że uwierzyłam, że między nami może do czegoś dojść. Potem dowiedziałam się, że jesteś pierwszej wody podglądaczem i chodziło ci tylko o zwerbowanie mnie na potrzeby pokazów dla ciebie i twojej najdroższej Elizabeth. Wtem znienacka okazuje się, że jesteś byłym przestępcą i byłym skazańcem, że Elizabeth to facet i że po trzech latach dymania swojego szefa chcesz, żebym ci pomogła wydymać resztę jego rodziny na cztery miliony dolarów dzięki absurdalnemu planowi porwania trupa. I co ja, do licha ciężkiego, mam niby o tym myśleć?

Alicia ponownie zamilkła, podeszła parę kroków do okna i odwróciła się, by spojrzeć na Victora.

– A zresztą jeśli chodzi o ten plan... jestem pewna, że coś przede mną ukrywasz.

– Nie masz prawa...

– Mam prawe, mam lewe, i długiego pośrodku, więc jeśli ci na nich zależy, to zamknij, kurwa, ryj i słuchaj! – wrzasnęła.

Victor otworzył usta, chcąc zaprotestować, lecz koniec końców pogodził się ze swoim położeniem i z rezygnacją wzruszył ramionami. Alicia zaciągnęła się głęboko, aby nie pozwolić sobie na histerię, i wypuściła dym przez zaciśnięte usta, upodabniając się do komina lokomotywy. Wydarłszy się na Victora i wyrzuciwszy z siebie wszystkie zarzuty, mogła teraz przejść do spraw bieżących.

– Zarazem jednak – wznowiła – intuicja podpowiada mi, że nie jesteś mordercą, a przy tym nie ulega wątpliwości, że bez mojej pomocy ta impreza się nie uda. Jeśli dodać do tego fakt, że ani myślę wracać do tego popieprzonego życia bez perspektyw, sytuacja wygląda następująco: jestem przyparta do muru i muszę zaryzykować. Pamiętaj jednak: będę z tobą pracować, ale ci nie ufam. Zadbam już o pewne zabezpieczenie, więc nie próbuj ze mną pogrywać.

– Niczego innego się nie spodziewałem i jestem zachwycony. Nie ufam osobom, które ufają innym zbyt szybko. Sądzę wówczas, że albo są to ludzie bardzo głupi, a więc nie można na nich polegać, albo też wpadli na pomysł, jak mnie wydymać. A tego to już w ogóle nie znoszę. Jedynym pewnym faktem jest to, że żadne z nas nie dysponuje innym sposobem na wyrwanie się z własnego gównianego żywota. Przejdźmy więc do omawiania szczegółów planu.

– Nie teraz – zaproponowała Alicia. – Zanim cokolwiek wytłumaczysz, powiedz, co musimy zrobić, żeby pozbyć się tego trupa. Jak tak leży cały czas w domu, zaczyna mi działać na nerwy.

– Otóż to – odparł Victor – to jest właśnie pierwsza rzecz, do której powinniśmy się zabrać, potrzebujemy jednak pewnych narzędzi i wyposażenia.

– Na przykład czego?

– Mam tu już gotową listę – oznajmił Victor, zasiadając przy laptopie, którego ustawił na stoliku.

Rozdział dwudziesty szósty



NA TERAZ

podnośnik	ciemne okulary
miarka	banknoty (dolary)
gumowe rękawice	taśma chirurgiczna
grube ręczniki	lekarstwa
brezent	napój
spirytus	igły i nić
workowate džinsy	bandana
nożyczki	szeroka sukienka
kabel zasilający	spinki do włosów
kombinerki	sandały
peruka	pasek (torebka A)

NIE ZAPOMNIEĆ

obrączka	spalić ubrania
wydruki	zagrabić popiół
spalić wydruki	maska
sformatowana dyskietka	skasować ukryty tekst (A)
pozbyć się zegarka Victora	pokojówka, ogrodnik, zamrażarka

DZIAŁANIA NASTĘPNEGO DNIA

wybrać hotel (V)

znaleźć bądź stworzyć skrytkę na tekst nr 3 w pobliżu wybranego hotelu (V)

zarezerwować odpowiedni pokój z działającym oknem (A)

włożyć wiadomości do koperty i na hak (V)

przećwiczyć modulację głosu (A)

MATERIAŁY

odpowiednia walizka (A)

gruby flamaster (A)

duża walizka (A)

śrubokręt i śruby (V)

sprzęt do nurkowania

głębinowego (A)

specjalny hak (A)

gąbki do kąpieli (farma) (A)

zwój liny konopnej (farma) (V)

kalka kopiująca (A)

tubka czerwonej farby (A)

łańcuch (A)

klej w sztyfcie (A)

rura do wykorzystania jako

wsparcie (A)

lornetka (V)

bloczek i krążek linowy (farma)

(V)

gruba lina nylonowa (farma) (V)

* * *

Między dziesiątą dwadzieścia a jedenastą trzydzieści sporządzili opatrzony notatkami plan działań, które należało przedsięwziąć tego dnia, a także prowizoryczną rozpiskę posunięć na kilka kolejnych dni, która jeszcze mogła się zmienić. Porozumiawszy się co do pierwszych kroków, pozbyli się wszystkiego poza listą niezbędnych rekwizytów. Działali starannie, niczym scenarzyści, i jak każdy przyzwoity pisarz kryminałów zaczęli od samego końca. Najważniejszym elementem tego scenariusza było zadbanie o jego szczęśliwe zakończenie.

Zamrażarka w domu z sadzawką osadzona była w stalowej ramie z kółkami na wszystkich czterech narożnikach. Alicia przyniosła z samochodu podnośnik, nie była go jednak w stanie wprowadzić pod obudowę tego sprzętu. Wówczas Victor przyniósł swój niemiecki podnośnik hydrauliczny z przednim kołnierzem. Pasował! Pierwszy punkt programu można było odhaczyć.

Następnie przyszedł czas na zmierzenie zamrażarki. W składziku za garażem znaleźli starą miarkę odpowiadającą ich potrzebom. Zamrażarka

mierzyła u podstawy sto czterdzieści dwa centymetry na siedemdziesiąt jeden, natomiast jej zewnętrzna wysokość wynosiła dziewięćdziesiąt jeden centymetrów. Aby zmierzyć wysokość w środku, należało opróżnić zamrażarkę, ale Victor wstępnie oszacował, że będzie to jakieś siedemdziesiąt sześć centymetrów.

Gdy zakończyli pomiary, przesunęli zamrażarkę w przeciwny róg kuchni, tak aby przy otwartych drzwiach pomieszczenia nie było jej widać z salonu.

Wrócili do drugiego domu. Victor zaczął mierzyć zwłoki, Alicia zapisywała wyniki.

– No dobrze, metr siedemdziesiąt długości, czterdzieści trzy centymetry od spodu kolana do pięty. Może być?

– Doskonale.

Alicia odhaczyła punkt na liście.

– Co jest następne? – spytał Victor.

Alicia spojrzała na rozpiskę.

– Teraz wkładamy gumowe rękawice.

– W porządku. Akcja! – wykrzyknął Victor w stronę wyimaginowanej kamery.

– Ujęcie pierwsze – dodała Alicia, wchodząc w rolę sekretarki planu.

Wspólnicy starali się wprowadzić do ponurego przedsięwzięcia odrobinę humoru. Po raz pierwszy od wielu, wielu godzin szczerze się do siebie uśmiechnęli. Alicia pocałowała go w kark, on zaś pogłaskał ją po pupie. Praca nad zwłokami rozbudziła w nich pragnienie, by się objąć, by poczuć ciepło życia, ciepło tętniącej krwi i pulsujących ciał.

Alicia przeszukała kuchnię i znalazła kilka par gumowych rękawiczek. Włożyła jedne z nich, a widząc, że Victorowi sprawia to poważne trudności, pospieszyła mu z pomocą.

Victor udał się do schowka na narzędzia, otworzył sobie drzwi, napierając na nie barkiem, po czym wynurzył się z magazynku z dużą czerwoną taczka, której ogrodnik używał do wywożenia zeschniętych liści.

Wrócił do pokoju, gdzie wraz z Alicią owinęli zwłoki Grootego (łącznie z sukienką, peruką, makijażem i całą resztą) w ręczniki, i załadował ciało na taczkę.

Wyszli znowu na podwórze i uważnie rozejrzeli się po okolicy. Zawczasu już sprawdzili, że nikt nie będzie w stanie ich dojrzeć. Ciekawski musiałby wspiąć się na jedną z rosnących wzdłuż szosy palm królewskich – a i wówczas, aby dojrzeć, co się dzieje na terenie posesji, należałoby posłużyć się lornetką. W odległości jakichś dwustu metrów wznosił się trzypiętrowy budynek, lecz i stamtąd przypadkowy obserwator nie zdołałby czegokolwiek zobaczyć, przed rokiem bowiem Rieks o to zadbał, zlecając robotnikom wybudowanie kortu do squasha otoczonego z trzech stron ośmiometrowymi ścianami, które zasłaniały obydwie domy. Nie, na pewno nie byli widoczni.

– Ale tak tylko na wypadek, gdyby podglądał nas ruski satelita – zażartował Victor, gdy planowali przewiezienie zwłok – zawiniemy je dokładnie w ręczniki.

Żarty na bok – Victor był istotnie rad z zasłonięcia trupa. Widok Riekxa z tym paskudnym makijażem był dla niego zbyt odrażający. Wciąż powtarzał sobie, że to nie on odpowiadał za śmierć Holendra, lecz od chwili, gdy zaczęli obchodzić się z nim niczym z kupą mięsa, czuł się trochę nie w porządku. Raz po raz wmawiał sobie, że teraz nie może się już przecież wycofać, że nie miał nic wspólnego z jego zgonem i że nie jest żalosnym padlinożercą. Przekonywał siebie, że jedynie podnosi pałeczkę, którą los przekazał w jego ręce... i nie ustawał w podziwieniu dla opanowania Alicii.

Przed przeniesieniem ciała do sąsiedniego domu Victor przystanął przy grillu i ściągnął brezentową płachtę, która miała za zadanie chronić operatora rusztu przed promieniami słońca. Plandeka cuchnęła dymem, lecz poza tym była czysta. Następnie przeszedł do magazynku i wyciągnął z niego dwudziestopięciokilogramowy worek węgla drzewnego oraz puszkę rozpałki w płynie. Tymczasem Alicia ochoczo zabrała się do roboty, zgarniając liście i suche gałązki do wykopu, by zasilić ogień.

Gdyby Victor był niegdyś harcerzem, prawdopodobnie zrobiłby to inaczej. Tymczasem jednak wylał mniej więcej połowę puszek z rozpałką na stertę chrustu i węgla drzewnego. Pierwsze buchnięcie ognia nieźle ich przstraszyło, lecz gdy po chwili płomień ustatkował się na wysokości około metra, wrócili do domu.

Przewieźli zwłoki do salonu, gdzie Alicia rozłożyła na podłodze ręczniki. Victor uniósł taczkę, a Alicia ściągnęła ciało za kostki na ziemię, wyraźnie starając się ich przy tym zbytnio nie poobijać.

Obok zamrażarki piętrzyły się frykasy: kilogramowy stój kawioru (po części wyjedzony), pięć tacek znakomitego mięsa, tuzin ogonów homara, parę kilo krewetek, pudełka rozmaitych typów ostryg, różne rodzaje kiełbas, dwa spore lucjany czerwone oraz ileś filetów z łososia. Wiktuały miały zostać ułożone na ciele Rieksa, tak żeby nikt, kto przypadkowo zajrzy do zamrażarki, niczego nie odkrył.

– Zegarek! – wykrzyknął Victor i wypadł biegiem z kuchni.

Victor wrócił w bieliźnie i na bosaka. Z włosów skapywała mu woda. Nakręcał dużych rozmiarów budzik.

– Musisz to wszystko zabrać dziś do domu.

Ustawił wskazówki.

– Co robisz?

– Musimy pamiętać, żeby powiedzieć służącej, by od jutra wzięła sobiewolne – odpowiedział, w dalszym ciągu manipulując zegarkiem na wysokości pępka.

Nagle poczuł, jak drobna dłoń ze szmaragdowym pierścionkiem łapczywie nurkuje mu w slipkach. Alicia stała teraz za nim, pobudzając do życia jego niczego niespodziewającego się penisa, i kąsała go w żebra i boczki.

– Jezu, ale to dziwne. Podniecam się za każdym razem, gdy sobie przypomnę, że ty lubisz facetów.

– Tylko czasami i to niezbyt często – zaprotestował między jęknięciami Victor. Wprawnymi ruchami zdjął jej bluzkę oraz stanik i zaczął

pieścić piersi. Objął ją w talii i uniósł, pozwalając jej się zsunąć powoli wzdłuż jego ciała, podczas gdy lizał ją i ssał, od wżgórka łonowego przez brzuch po przełęcz między piersiami, napinał mięśnie i trącał członkiem jej nabrzmiąłą łechtaczkę.

– Chodź!

Victor osuwał się na podłogę. Alicia rozciągnęła go na ziemi i gwałtownie dosiadła.

– Ty draniu! Ty pedale! – wykrzykiwała w paroksyzmach furii i ekstazy.– Dlaczego podobają mi się akurat tacy beznadziejni dranie jak ty? Dlaczego, do diabła, nie mogę się zakochać w jakimś normalnym, przyzwoitym facecie?

Po krótkiej przerwie rozebrali zwłoki z sukienki i peruki. Nagie ciało roztaczało wokół przytłaczający aromat perfum Elizabeth. Alicia poczuła wręcz ukłucie zazdrości: niezwykle drogie perfumy były tak trwałe, że zmycie ich nastęrczało problemów nawet przy użyciu szczotki i szarego mydła. Rieks był o wiele cięższy, niż się tego spodziewali, i pierwsze dwie próby upchnięcia go w zamrażarce skończyły się fiaskiem, żadne z nich bowiem nie paliło się, by naprawdę mocno objąć jego ciało. Wreszcie Victor wpadł na inny pomysł.

– Przynieś mi kawałek liny, co?

Alicia wybiegła na przylegające do kuchni zadaszone patio i wróciła z kawałkiem nylonowej linki, której kucharka używała do wieszania ścierek. Victor owinął nią dwukrotnie zwłoki w pasie, stanął okrakiem za głową, kucnął niczym ciężarowiec i pociągnął ku górze, unosząc nogi trupa niemalże na wysokość własnych ramion. Mięśnie napięły mu się straszliwie, gdy przyjął na siebie cały ciężar jego ciała. Wystękał do Alicii:

– Spróbuj wsadzić kostki i stopy do skrzyni, to potem podniesiemy resztę.

Alicia wciągnęła nogi do zamrażarki, prędko zamknęła wieko i przysiadła na nim, by ciało nie wysunęło się z powrotem. W takiej pozycji Victor był w stanie bez trudu podnieść tułów Rieksa i usadowić go na krawędzi zamrażarki. Teraz była to już tylko kwestia właściwego ułożenia. Alicia

zeskoczyła z pokrywy. Victor ostrożnie pozwolił ciału zsunąć się po bocznej ścianie, podczas gdy Alicia przytrzymywała jego stopy przy dolnej krawędzi, toteż opadło do środka w modlitewnym pokłonie. Wspólnie odwiązali opasującą Riekxa linę, ściągnęli obrączkę, nakryli go plandeką i przystąpili do obkładania go lodem i mrożonkami.

Kiedy Alicia trzasnęła klapą, zauważyła, że wieko nie chce się domknąć. Poprzesuwała opakowania z żywnością i wreszcie zdołała docisnąć pokrywę. Zamrażalnik był wypełniony po brzegi. Parę pudełek owoców morza, które nie zmieściły się do środka, zostawili na stole. Trzeba je było poświęcić dla sprawy.

Za pięć wpół do pierwszej starannie usunęli wszelkie ślady po kołach taczki w obydwu salonach, następnie rozpalili ogień na stanowisku do grillowania i spalili kartkę, na której wydrukowali sobie plan działania, a wraz z nią sukienkę, perukę oraz linę.

Victor schował obrączkę i po przerzuceniu zawartości szafy wyciągnął z niej bardzo luźne czarne dżinsy. Alicia odcięła część nogawki między udem a kolanem, odłożyła ją na bok, a następnie resztę spodni spaliła. W swym małym notatniku mogła odhaczyć kolejny punkt.

O czternastej dwadzieścia ponownie zarządzili naradę, aby doprecyzować kolejne posunięcia. Do piętnastej pięćdziesiąt pięć zdołali punkt po punkcie przeanalizować co do sekundy każdy zaplanowany krok, zatrzymując się nad każdym szczegółem.

– A teraz co? – spytał Victor.

Alicia zerknęła do notesu.

– Teraz muszę spuścić ci wpierdol.

Victor skinął głową i przeszedł do garażu, gdzie znalazł deskę używaną przez ogrodnika do podpierania drzwi od garażu.

– Musisz mnie tym walnąć.

Alicia się skrzywiła.

– I postaraj się trafić w odpowiedni punkt. Jeśli strzelisz mnie tym w nasadę nosa, mogę zginąć.

Alicia przekręciła deskę, w połowie zamachu przymknęła oczy, a mimo to trafiła całkiem przyzwoicie. Skóra w miejscu trafienia niemal natychmiast zaczęła czernieć i sinieć, a nad okiem Victora pojawił się okazały guz.

Następnie Victor wziął kabel i oczyścił go z izolacji. Alicia podciągnęła mu nieco rękawice i cienką wiązką miedzianego drutu owinęła mu nadgarstki „w ósemkę”, zaciskając drut z całej siły palcami i skręcając końcówki za pomocą kombinerek. Choć ból był nie do wytrzymania, Victor szarpał za druciany splot, starając się uwolnić. Powierzchnia nadgarstków pokryła się charakterystyczną bransoletą sińców, tu i ówdzie upstrzoną kroplami krwi.

– Szybko, uwolnij mnie. Jeszcze chwila, a stracę lewą dłoń.

Alicia przecięła drut i przyjrzała się jego nadgarstkom.

– Całkiem przekonujące! Może nawet trochę przesadziłeś.

– Może i tak, ale nic się nie stało. Zresztą im więcej krwi, tym lepiej.

Victor odwrócił spojrzenie od obolałych nadgarstków i przyjrzał się liście zadań, odhaczając kilka pozycji.

– No dobrze, prawie skończyliśmy.

– Umieram z głodu – jęknęła Alicia. – Zrobię sobie jajecznicę na szynce.

Ty też chcesz?

– Nie, dzięki. Teraz to ja się ubiorę.

Parę minut później wrócił ubrany w czarne spodnie, buty żeglarskie bez skarpet i jasnozieloną dżinsową koszulę. W dalszym ciągu z uwagą przypatrywał się liście czekających go zadań.

Alicia podeszła do niego, otarła sobie z ust resztki jajecznicy i ponownie przyjrzała się jego nadgarstkom. Już sam guz na głowie był wystarczająco przekonujący. Czarnosine kręgi u podstawy dłoni wyglądały bardzo niedobrze.

– Bardzo boli?

– Teraz nie, ale kiedy usiłowałem się uwolnić, prawie zesrałem się z bólu. Nieważne! – I mamrocząc pod nosem bardziej do siebie samego niż do niej, dodał: – Spójrzmy, co tu jeszcze mamy... Ano tak, teraz trzeba pójść do ogniska i upewnić się, że wszystko spaliło się do końca.

Alicia zerknęła na własną listę, otworzyła torbę i odłożyła na bok fragment materiału, który wycięli z workowatych džinsów.

Tymczasem Victor przystąpił do przegrzebywania popiołów na stanowisku grillowym. Za pomocą małych grabek, służących do wzruszania ziemi w doniczkach, przeszukał pogorzelnisko pod kątem suwaków, guzików, nitów i innych elementów, które mogły uniknąć spalenia. Z zadowoleniem stwierdził brak jakichkolwiek obciążających dowodów. Rozsypał chaotycznie popioły i umieścił na stanowisku kilka świeżych polan, które polał resztkami podpałki. Rozpalił ogień i wziął się do odkładania wszystkich narzędzi z powrotem do składziku, podczas gdy wielki błękitny płomień wznosił się niemal niewidoczny w słonecznym blasku kubańskiej zimy.

Alicia przejrzała należącą do Elizabeth kolekcję peruk, decydując się na model nawiązujący do lat sześćdziesiątych – długie, proste blond włosy. Ubrała się w żółtawą, workowatą sukienkę z lnu, mniej więcej o dwa numery za dużą, pozbawioną zapięć i z frędzlami sięgającymi od kolan niemalże po kostki. Jeszcze tylko zasłaniające znaczną część twarzy, odbijające światło okulary i przemiana dobiegła końca.

Victor poutykał po kieszeniach džinsów trochę pieniędzy i poszedł do łazienki po taśmę chirurgiczną, którą następnie przekazał Alicii wraz z kartką zawierającą nagryzmołone czarnym atramentem nazwy paru lekarstw.

– I pamiętaj, by nauczyć się ich na pamięć i spalić kartkę.

Obydwoje przejrzeni listy zadań, odkreślili punkty już zrealizowane i przygotowali się do wymarszu. Przed wyjściem Victor udał się do lodówki i wyciągnął puszkę oranżady.

Victor przeszedł wewnętrznymi drzwiami do garażu Riekxa, odpalił silnik volvo i wyruszył ku hawańskiej dzielnicy Vedado. Alicia w kabriolecie podążyła jego śladem.

Pół godziny później obydwie wozy zatrzymały się nieopodal starego szpitala imienia Camila Cienfuegosa. Alicia wysiadła z pojazdu, włączyła alarm, zabezpieczyła drzwi pilotem i lekkim krokiem weszła po schodkach

do apteki, w której płatności regulowano w dolarach. Zakupiwszy zlecone przez Victora medykamenty, opuściła aptekę, lecz zamiast do kabrioletu udała się do należącego do Rieksa volvo. Victor przesunął się na miejsce pasażera, pozwalając jej zasiąść za kierownicą.

Nadmorskim bulwarem Malecón podążali w mgiełce bryzy w stronę Miramar. Victor zaczerpnął parę łyków oranżady, popijając 350 miligramów aspiryny oraz pięćdziesiątkę siarczanu dekstroamfetaminy. Kiedy wynurzyli się z tunelu na Piątą Aleję, Victor czuł już nadciągającą reakcję alergiczną.

Piętnaście minut później Alicia zatrzymała się pod domem towarowym i w swym bezkształtnym blond wcieleniu weszła do sklepu po igły, nić oraz dużą bandanę. Jakies dziesięć minut później wróciła do samochodu, usiadła za kierownicą i zaczęła szyć.

Zerknąwszy na Victora, spytała go o samopoczucie.

– Uszy mi płoną, serce łomocze, całe ciało mnie swędzi. Ale poza tym wszystko w porządku – odparł beztroskim tonem, który zaprzeczał przerażającemu wrażeniu, jakie na niej zrobił. Na policzkach pojawiały mu się czerwone wypieki, a guz na czole wyglądał imponująco.

– Naprawdę wyglądasz, jakby cię walnęła ciężarówka – zauważyła Aliciaw tym samym stylu.

Victor uśmiechnął się, czym tylko pogorszył swój wygląd.

Alicia zszyła węższy koniec odciętego fragmentu dżinsów, robiąc z niego katowski kaptur. Nałożyła go Victorowi na głowę, by sprawdzić, czy pasuje, po czym odchyliła się wesoło, niczym malarz starający się uchwycić właściwą perspektywę.

– Tak, jest w porządku... I zakrywa ci szyję, więc nie będziesz potrzebował krawata.

– Tym się właśnie najbardziej martwiłem: który wybrać krawat – odparł, po czym obydwójce wybuchli tak potrzebnym im w tej chwili śmiechem.

– Dobra, starczy tego! Ostatni rzut oka.

Raz jeszcze przewertowali obie listy ze spisanyimi zadaniami.

– Teraz tylko drut, taśma, kaptur i rękawica, a wszystko to mam przysobie w torebce.

– Sprawdź!

Alicia przejrzała zawartość torebki i przytaknęła.

– Wszystko na miejscu, tak jak mówiłam.

– W porządku, nie bądź taka drażliwa. Powodzenia!

Wymienili formalny uścisk dłoni i uśmiechnęli się – Alicia z kryjącą się w kącikach ust obawą, Victor zaś w groteskowym, napuchłym grymasie, przypominającym zaawansowane stadium stężenia pośmiertnego.

Nie chcieli dwa razy jechać tą samą trasą, aby dużym volvo nie zwrócić czyjejs uwagi, więc okrążyli kilka kwartałów, wyjechali na Dziesiątą Ulicę i zatrzymali się przy parku naprzeciwko kliniki Cira Garcí, aby jeszcze przed dotarciem na ustalone miejsce wysiadki popracować nad wyglądem Victora.

Sam Victor pragnął, by go znaleziono przy jakiejś bocznej drodze nieopodal Siboney, lecz Alicia przekonała go, że tam zapewne musiałby czekać zbyt długo. Zdecydowali się zatem na zalesiony obszar nad rzeką Almendares, gdzie w pięć minut ktoś musiał się na niego natknąć.

Alicia ponownie skrępowała mu nadgarstki drutem, tym razem jednak na plecach i nie tak mocno. Następnie wyjęła z torby szeroką na pięć centymetrów taśmę chirurgiczną i dwukrotnie owinęła mu usta. Oderwawszy dwa kolejne kawałki, zakleiła mu oczy i nasunęła kaptur, by całkiem zakrywał głowę.

– W porządku, jesteś gotowy. Obróć się, bym mogła ci zdjąć rękawice... Dobra, a teraz osuń się na siedzeniu, żeby nikt cię nie zauważył.

Z podłogi wozu Victor był niewidoczny dla kogokolwiek, kto znajdował się dalej niż metr od pojazdu. Gdy Alicia z impetem weszła w zakręt na Czterdziestej Pierwszej Alei, usłyszała, jak Victor coś mamrocze.

– Jak tam na dole?

Stłumiona odpowiedź brzmiała mniej więcej: „Hy bredna szuko”. Alicia skręciła w prawo i wjechała w lasek znany jako El Bosque de la Habana.

– Jesteśmy na miejscu. Gdy tylko się upewnię, że nikt nas nie widzi, powiem „już!”, a ty wyskoczysz przez drzwi i pognasz do lasu.

– Jak ty... obie... brażasz... iro?

Otworzyła okno od swojej strony, aby nasłuchiwać zbliżających się pojazdów. Volvo bezgłośnie toczyło się do przodu. Dotarłszy do ostrego zakrętu, który zapewniał jako taką osłonę z obydwu kierunków, przechyliła się, otworzyła drzwi i szepnęła:

– Już!

Victor wyskoczył z samochodu, natychmiast potknął się o jakieś kłaczka i ledwie dosłyszał, jak Alicia życzy mu szczęścia, po czym odjeżdża w kierunku Nuevo Vedado. Po chwili przywalił głową w drzewo. *Ja pierdolę*, pomyślał, *tego nie było w planie*.

Zdołał podnieść się na kolana i czekał, autentycznie oszołomiony, starając się odzyskać panowanie nad zmysłami, gdy gdzieś z tyłu usłyszał samochód. Odwrócił się, lecz kierowca albo go nie zauważył, albo wolał się w nic nie wplątywać.

– Ty przebrzydły skurwysynu – tak na wszelki wypadek wybełkotał spodtaśmy i kaptura.

Sekundę później dobiegł go charakterystyczny pisk hamulców i zgrzyt wrzucanego biegu wstecznego.

– Jasny gwint, co tu się stało...?

Kierowca podszedł do Victora i ściągnął mu kaptur, lecz na widok zalepionych ust i oczu i opuchniętej, poczerwieniałej twarzy obleciał go strach.

– Matko Boska, miej mnie w swojej opiece...

Wpadł w słowotok, chcąc dodać otuchy Victorowi i w równym stopniu sobie samemu. Zerwał taśmę z powiek i ust Victora i pomógł mu usiąść.

– Niestychane! Co za zwierzęta! Ja pierdolę! Ale pan się nie martwi, już wszystko w porządku. Chwilka, niech no wezmę moje narzędzia, to zaraz przetnę te druty. Zdaje się, że niczego na dobre nie uszkodziły, ale te

nadgarstki paskudnie wyglądają. Dzięki Bogu, że pan żyje. Już dobrze, razdwa będzie pan w szpitalu. Napadli pana?

Victor nie odpowiedział. Niezależnie od założeń scenariusza wciąż był oszołomiony po bliskim kontakcie z drzewem.

– Już, pomogę panu wstać – powiedział kierowca, biorąc Victora pod pachy.

Zgodnie z planem Victor wydał krótki okrzyk bólu i opadł na jedno kolano, z trudem łapiąc oddech, tak jakby miał pogruchotane kilka żeber. – Dziękuję... amigo... jakieś skurwysyny... mnie napadły... Jego wybawiciel zwrócił oczy ku niebiosom.

– Mój Boże, co też się w tym kraju wyrabia? To niestychane. Kierowca pomógł Victorowi dojść do samochodu.

– Proszę, proszę wsiadać, za minutkę będziemy w szpitalu.

– Nie – zaprotestował Victor – to nie będzie konieczne. Mam zaprzyjaźnionego lekarza, który mieszka przy Czterdziestej Piątej Ulicy, obok starego zoo.

* * *

Carmen przyglądała się stercie zdjęć rozłożonych na stole w jadalni. Towarzyszył jej Jan van Dongen, który palił papierosa i popijał filiżankę lapsang souchong.

– Jejku, czemu byłeś taki chudy? – Carmen sięgnęła po fotografię przedstawiającą z profilu charakterystyczną sylwetkę van Dongena przy sztalugach w jakimś miejscu publicznym. Jego odzież była w opłakanym stanie, a długie włosy sprawiały wrażenie przetłuszczonych.

– To było na Place de la Contrescarpe w Paryżu, jakieś dwadzieścia lattemu. Rozstawiałem sztalugi gdziekolwiek, robiłem parę szybkich portretów turystom, a wszystko, co zarobiłem, przepijałem w trymiga.

– Dlaczego tyle piłeś?

– Zupełnie nie odnajdywałem się w swoim powołaniu, za które uznałembyście artystą, a moje ideały polityczne legły w gruzach – wyjaśnił,

wskazując na inne z leżących na stole zdjęć. – To maj tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku, gdy starliśmy się z żandarmami w Dzielnicy Łacińskiej...

– A tu przy tobie to kto?

– To moja trzecia baza.

– Co masz na myśli?

– Klęska na polu artystycznym to raz; zagłada moich ideałów politycznych to dwa; a to... to matka mojej córki. Żyła ze mną przez piętnaście lat i porzuciła mnie dla innego... To był dla mnie początek końca.

– Nie byłeś w stanie się po niej otrząsnąć?

– To nie takie proste. Najbardziej cierpiełem z powodu córeczki.

Naprawdę porzuciłem wszelką nadzieję, a obrazy, które malowałem i sprzedawałem na ulicy, z trudem starczały, by ją wykarmić. Taka sytuacja ciągnęła się przez parę lat, aż w osiemdziesiątym piątym wylądowałem w szpitalu z *delirium tremens*, w pełni rozwiniętym. To właśnie wtedy pojawił się Rieks, który został przy mnie przez trzy kolejne dni. Gdyby nie on, nie miałbym szans na wydobrzenie.

– Nigdy bym się nie spodziewała, że milionerzy mogą mieć takie szlachetne odruchy – zauważyła Carmen.

– Rieks to taki człowiek, że do rany przyłóż. Wtedy zabrał mnie ze sobą zpowrotem na Curaçao, gdzie pracował, i zakwaterował w niewielkim *landhuis* nieopodal Fort Nassau, zapewniając tyle farby i płótna, ile tylko zapragnąłem.

– Namalowałeś tam coś naprawdę dobrego?

– Jeśli nawet miałem kiedykolwiek trochę talentu, to zdążył się onulotnić, ale przez jakiś czas nieźle się bawiłem, a przy okazji pomogło mi to zapomnieć o całej reszcie. Rieks odwiedzał mnie przynajmniej raz w tygodniu, rzekomo po to, by przywieźć prowiant, ale w rzeczywistości sprawdzał, czy aby nie piję.

– Nie ufał ci?

– Schlebiał mi swą nieufnością. Sprawiał, że czułem się potrzebny.

– Cóż, w końcu to twój kuzyn, prawda?

– Owszem, ale Vincent też jest moim kuzynem, tymczasem mnie niecierpi, podobnie zresztą jak większość rodziny... Wstydzą się mojego nosa i nigdy nie wybaczą mi mojej młodzieńczej działalności politycznej. Nadal przezywają mnie „komuchem”.

Carmen wstała i kpiarsko wzięła się pod boki, przechylając głowę na bok. – No nie mów mi, że byłeś komunistą!

– Nigdy w życiu! Jako smarkacz byłem anarchista, a potem zostałem trockista...

– A to jakaś różnica...? Zapomnij, nieważne... Dlaczego Rieksowi tak natobie zależało?

– Być może dlatego, że wiele lat wcześniej to ja umiałem mu pomóc, kiedy był bliski osiągnięcia dna.

Carmen chwyciła go za dłoń i spojrzała na niego z czułością.

– Jestem od niego o parę lat starszy i do tego czasu zdążyłem już przejść przez wiele rzeczy. Jeszcze zanim skończyłem osiemnaście lat, zaznałem paryskich barykad, a potem życia wśród cyganerii; to bardzo liberalne środowisko. Przy okazji wizyty w Holandii zastałem Riekxa na skraju załamania nerwowego. Szantażował go jakiś obrzydliwy drań i Rieks panicznie się bał, że ojciec dowie się, że jest gejem (czy – jak to wtedy mówiliśmy – *pédé*). Toteż uwolniłem go od tego gnoja i przekonałem, że powinien po prostu ujawnić się przed ojcem, nim ten dowie się z innych źródeł, co kiedyś i tak nastąpi. Powiedziałem mu, że ojciec będzie go musiał zaakceptować takim, ponieważ nie jest już dzieckiem, a żadne terapie i żadne groźby nie mogą zmienić tego, że jest gejem. Od tego dnia stałem się jego powiernikiem; pisywał do mnie do Paryża, zwierząc się z problemów i prosząc o radę...

Wspominki van Dongena przerwał nieznośny gong przypominającego Big Bena domofonu.

– Tak, tu van Dongen, ale nie jestem... – mówił, spoglądając jednocześnie na Carmen i unosząc brwi na znak, że coś było nie tak. – Tak, tak. (...) Czy to coś poważnego? (...) Tak, proszę go przyprowadzić.

Nacisnął na domofonie dziesiątkę i poczekał na kliknięcie oznaczające, że drzwi na dole zostały otwarte. Następnie zwrócił się ku Carmen:

– Jakiś taksówkarz mówi, że Victor King, ten, o którym ci opowiadałem w firmie, miał wypadek. Zejdę, żeby im pomóc.

Wyszedłszy na taras, Carmen dostrzegła taksówkę z otwartymi drzwiami i włączonym silnikiem.

– To musi być coś poważnego.

Jan sfrunął po schodach akurat w chwili, gdy kierowca taksówki i Victor King przekraczali próg budynku.

– Señor, to pan jest doktor Bandongon?

* * *

Alicia zaparkowała volvo Rieksa tuż przed wejściem do hotelu Riviera od strony bulwaru Malecón. Fale rozbijające się o nabrzeże nadciągały jedna po drugiej, a ulica, jeśli nie liczyć kilku dzieciaków śmigających na rowerach w mgiełce bryzy, była pusta. Alicia w pośpiechu spamiętała kolejne zadania i przejrzała punkty już zrealizowane, aby upewnić się, że niczego nie przeoczyła.

Sięgnęła do klamki, wstrzymała się jednak z otwarciem, raz jeszcze rozejrzała się po bulwarze, zdjęła rękawiczki i popchnęła drzwi łokciem, aby nie zostawić na nich odcisków palców. Krótki sprint we mgle i znalazła się w wielkim hotelowym lobby, gdzie w bezkształtnym blond przebraniu nie rzucała się w oczy bardziej niż inne bezkształtne blond wczasowiczki, które cały czas dosłownie stadami przewalały się przez hall.

Wyszedłszy przez główne wejście, poleciła jednemu z portierów wezwać taksówkę, po czym kazała kierowcy zawieźć się do hotelu Habana Libre.

Gdy tylko taksówka ruszyła z hotelowego podjazdu, Alicia schowała się za fotelem kierowcy, gdzie nikt jej nie mógł zauważyć, wyjęła z torebki parę

spinek do włosów oraz bandanę i wyfasowała sobie turban, który doszczętnie zakrył długie blond włosy peruki.

* * *

Victor, stojąc pomiędzy Janem i Carmen, których wyrwano z sielanki spokojnego dnia w domowych pieleszach, a rozhisteryzowanym taksówkarzem, który nie przestawał tokować na temat tego, że Hawana nie przypomina miasta z jego młodości, przyglądał się swym opuchniętym, czarnosinym nadgarstkom z głupawym uśmiezkiem właściwym przytakującym sobie i nucącym pod nosem pijakom. W końcu zaczęły do niego docierać słowa kierowcy.

– (...) twarzą w dół w lesie, akurat na ścieżce wzdłuż brzegu rzeki... zrękami skrępowanymi drutem za plecami... usta i oczy zalepione taśmą... na głowie kaptur... proszę sobie wyobrazić... ja... on...

Victor w geście otuchy położył dłoń na ramieniu taksówkarza, aby ten się zamknął, po czym zwrócił się po angielsku do van Dongena.

– Wybacz mi, Janie, ale tu było najbliżej, a nie mogłem pozwolić, by sprawę wmieszała się policja... czy mógłbym dostać trochę wody?

– Jasna sprawa, Vic – odparł van Dongen, kierując się do kuchni. Pod jego nieobecność Carmen przyjrzała się obrażeniom Victora.

– Dzikusy... jak też mogli panu coś takiego zrobić?

Victor wziął od van Dongena szklankę i wykrzywił się w grymasie bólu. Twarz miał straszliwie opuchniętą, a popękane naczynka pod kośćmi policzkowymi przedstawiały się paskudnie.

Niepewnie trzymając szklankę, trzema haustami wypił podaną wodę, roniąc z kącika warg cienką strużkę.

– Tak... złapali mnie za włosy i za kark i walili moją głowę w boksamocho... nie wiem, ile razy. Potem kopali mnie na ziemi... przez jakiś czas... nie wiem... ale czekajcie...

Victor opadł na krzesło i poszukał w kieszeniach pieniędzy, by sptawić taksówkarza. Wysiętek przyniósł kolejny atak bólu, przerwał więc, by zaczerpnąć tchu. Wyjął z portfela studolarówkę i wręczył ją kierowcy.

– Przecież nie będę miał jak wydać!

– Nie trzeba, to dla pana.

– *Gracias, señor, ale...*

– Pięćdziesiąt za pomoc i pięćdziesiąt za to, że pan o tym

wszystkim zapomni. Da pan radę zapomnieć, że mnie w ogóle widział?

– Już zapomniałem – zażartował taksówkarz, sięgając do kieszeni koszulipo wizytówkę. – Jeśli zechce pan kiedyś, bym zapomniał o czymś jeszcze, proszę dzwonić pod ten numer.

– *Está bien* – przytaknął Victor i podał mu rękę, nie podnosząc się z krzesła.

Carmen odprowadziła kierowcę do drzwi i pośpiesznie wróciła do salonu.

Victor wziął głęboki wdech niczym olimpijski atleta przygotowujący się do podrzutu i pomacał się po kieszeniach.

– Częstuj się – zaproponował van Dongen, podając mu czarną cylindryczną paczkę angielskich papierosów.

Victor trzęsącą się ręką wyciągnął jednego. Van Dongen podał mu ogień i zamilkł w wyczekiwaniu... – Porwali Rieksa!

Carmen jęknęła i zasłoniła usta dłońmi.

– Dobry Boże!

Holender zachował stoicki spokój, niemniej jednak przełknięcie śliny sprawiło mu wielki problem, a wysiłek, jaki włożył w zapanowanie nad sobą, objawił się niesamowitym rozedrganiem czubka jego nosa.

– Dobra, pójdę po samochód, szczegóły opowiesz mi już w drodze do szpitala.

– Najbliższy jest parę przecznic stąd... – dorzuciła Carmen, gdy wtem Victor zaprotestował:

– Żadnych szpitali!

– Nie wygłupiaj się, jesteś w opłakanym stanie – nalegał van Dongen.

– Janie – przerwał mu Victor, głosem mniej więcej o pół oktawy zawysokim – oni zabiją Rieksa...

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Jeśli zawieziesz mnie do szpitala, zgłoszą to na policję, a wtedy porywacze będą zdolni do wszystkiego – wyjaśnił, po czym zmuszony fizycznym i emocjonalnym bólem, jaki wywołała ta konstatacja, zrobił przerwę. – Zresztą nie potrzebuję żadnego lekarza, muszę tylko wypocząć i...

Van Dongen usiadł naprzeciw Victora, podczas gdy Carmen przykucnęła przy składanym krześle, aby zmierzyć mu puls.

– Tachykardia!

Victor zmrużył oczy i pokręcił głową, by dać do zrozumienia, że to nic poważnego.

– Ty mi tu nie kręć głową, ty powinienes natychmiast dostać coś nauspokojenie, a ja mam...

– Carmen, to tylko ze strachu. Za parę minut pewnie stracę przytomność wyczerpania, muszę więc... a tak w ogóle to która jest godzina? Te gnoje zabrały mi zegarek.

– Jest dziesięć po szóstej – odpowiedział van Dongen, po czym dodał: – Możesz zostać w pokoju gościnnym, jak długo chcesz. Opowiedz mi tylko, co się konkretnie stało, żebym mógł zacząć działać.

– Dzięki, Janie. Zadzwoń do Bosa, niech jak najszybciej tu przyjedzie. Zrobisz to?

– Jasne – zapewnił van Dongen, prowadząc go do pokoju gościnnego i sadzając na brzegu łóżka.

– Chwila. Jak pomyślę, to niech lepiej przyjedzie za jakąś godzinę... Zarazpewnie zamkną mi się oczy. Ale dziś wieczorem musimy się spotkać... Trzeba podjąć decyzję o okupie... Aż strach pomyśleć, co...

– Victor! Weź się w garść. Powiedz mi, co trzeba zrobić, a ja już się tym zajmę – polecił van Dongen.

– Po pierwsze, żadnej policji... – Ile chcą? – przerwał mu Holender.

– Mnóstwo! Cztery miliony.

Jan van Dongen przymknął oczy i cicho gwizdnął.

* * *

Gdy taksówka podjechała pod hotel Habana Libre, kobieta, która z niej wysiadła, nie przypominała już bezkształtnej blondynki, która zaparkowała volvo na bulwarze i przeszła przez lobby Rivieri, niemniej jednak w sandałach, ciemnych okularach, luźnej sukience i z turbanem nie była również Alicią.

Zakupiwszy w hotelowym sklepiku biały baton Toblerone, Alicia złapała kolejną taksówkę i w trakcie krótkiej podróży na oddalony o pięć przecznic róg ulic Linea i L wsunęła turban oraz perukę do torebki, podciągnęła sukienkę powyżej kolan i zapięła szeroki żółty pas. Atrakcyjna kobieta, która przeszła kilka przecznic dzielących ją od białego kabrioletu, bez wątplenia była już Alicią.

Do domu matki wróciła dokładnie o siedemnastej trzydzieści trzy.

Margarita zauważyła, że córka jest wyczerpana i o krok od omdlenia, zadowolona się zatem dwuminutowym podsumowaniem działań przedsięwziętych w mijającym dniu, po czym udała się, by przygotować Alicii kąpiel i coś do jedzenia.

Alicia wymoczyła się w gorącej wannie, zaspokoila głód paroma plastrami homara na zimno w sosie Tysiąca Wysp i padła na łóżko. *Boże, już nigdy więcej dni takich jak dziś!*

W innej części miasta Victor myślał sobie dokładnie to samo. Wyliczył, że opuchlizna spowodowana reakcją alergiczną na lekarstwa powinna ustąpić około ósmej. Zarazem jednak tachykardia utrzymywać się będzie pewnie jeszcze długo po północy.

– No i dobrze – wymamrotał pod nosem, spoglądając z łóżka w głęboki granat nieba na wschodzie.

Rozdział dwudziesty siódmy



Victor, Jan van Dongen i Karl Bos siedzieli przy stole w jadalni. Karl Bos był solidnej budowy pięćdziesięcioparolatkiem o falistych ryżych włosach poprzetykanych nitkami siwizny. Zdaniem tych, którzy znali go tylko pobieżnie, wpisywał się w stereotyp jowialnego rudego olbrzyma, chociaż bowiem jego dowcipy były wyjątkowo kiepskie, sam śmiał się z nich tak gromko, że po prostu zarażał wszystkich swoją wesołością. Wraz z żoną stanowili parę doskonałą. Była to potężna, ciemnoskóra niewiasta z Antyli Holenderskich, jakimś cudem porozumiewająca się wyłącznie w papiamento, a jedynymi słowami, jakie kiedykolwiek wypowiadała w innym języku, były „tak” i „dziękuję”. Gdy ktoś stwierdzał, że jej angielski jest bez zarzutu, nieodmiennie odpowiadała: „Mi ta papia masha bon” i wybuchała serdecznym śmiechem.

Jako dyrektor zarządzający Groote International Inc. na Kubę Bos nie był bynajmniej dobrotliwym olbrzymem, ale twardym, przenikliwym managerem, który ubierał się w niemodnym biznesowym stylu, nosił srebrną papierośnicę i srebrny ustnik, używał brylantyny i zaczesywał włosy do tyłu. Tym razem miał na sobie szary biznesowy garnitur z kasztanowym krawatem. Jego nienaganny ubiór kontrastował z godnym pożałowania wyglądem Victora.

Opatrzony guz na czole zdawał się wciąż rosnąć. Victor sprawiał wrażenie przynajmniej o dziesięć lat starszego. Twarz, pokryta dotychczas jasnoczerwonymi wybroczynami, przybrała odcień bladozielony, a pod oczami uformowały się ciemnoszare bruzdy. Carmen nalegała, by wybrał się do szpitala, a to ze względu na tętno, oscylujące wokół stu uderzeń na minutę, i zdecydowanie za wysokie ciśnienie, lecz Victor odmówił, podobnie jak też odmówił przebrania się w którąś z koszul Jana. Siedział

teraz przy stole w poplamionej, rozdartej pod pachą koszuli z zielonego dżinsu i palił jednego papierosa za drugim. Głos miał słaby i niepewny.

Carmen wniosła kubetek z lodem i parę szklanek. Bos wziął dwie kostki lodu i nalał sobie szkockiej na dwa cale. Van Dongen włożył nową kasetę do leżącego na stole magnetofonu i dyskretnie dał znać Carmen, aby zostawiła ich samych. Następnie ustawił mikrofon przed Victorem.

– Możemy zaczynać, Janie? – spytał Bos.

Van Dongen skinął głową i spojrzał na Victora, który lekko nachylił się nad mikrofonem.

– Pisałem akurat sprawozdanie, gdy zadzwonił Rieks, lecz nie z Varadero, gdzie sądziłem, że przebywa. Powiedział mi, że wstał z koszmarным kacem po wieczornym picu i że postanowił odłożyć wypad na plażę na popołudnie. Poprosił mnie, bym wpadł do domu, bo chciał, żebym coś przekazał Janowi. Wziąłem teczkę i pokonałem kilkumetrowy odcinek między naszymi domami. Kiedy wszedłem do budynku, poczułem, jak ktoś przykłada mi broń do głowy. Jakiś zakapturzony mężczyzna powiedział: „stój!”.

– Po angielsku?

– No właśnie! Kazał mi przełożyć ręce za plecy, a wtedy drugi związał minadgarstki drutem, patrzcie!

Victor obrócił dłonie, żeby Bos mógł się przyjrzeć spowodowanym przez drut obrażeniom. Nalał sobie dwa cale czystej, upił łyk, wykrzywił twarz w potwornym grymasie i ciągnął dalej. Bos robił notatki, van Dongen tylko wpatrywał się w dal.

– Była ich trójka, w tym, zdaje się, jedna kobieta czy coś, bo intensywnie pachniało Chanel numer pięć.

– Kubańczycy?

– Nie sądzę. Jedyne, który się odezwał, mówił z koszmarным nowojorskim akcentem.

– Czy w chwili, kiedy ci grozili, był tam Rieks?

– Był, ale zobaczyłem go dopiero później, bo trzymali go związanego wrogu pokoju za moimi plecami.

– Co mówił?

– Nic! Ani słowa... Później, kiedy wyprowadzili nas z domu, zalepili namoczy i usta, a na głowę założyli kaptury.

Bos wziął do ręki kaptur i przyjrzał mu się z niemałym podziwem.

– Potem zabrali nas do garażu i kazali wsiąść do volvo Rieksa.

Wedługmoich wyliczeń krążyliśmy przez jakieś czterdzieści minut, nie wyjeżdżając poza miasto. Wreszcie wjechaliśmy do innego garażu czy też wiejskiej szopy z klepiskiem zamiast posadzki.

– Słyszałeś jakieś dźwięki w tle? – spytał Jan.

– Tak... jakieś krzyki w oddali... najprawdopodobniej bawiące się dzieci.

Victor skrzywił się z bólu i odetchnął z trudem.

– Mogę dostać trochę wody?

Jan zatrzymał nagrywanie, a Bos odkręcił butelkę. Victor wychylił pół szklanki. Z kącików ust popłynęły mu strużki wody. Wyglądało na to, że stracił panowanie nad mięśniami twarzy.

– Przełożmy to na kiedy indziej – zaproponował Bos.

– Nie – zaproponował Victor. – Już w porządku. Po prostu zrobiło mi się słabo.

Kiedy tylko Victor doszedł do siebie, przez następne dziesięć minut opisywał atmosferę skrajnego zastraszenia, w której porywacze nakreślili warunki okupu. Łamiącym się i instynktownie ściszone głosem mówił o straszliwych działaniach odwetowych, jakie mieli przedsięwziąć przeciwko Rieksowi, o ile ich żądania nie zostałyby w całości spełnione. A domagali się przekazania do siedemnastego listopada czterech milionów dolarów.

– Niebawem zadzwonią do biura, aby podać szczegóły co do sposobu dostarczenia okupu. Potem dadzą nam czas na zgromadzenie forsy. Powiedzieli, że jeśli pieniądze nie zostaną dostarczone dokładnie tak, jak tego zażądają, to go zabiją.

W tym momencie Victor zdławił w sobie szloch i zakrył oczy dłonią. Dopiero po paru minutach był w stanie kontynuować. Głos mu się trząsał, a twarz wyglądała tak fatalnie, że Bos i van Dongen ponowili apel, by dał się zabrać do szpitala, mimo to odmówił.

– Jeszcze chwileczkę...

– W porządku, jeśli później poczujesz się lepiej i coś ci się przypomni, będziesz mógł to nagrać na inną taśmę – zasugerował van Dongen. – Każdy szczegół może okazać się ważny.

– Jan ma rację. Rodzina, czy nawet sam Rieks, mogą później postanowić, by powiadomić policję.

– Mam tylko nadzieję, że nie będą chcieli zrobić nic głupiego – skomentował Victor, wpatrując się w poranione nadgarstki. – Dla Rieksa mogłoby się to fatalnie skończyć.

Pół godziny później Bos i Jan odprowadzili Victora do samochodu, chcąc odwieźć go do domu. Po drodze nalegali, by udał się do lekarza, on jednak wciąż odmawiał. Wreszcie zostawili go u siebie i ruszyli w drogę powrotną do miasta.

Jan van Dongen oderwał na moment wzrok od szosy, aby spojrzeć Bosowi prosto w oczy.

– W jaki sposób zgromadzimy tyle kasy?

– Dopóki Vincent, Christina i reszta rodziny nie wysłuchają nagrania Victora, mamy związane ręce.

– Jasne, od tego trzeba zacząć – zgodził się van Dongen – ale zdobycie takiej sumy nie będzie łatwe.

Bos wyciągnął palmtopa i wykonał na nim szereg operacji, których van Dongen kątem oka nie był w stanie dostrzec.

– Osobiście zawiozę nagranie do Amsterdamu. Mam tylko nadzieję, że zdołam się załapać na jutrzejszy lot. A o pieniądze nie masz się co martwić. W dwie godziny po tym, jak Vincent podejmie decyzję, będziemy mieć kasę gotową i przeliczoną.

Rozdział dwudziesty ósmy



CIRUGÍA MAXILO-FACIAL – głosiła zawieszona na drzwiach elegancka mała plakietka z brązu. W kubańskim żargonie medycznym termin ów oznaczał chirurgię kosmetyczną dotyczącą kości twarzy. Siwowłosa mężczyzna w białym fartuchu z pomocą laserowego wskaźnika kreślił linie na stuosiemdziesięciocentymetrowym obliczu Jana van Dongena, wyświetlonym na zawieszonym pod sufitem ekranie.

– A dzięki frontalnemu nacięciu pod kątem czterdziestu pięciu stopniwzdłuż przedniego górnego grzbietu przegrody nosowej z łatwością możemy panu sprawić o wiele bardziej płaski nos, trochę jak u boksera, najpewniej coś à la Jean-Paul Belmondo.

Parę poleceń wstukanych na klawiaturze komputera ściągnęło na ekran wizualizację z profilu i en face nader zdecydowanej, belmondowskiej twarzy van Dongena.

– Ten na przykład nos świetnie współgrałby z kształtem pańskich oczu i owalem całej twarzy, nie pozbawiając jej przy tym charakteru.

Kolejne kliknięcie i na ekranie z powrotem pojawiła się obecna twarz van Dongena.

– Bo jeśli wejdę z cięciem tędy, wyeliminujemy nadmiar tkanki...

Doktor kontynuował wywód, van Dongen zaś przysłuchiwał mu się z rosnącym przerażeniem. W końcu nie zdzierzył, zatkał uszy rękoma i przeprosił lekarza.

– Proszę mi wybaczyć, panie doktorze, ale niech pan przestanie. Bardzo mi przykro, ale już od samego słuchania robi mi się słabo...

– W tym sęk – wyjaśniła Carmen. – Przeraża go myśl o operacji.

– Zaręczam, że nic pan nie poczuje, nawet i wtedy, gdy narkoza przestanie działać.

– To nawet nie chodzi o ból, ale o myśl, że ktoś miałby odpiłować fragment mojego ciała. Już na myśl o tym nachodzą mnie mdłości.

– Spójrz tylko, Juanito, on się cały poci – powiedziała Carmen, ocierając Janowi chusteczką pot z czoła.

– Widzę, zrobił się blady jak prześcieradło. – I już do van Dongena: – Zakręciło się panu w głowie?

– Kręcić nie... dreszcze...

– Powiem panu, że zdarzali mi się pacjenci gotowi znieść nawet najpotworniejszy ból, byle tylko uniknąć domięśniowego zastrzyku znieczulającego. Osobiście nie lubię operować osób z tak silnymi fobiami, ponieważ ich lęk jest irracjonalny i nieprzewidywalny. Znane są przypadki, gdy nawet młodzi i zdrowi pacjenci dostawali na stole operacyjnym zawału serca.

– Gdybym tak bardzo nie bał się skalpela, to dałbym się zoperować już dwadzieścia pięć lat temu. Kiedy byłem nastolatkiem, rodzina starała się mnie namówić, ale lęk był silniejszy ode mnie...

– Jeśli tak się sprawy mają – przerwał mu doktor, podnosząc się i zwracając do Carmen – nic się nie da zrobić. Nim będziemy mogli kontynuować planowanie operacji, stanowczo zalecałbym zaprowadzenie go do psychiatry, który pomoże mu się oswoić z myślą o zabiegu. Być może przy odpowiednim leczeniu, na przykład w głębokiej hipnozie... naprawdę nie wiem. Być może dzięki pomocy fachowca nie będzie go to aż tak przerażało.

Rozdział dwudziesty dziewiąty



Alicia, ubrana w bardzo krótki i bardzo seksowny szlafrok, popijała z wysokiej szklanki sok pomarańczowy. Opierała się o zamrażalnik ze zwłokami Rieksa.

Biała pięćdziesięciokilkuletnia kobieta w czepku i fartuchu pokojówki przecierała szklane panele okienne nad kuchennym zlewem. Przerwała sprzątanie i po chwili wahania zwróciła się do Alicii.

– Mam nadzieję, proszę pani, że nie wtykam nosa w nie swoje sprawy, ale zauważyłam, że zamrażarka jest zamknięta, więc jeśli to dlatego, że zrobiłam coś, przez co straciła pani do mnie zaufanie, to przepraszam i...

– W żadnym razie – odparła Alicia – ale cieszę się, że poruszyłaś temat, bo niemalże zapomniałam ci powiedzieć, że Victor prosił, bym ci coś przekazała. – Alicia przeszła do salonu i powróciła z dwiema dużymi kopertami. – Oto twoja pensja, dodatek urlopowy oraz niewielka premia dla ciebie i ogrodnika.

Kobieta patrzyła na Alicię z otwartymi ustami, bojąc się, że oznacza to odprawę.

– Pan King życzy sobie, byś od jutra wzięła urlop. Mam nadzieję, że nie jest to dla ciebie kłopot.

– Cóż – zaczęła pokojówka, sprawdzając, jak daleko może się posunąć, nie tracąc posady – zamierzałam wziąć urlop w sezonie wakacyjnym, by pobyć trochę z wnukami, no i...

– Przykro mi, ale że sama dziś wieczorem wyjeżdżam do Varadero, a pan King wybywa w delegację, użyczył domu włoskim znajomym, którzy domagają się zupełnej prywatności. A co do urlopu – dodała – zupełnie się nie martw. Jestem pewna, że pan King da ci wolne w okresie wakacji.

– Dziękuję – powtarzała kobieta, nie wiedząc, czy ma się cieszyć, czy martwić.

– I proszę, doprowadź dom do absolutnego porządku, bo ci goście to bardzo istotni partnerzy w interesach.

– Tak jest, proszę pani. Jeżeli po pani powrocie cokolwiek będzie nie na swoim miejscu, to nie z mojej winy.

Cóż, pomyślała pokojówka, chyba wszystko jasne. Pełna dyskrecja i żadnej służby mogą oznaczać tylko jedno – orgię. A potem ja z tydzień będę to wszystko ogarniać.

Rozdział trzydziesty



8 listopada, godzina 18.00

Jan van Dongen wrzucił torbę podróżną Karla Bosa na tylne siedzenie czerwonego chevroleta malibu Victora i wsiadł do wozu, by poczekać na Bosa, który dawał napiwek bagażowemu. Poprosił Victora, by uruchomił silnik i włączył klimatyzację na pełny regulator z wszystkimi dyszami ustawionymi na tył. Gość, który raczył to określić „lodowatym podmuchem”, najwidoczniej w bardzo szczególny sposób rozumiał to pojęcie, pomyślał, ocierając obficie spływający z czoła pot.

Chwilę później do siedzących w pojeździe dołączył zlewający się potem Karl Bos, który, co ciekawe, pomyślał dokładnie o tym samym. Po krótkiej wizycie w Amsterdamie – pięknym, deszczowym, chłodnym i mglistym Amsterdamie, który tak uwielbiał – z radością powitał nieskończony kubański błękit. Lecz o ile nie siedzieli na plaży, miejscowy upał był zabójczy.

Gdzieś przed nimi rozlegało się trąbienie klaksonów. Jezdnia była zakorkowana, a temperamenty kierowców rozpalone bardziej niż asfalt. Autobusy turystyczne, taksówki oraz nieprzebrane tłumy odprowadzających bądź oczekujących krewnych i znajomych. Łzawe

pożegnania, radosne powroty, słomkowe kapelusze, krótkie spodenki, koszulki z wizerunkami Che Guevary, łyczek rumu z butelki ukrytej w papierowej torbie, dzieciaki z napojami i hot dogami...

Kubańscy to zdumiewająca nacja, pomyślał Bos. Za każdym razem, gdy ktoś wyjeżdża za granicę lub powraca, na lotnisku stawia się cała jego rodzina, co drugi znajomy i co czwarty sąsiad.

Victor wreszcie wyrwał się z korka wokół lotniska i wjechał na nowiuteńką drogę ekspresową, zbudowaną w celu zapewnienia turystom dojazdu do Hawany.

– I jak podróż? – spytał van Dongen.

– Rodzina zapłaci bez gadania – odparł Bos, odpowiadając na właściwe, choć niewypowiedziane pytanie.

– A co z żoną Riekxa? – spytał Victor. – Co ona o tym sądzi?

– Zgadza się. Jakkolwiek to dla niej trudne, zgadza się. Starsza pani zwyjątkową determinacją nalegała, by w żadnym wypadku nie informować policji i nie robić niczego, co mogłoby ściągnąć na Riekxa niebezpieczeństwo. Wraz z Vincentem i prawnikiem rodziny kilkakrotnie powtarzała, że mamy przyjąć żądania porywaczy i zapłacić tyle, ile tylko zechcą.

– Sądzę, że powinniśmy ich poprosić o zdjęcie Riekxa trzymającego gazetę z danego dnia. Musimy mieć pewność, że wciąż żyje.

– Nie, Janie – zdecydowanie zaproponował Bos. – Rodzina Groote stanowczo nam tego zabrania. Pieniądze naprawdę nie grają dla nich roli. Jeżeli Riekxowi stałoby się coś złego, jego żona otrzyma dziesięć milionów z polisy ubezpieczeniowej, a więc nie chodzi tu o kasę. Najważniejsze, byśmy nie sprowokowali porywaczy. Chcemy, by postępowali w sposób pragmatyczny i nie wyrządzili Riekxowi żadnej krzywdy.

– Ale prośba o zdjęcie stanowi standardowe postępowanie w takich sytuacjach. Każdy porywacz jest tego świadom. A jeśli odmówią, zapominamy o pytaniu i robimy, o co proszą. Jeżeli jednak prześlą zdjęcie, pozwoli nam to przebrnąć przez resztę procesu z o wiele większą nadzieją.

Karl Bos wyduł dolną wargę i wbił spojrzenie w szarą podsufitkę samochodu. Przeanalizowawszy cały pomysł, doszedł wreszcie do wniosku. Spojrzał na zegarek i poprosił Victora, by użyczył mu telefonu komórkowego. Po chwili Bos rozmawiał po niderlandzku ze swoją żoną, która co prawda nie do końca go rozumiała, ale że jego znajomość papiamento przedstawiała się jeszcze gorzej, jakoś się dogadywali. Następnie zadzwonił do swej sekretarki, tym razem przerzucając się na angielski, i polecił jej umówić spotkanie z kubańskimi inżynierami na następny ranek.

Dziesięć minut później chevrolet zajechał pod rozległy parterowy dom na hawańskim przedmieściu Fontanar. Żona Bosa czekała przed budynkiem i powitała małżonka, jakby wracał po miesięcznej rozłące.

– Dobra, panowie, bardzo wam dziękuję. Za dwie godziny widzimy się w moim biurze. Janie, upewnij się, że wszyscy pracownicy do tego czasu wyjdą.

* * *

8 listopada, godzina 21.00

W spotkaniu wzięli udział Karl Bos, Jan van Dongen oraz Victor King – zero sekretarek, zero asystentek. Pierwszym punktem obrad było wybranie osoby odpowiedzialnej za kontaktowanie się z porywaczami. Victor czym prędzej wykluczył swoją kandydaturę. Stwierdził, że jest jeszcze zbyt wstrząśnięty niedawnymi wydarzeniami. Koniec końców od napaści minęło zaledwie pięć dni, a na jego czole i nadgarstkach wciąż widniały przypominające o niej ślady. Victor był blady i wyraźnie stracił na wadze. Na ochotnika zgłosił się van Dongen. Karl Bos nie miał nic przeciwko.

Victor spytał, jak zamierzają rozwiązać kwestię zgromadzenia pieniędzy. Taka ilość gotówki mogła oznaczać poważny problem. Zgodnie z sugestią Bosa Vincent Groote polecił Geertowi de Greiffowi, dyrektorowi zarządzającemu biura w Caracas, przesłanie czterech milionów dolarów do Hawany przez kuriera. De Greiff zobowiązał się dostarczyć pieniądze na Kubę do 15 listopada.

Van Dongen ponownie podniósł kwestię zaapelowania do porywaczy o przedstawienie fotografii Riekxa trzymającego aktualną gazetę. Victor wyraźnie poparł jego pomysł, a Bos koniec końców dał się przekonać.

– Niech będzie, to w sumie niezła myśl. Pójdziemy na to, jeśli tylko zdołam przekonać rodzinę.

Rozdział trzydziesty pierwszy



8 listopada, godzina 23.00

– Co? Czy ciebie już do szczeru popierdoliło? – wydarła się Alicia, gdy usłyszała, że Holendrzy chcą dostać zdjęcie i że Victor poparł ich pomysł.

– To co my im niby wyślemy? Fotkę zeszywniałych zwłok ucharakteryzowanych na Mulatkę?

– Spokojnie, Alicio – zaapelował Victor. – Nie ma się czym martwić.

Alicia spojrzała na Victora, a w jej spojrzeniu wściekłość mieszała się z niepewnością.

– Jutro, gdy zadzwonisz do Bosa i poprosi cię o zdjęcie, powiedz, że musisz to omówić ze współpracownikami. I nie zapomnij spytać, kto przekaże pieniądze. Powie ci, że van Dongen.

Alicia ponownie zapisała wszystko w notatniku i raz jeszcze skrzywiła się z odrazą.

– Nie rozumiem, dlaczego nie zgłosiłeś się na ochotnika. Wszystko byłoby o wiele prostsze, gdybyś to ty miał zgarnąć forszę i po prostu zostawić ją tam, gdzie nam będzie wygodniej.

– W żadnym razie! Nie chcę, by ktokolwiek w firmie sądził, że choćby zerkałam w stronę tych pieniędzy.

Victor podszedł do zamrażalnika i spróbował go otworzyć.

– To ty zamknęłaś?

– Pamiętaj o pokojówce.

– No jasne! Daj klucz. – Victor otworzył zamrażarkę i zaczął przekopywać się przez wierzchnią warstwę mrożonek. – Nie chcę, by mnie kojarzono z pieniędzmi, ponieważ jestem jedynym świadkiem porwania, a niektórym nieufnym draniom już tyle wystarczy, by zacząć mnie podejrzewać.

– O co?

– O wszystko! Czy ty nie wiesz, jak te sukinsyny rozumują?

Osobanajbliższa popełnionej zbrodni, choćby to ona o niej informowała, zawsze będzie pierwszym podejrzany. Poza tym van Dongen to ich kuzyn, należy do rodziny. Jest więc poza wszelkim podejrzeniem.

Victor szperał dalej, czym zaintrygował Alicję.

– Co ty tam wyczyniasz? Zostaw już tego nieszczęśnika w spokoju!

– Żeby zrobić zdjęcie... musimy go rozmrozić...

– A jak niby...

– Po prostu wyłożymy go nad basenem, jak kogoś, kto najzwyczajniej w świecie się opala, i...

– Czyś ty oszalał? Toż to będzie cuchnąć pod niebiosa! Nad dom zlecanam się sępy z całej wyspy, a w mgnieniu oka pojawi się i policja, przekonana, że handlujemy trefnym mięsem.

– Koszerne to ono nie jest...

– Daruj sobie chwilowo żarty. Nie wiesz, że za nielegalny ubój byłaby ipodobne przedsięwzięcia można pójść siedzieć nawet na piętnaście lat?

Alicja była na skraju łez. Victor wziął ją w ramiona i spróbował pocieszyć.

– Nie ma co histeryzować. Gdy tylko odtaje, usadzimy go na krześle, pstrykniemy fotkę, i fru! z powrotem do lodówki.

– Niech będzie, ale ty to zrobisz. Ja ani myślę go dotykać – zastrzegła, wzdrygając się.

* * *

9 listopada, godzina 02.00

Tyłek i nogi, którym groziła utrata kontaktu z podłożem – tyle było widać z Victora, gdy z przepastnego zamrażalnika wyławiał ostatnie parę homarów, podając je Alicii, by ułożyła wraz z resztą ociekających opakowań w stalowym zlewie.

– To już ostatni! – wykrzyknął triumfalnie, spoglądając na Alicię i usiłując ogrzać przemarznięte dłonie pod pachami.

Alicia podeszła do zamrażarki i rzuciła okiem na Grootego rozciągniętego na dnie skrzyni w modlitewnym skłonie. Victor stanął obok i sięgnął do środka, usiłując ruszyć ciało. Gdy mu się to nie udało, spróbował raz jeszcze, z większą siłą, lecz również bez powodzenia.

– Kurwa mać!!!

– Co się stało? – spytała Alicia.

– Ten skurwysyn przymarzył do dna... ale to wyłącznie moja wina... powinienem był to przewidzieć... zawsze się tak dzieje.

– Dobrze już, dobrze – uspokajała go Alicia, przejmując dowodzenie w sytuacji kryzysowej. – Wystarczy, że polejemy ciepłą wodą fragmenty, w których przywarł, i poczekamy, aż lód się roztopi. Bo i tak musimy go rozmrozić, prawda?

Victor, zadowolony z przekazania inicjatywy, wycofał się, podszedł do ekspresu do kawy, napełnił go i zaczekał, aż zaparzy... *Jak to zwykli nazywać kubańscy niewolnicy? Czarny nektar białych bogów? Cóż, kwestia kolorystyczna nieco się zdezaktualizowała, ale nie ma wątpliwości, że nadal jest to nektar...*

– Ej! – zawołała Alicia, zakłócając zadumę Victora. – Jeśli wszystko będę musiała robić sama, to należy mi się siedemdziesiąt pięć procent z puli. Lepiej wykaż się swoim supermęskim umięśnieniem i przestaw mi ten garnek ze zlewu na kuchnię.

Victor zwrócił się w stronę Alicii z chłopięcym wyrazem urażonej niewinności na twarzy.

– Wystarczy, że przez cały dzień będziemy się pieprzyć z tym odmrażaniem, bo jeśli teraz się na mnie wypniesz, to sami znajdziemy się w niezłym bagnie – perorowała.

Uporawszy się z garnkiem, Victor skupił uwagę na sprawach, które zaplanowali na najbliższych kilka godzin.

– Oszacowałaś wagę pieniędzy?

– Jeszcze nie, ale przyniosłam od mojej matki wagę do przypraw i zaraz możemy to zrobić.

– Wagę do przypraw? – upewnił się Victor, gdy przeszli do salonu, czekając, aż woda zagrzeje się na kuchence.

– Owszem. Swego czasu ojciec usiłował odtworzyć pewne sosy i dressingi, których posmakował w Indonezji, toteż proporcje odmierzał niemal w nanogramach – wyjaśniła. – Nie mam natomiast studolarówki.

– To nie ma znaczenia – odparł Victor. – Wszystkie banknoty ważą tyle samo.

Alicia podniosła z jednego ze stolików niewielką skrzynkę i otworzyła jej wieko, ukazując wagę analityczną z małymi odważnikami z metalu.

– Dobra, daj mi wszystkie banknoty, jakie masz, żebyśmy mieli jakąś skalę porównawczą – powiedział Victor.

– Ojciec zwrócił mi kiedyś uwagę, że odważniki przestawia się wyłącznie pęsetą – nadmieniła.

– Pieprzyć pęsetę – rzucił Victor, lecz koniec końców i tak musiał się nią posłużyć, jego palce bowiem okazały się zbyt niezdarne. – A więc dziesięć banknotów waży prawie równo dziesięć gramów. Zatem jeden waży gram. Świetnie! Cztery miliony w studolarówkach to czterdzieści tysięcy banknotów, czyli całość będzie ważyć czterdzieści kilogramów, a wypełniona walizka około czterdziestu czterech kilo.

– Czterdzieści cztery kilo! – wybełkotała ze zboląłą miną Alicia. – I jak jato niby mam dźwigać?

– Bez obaw! Ze sprzętem, który zamierzam zorganizować, będziesz mogła podnieść nawet słonia!

Rozdział trzydziesty drugi



9 listopada, godzina 08.00

Karl Bos siedział w swoim gabinecie, podpisywał dokumenty i machinalnie przekazywał je asystentce, która po kolei wsuwała je w przezroczyste foldery. Kiedy ostatni trafił na swoje miejsce, Karl zakomunikował:

– Panno Castillo, w razie sytuacji wymagającej mojej natychmiastowej osobistej interwencji znajdzie mnie pani w sali konferencyjnej z panami Kingiem i van Dongenem. W mniej ważnych sprawach proszę mnie nie niepokoić.

Owalny stół zawalony był podkładkami, długopisami, telefonami, butelkami z wodą i filiżankami z kawą. Siedzący przy nim trzech mężczyźni próbowali radzić sobie z panującym napięciem. Victor palił, van Dongen wpatrywał się w sufit, Karl Bos natomiast postukiwał w palmtopa i w ciszy robił notatki. Akurat gdy po raz setny Bos spojrzał na zegarek, rozległ się dzwonek telefonu.

– Tak?!

Sekundę później uniósł brwi i skinął głową pozostałym obecnym, dając do zrozumienia, że na ten właśnie telefon czekali. Nakreślił w powietrzu kobiecą sylwetkę i wyartykułował bezgłośnie ustami: „kobieta”.

– Tak, rozumiem.

Alicia, przebrana za pulchną amerykańską turystkę, w stosownej peruce i w sandałach, z przesadą naśladowała akcent ze Środkowego Zachodu, a dla zniekształcenia głosu dodatkowo trzymała się za nos.

– Czy będziecie w stanie dokonać płatności siedemnastego?

– Tak, pieniądze będą gotowe.

- Kto będzie przekazywał pieniądze? Pamiętajcie, to musi być ktoś, kogo znamy.
- Tak, oczywiście. Pieniądze przekaże nasz człowiek, pan van Dongen.
- Ach, znakomicie. Nos z dodatkiem człowieka. – Karl Bos wbrew sobie zerknął na van Dongena, podczas gdy kobieta mówiła dalej: – Proszę pamiętać, że macie przygotować czterysta paczek po tysiąc dolarów każda.
- Tak.
- Z przypadkowymi numerami seryjnymi.
- Zrozumiano.
- Łącznie będzie to ważyć około pięćdziesięciu kilo. Obliczcie więc objętość i znajdźcie odpowiednią torbę.
- Tak, wszystko będzie w porządku, tylko chcielibyśmy zobaczyć zdjęcie pana Grootego z dzisiejszą lub jutrzejszą gazetą w ręku.
- Zdjęcie? Raczej nie będzie z tym kłopotu, ale muszę omówić to z współzawodnikami.

Połączenie zostało przerwane.

- Sądzę, że zgodzą się na prośbę o zdjęcie – zauważył Bos, pokazując Janowi uniesiony kciuk. – Dobry pomysł, Janie.

Van Dongen uśmiechnął się z satysfakcją.

- Cóż – Bos wstał i podniósł firkę do palenia, którą na czas rozmowy odłożył do popielniczki – piłeczka jest teraz po naszej stronie, a zatem bierzmy się do roboty. Chcą dostać kasę w czterystu paczkach banknotów studolarowych i mamy to mieć gotowe na siedemnastego.

Wywijając linijką i dziesięciodolarowym banknotem, który dopiero co wyjął z portfela, van Dongen kalkulował, mamrotał coś pod nosem, gryzmolił, znowuż mamrotał, aż wreszcie obwieścił:

- Będziemy potrzebować torby o pojemności mniej więcej jednej siódmej metra sześciennego.
- Czyli jakie to będą wymiary? – spytał Victor. – To pójdę i kupię.
- Będziemy musieli znaleźć jakiegoś siłacza do noszenia tych pięćdziesięciu kilo – zauważył Bos.

– Racja. Janie, jakbyś potrzebował, to ja mam w domu hantle do ćwiczeń– zażartował Victor.

Rozdział trzydziesty trzeci



9 listopada, godzina 12.00

Długowłosego bruneta z gęstym wąsem przedstawił pokwitowanie w zakładzie Foto Centro przy Dwudziestej Trzeciej Ulicy. Ekspedientka podała mu kopertę. Klient zapłacił i wyszedł na skąpaną w południowym słońcu ulicę. Z nieba lał się żar.

9 listopada, godzina 13.00

Recepcjonista w hotelu Triton spojrzał na mężczyznę, który wręczył mu paszport, aby przekonać się, czy jest to ten sam z hiszpańska wyglądający jegomość co na fotografii.

– Witamy w naszym hotelu, señor Groote. Życzymy miłego pobytu.

Smagły Groote pobrał klucze, które miały się przydać następnego dnia, wyszedł z hotelu, wszedł do czekającego wozu i odjechał. Gdy w drodze powrotnej do domu samochód skręcił w Piątą Aleję, mężczyzna zdjął perukę i sztuczne wąsy, upchnął je do walizki i przystąpił do wycierania z twarzy tłustego mazidła.

– Mistrzostwo świata w grze aktorskiej i charakteryzacji – skomentowała Alicia, przyglądając się fotografiom. – Już miałam cię nie wpuścić do samochodu.

– Tak, wyszło całkiem nieźle – przyznał uśmiechnięty Victor.

Rozdział trzydziesty czwarty



9 listopada, godzina 15.00

Alicia i Victor zdołali prawie rozmrozić Riekxa. Rozciągnięty na leżaku nad basenem Groote miał na sobie słomkowy kapelusz, jakich mieszkańcy wsi używają do osłony przed nieubłaganymi promieniami słońca. Victor podszedł do ciała i szturchnął je w paru miejscach, aby sprawdzić, jak bardzo odtajało. Nie można było dopuścić, by jakaś jego część się odłamała.

Mniej więcej dziesięć minut później Alicia wyszła z domu z dużym wiadrem parującej jeszcze wody.

– To co, bierzemy się do mycia czy jak?

Victor przytaknął i Alicia zaczęła szorować Riekxa z pomocą sporej gąbki i środka czyszczącego, aby zmyć ciemny makijaż z widocznych na zdjęciu części ciała.

– Uważaj tylko, żeby nie zetrzeć mu skóry z twarzy – odezwał się Victor.

– Dobra, wystarczy tego! Po moim trupie będziesz tu rządził! – Zerknęła na Riekxa. – I bez głupich żartów. Chodź tu i pomóż mi z tym myciem. – Przerwała tyradę, by zapytać: – A dlaczego niby miałyby mu odejść skóra?

– Mówi się, że kiedy człowiek zamarźnie, robi się tak kruchy, że z łatwością można mu coś ułamać. To samo tyczy się skóry. Tak przynajmniej twierdzą w Jukonie.

– Ale czy on już nie odtajał? – spytała.

– Nie do końca... i to nawet lepiej, bo w innym razie byłby zupełnie sztywny i nie sposób by było nim poruszać.

– Dobra, postarajmy się z tym uwinąć, zanim zacznie śmierdzieć.

– Nie sądzę... – zaczął Victor.

– Nie sądz. I się do mnie nie odzywaj – przerwała Alicia. – Błę! Za paręminut zacznie cuchnąć, i już.

Gdy uporali się z kąpielą, Victor ujął Riekxa pod pachy, Alicia chwyciła za kostki i razem zdołali go jakoś zapakować na wykorzystywaną przy jego wcześniejszym pogrzebie taczkę, którą Victor – odwróciwszy się do niej plecami – pociągnął niczym riksę, nie chcąc patrzeć na Riekxa, o ile nie będzie to absolutnie konieczne. Kiedy pchał ją do domu, głowa Riekxa wypadła za krawędź taczki i zaczęła się o nią obijać. Alicia, która szła zaraz z tyłu, resztę drogi do domu przeszła przechylona, podtrzymując trupi czerep, zadowolona, że Victor jej nie widzi, sama bowiem niezbyt wiedziała, co robi.

Już samo ubranie Riekxa w strój, w jakim zwykli go widywać ludzie z firmy, było wystarczająco trudne, lecz prawdziwym wyzwaniem okazało się ustawienie go w wiarygodnej pozycji do sesji zdjęciowej.

Usadzenie na krześle poszło łatwo. Z pomocą liny obwiązanej wokół podbrzusza i za oparciem krzesła byli w stanie powstrzymać go przed osuwaniem się na podłogę. Sznur pod pachami stanowił już nieco większy problem, nie mógł być bowiem widoczny na fotografii. W koszuli i marynarce trzeba było wyciąć dziury tuż za linią ramion, by móc tamtędy przeciągnąć linę i związać jej końce za krzesłem.

Choć ciało przyjęło teraz pozycję siedzącą, głowa trupa nadal opadała na klatkę piersiową. Victor z pomocą taśmy przymocował do oparcia krzesła kij od miotły, do którego z kolei zdołał przywiązać kosmyk włosów Riekxa.

– Proszę! Gotowe! – zawołał triumfalnie.

– Taa... – skwitowała Alicia. – Teraz tylko musimy mu nadać jakiś innywyraz twarzy.

– Co to znaczy „inny”?

– To znaczy wyraz twarzy żywego człowieka.

– To ty nałożysz mu trochę makijażu, a potem ja zafiksuję mu powiekitaśmą – oznajmił Victor, bez trudu znajdując wyjście z sytuacji.

Rzecz jasna, sprawy nigdy nie układają się tak prosto. Taśma na oczach łudzaco upodobniła Riekxa do Aristotelisa Onasisa, a na dodatek trup co chwila psotnie do nich mrugał. Koniec końców uciekli się do użycia superkleju. Nie rozwiązało to co prawda problemu z ruchem gałek ocznych, ale nie można wszak mieć wszystkiego.

Victor pstryknął pierwsze zdjęcie polaroidem i poczekał na efekt. Ich oczom ukazało się... idealne ujęcie uwiązanego do krzesła trupa.

– Spróbujmy oprzeć mu łokcie na stole. Będzie wyglądać naturalniej – zasugerowała Alicia.

– Świetnie. Ty wleź pod stół i trzymaj mu ręce za łokcie. Ja poluzuję nieco linę, żeby mógł się trochę nachylić do przodu. Choć nie, poczekaj! – rzucił Victor i pognął do kuchni, by za moment powrócić z dwoma kawałkami złamanego kija od mopa. – Wsunę mu je do rękawów, żebyś mogła ułożyć przedramiona w dowolny sposób.

Kiedy wszystko było już gotowe, Victor zrobił krok w tył, aby rzucić okiem na rezultat z odpowiedniej perspektywy.

– Tak, wygląda niemalże naturalnie.

Po czym zwrócił się do Alicii:

– Zostań tam. Zawieszę z tyłu prześcieradło, żeby zasłonić wszystko, co mogłoby posłużyć do identyfikacji miejsca. – Victor powiesił prześcieradło, złapał nikona i zaczął fotografowanie. – Dobra, teraz spróbuj unieść mu trochę prawe ramię... Tak jest dobrze... Poczekaj... teraz w lewo...

Skulona pod stołem Alicia zalewała się potem, a kontakt z trupem przyprawiał ją o mdłości, zarazem jednak wyobrażała sobie Riekxa jako marionetkę z kiwającą głową, przez co musiała się pilnować, by nie wybuchnąć histerycznym śmiechem.

– Doskonale... a teraz parę fotek z profilu...

Kiedy Victor wykorzystał już około sześćdziesięciu z siedemdziesięciu dwóch klitek negatywu, zwłoki zaczęły naciskać swoją masą na stół, w rezultacie czego cała konstrukcja – ciało, gazeta, kije od szczotek i reszta rekwizytów – zawałiła się na Alicię, która ledwie zdołała opanować śmiech i wykrzyknęła:

– Zdejmij go ze mnie! Zdejmij!

– Dobrze już, dobrze – odpowiedział Victor, starając się nie roześmiać. –

To, co mamy, powinno wystarczyć.

– Obyś miał rację, bo drugiej sesji zdjęciowej nie będzie.

Rozdział trzydziesty piąty



Następnego dnia na podłodze przed drzwiami biura sekretarka Karla Bosa natknęła się na sporą kopertę. Odłożyła ją na bok, a gdy tylko pan Bos rozpoczął codzienne urzędowanie, natychmiast mu ją przyniosła. Bos otworzył kopertę, wbił spojrzenie w fotografię Grootego i otarłszy łzę, wydał polecenie: „Panno Sanchez, niech pani poprosi panów van Dongena i Kinga do mojego gabinetu”.

– Spójrzcie tylko na naszego biednego Riekxa – powiedział, pokazując zdjęcie Victorowi i van Dongenowi. Dużym wysiłkiem powstrzymał się od płaczu w obecności współpracowników.

Jan van Dongen wziął fotografię do ręki i od razu potrząsnął głową.

– Dlaczego nie pokazali go en face? Naprawdę mnie to niepokoi – przyznał, nie przestając kręcić głową.

– Coś nie tak, Janie? – spytał Bos, gdy zdjęcie ponownie trafiło w jego ręce.

Kiedy chwilę później do gabinetu wszedł Victor, Bos wręczył mu fotografię i spytał o zdanie.

– Nie widać gałek ocznych – naciskał van Dongen. – Równie dobrze można być zdjęciem trupa.

– Nie wydaje mi się, Janie – zauważył Victor. – Po tylu dniach...
Niewyobrażam sobie, jak niby mieliby...

– O tym samym pomyślałem – przerwał mu Bos. – Nie pytajcie czemu, bosam tego nie wiem. Wiem za to, że nic na tym zdjęciu nie dowodzi, że Rieks ciągle żyje, i mnie to przeraża.

– Mogli go czymś odurzyć – zgadywał Victor.

– Albo też mogli go pobić – dodał Bos.

– Albo też mogli go zabić – nie odpuszczał van Dongen.

Victor spojrzał zza van Dongena na Bosa, wzruszeniem ramion i uniesieniem brwi dając do zrozumienia, że uznaje podejrzenia Jana za paranoidalne rojenia.

W spiżarni przylegającej do kompleksu biur zajmowanych przez spółkę przyodziana w uniform firmowa kelnerka ustawiła na tacy trzy filiżanki kawy i ruszyła z nimi ku wejściu do głównego gabinetu. Po drodze usłyszała gromki rechot Bosa i uśmiechnęła się. Widząc, że recepcjonistka również się uśmiecha, mrugnęła do niej porozumiewawczo i poszła przed siebie. Gdy śmiech rozległ się po raz drugi, a potem trzeci, nie powstrzymała się i sama zaczęła się śmiać, podobnie zresztą jak recepcjonistka.

Trzeba je było zrozumieć. Kiedy Karl Bos wybuchał śmiechem, słyszeli to wszyscy dookoła. Śmiech ten przenikał przez ściany, niósł się korytarzami, a przed jego zaraźliwą wesołością nie było ucieczki. Kiedy szef się rozweselał, śmiali się wszyscy w biurze, ponieważ ów pięćdziesięcioparoletni rudy gigant śmiał się tak bezpretensjonalnie jak dziecko i nie sposób było nie zareagować na dźwięk tych wybuchów radości.

Gdy kelnerka weszła do gabinetu, usłyszała nieco cichszy śmiech Victora Kinga (tego przystojniaka) i dostrzegła, że pan van Dongen stoi między nimi i opowiada im jakąś historię, której nie była w stanie zrozumieć.

– Wędzone węgorze w sosie z mango? Pierdolisz, Janie, nikt by tego niejadł.

– Mówiłeś, że jak się ta ciotka nazywała?

– Cornelia – odparł z poważną miną van Dongen. – To starsza siostra ojca Rieksa, a przy tym zupełna wariatka. Lubuje się w torturowaniu gości swymi kulinarnymi okrucieństwami.

– I ten Tropikalny Bałtyk to jej wymysł?

– Oczywiście, jakby inaczej? I zawsze opowiada swym gościom, że najednym z szefów kuchni nowojorskiego hotelu Waldorf-Astoria zrobiła tą potrawą takie wrażenie, że poprosił ją o przepis i podpisanie zgody na dołączenie dania do swego repertuaru.

– Ha, ha, ha! Ten facet to w takim razie najbardziej wybredny sukinsynw całym Nowym Jorku!

– E tam, to wszystko nieprawda. Staruszka jest kompulsywną kłamczuchą.

– Ha, ha, ha! Uch, uch... – Olbrzym łapczywie zaczerpnął powietrza, bymóc się dalej śmiać.

Kelnerka wyszła z tacą najciszej, jak tylko mogła. Umierająca z ciekawości recepcjonistka rzucała jej błagalne spojrzenia.

– Rozmawiają po angielsku, a wiesz, że ja tego ni w ząb nie rozumiem... Tymczasem w gabinecie Victor pytał van Dongena:

– Myślisz, że Rieks będzie pamiętał nazwę tej mikstury?

– Ależ jasne, Vic – zapewnił go van Dongen. – Sam wiesz, jak bardzo Rieks uwielbia żarty. Gdy tylko był w nieco sadystycznym nastroju, zabierał gości do ciotki Cornelii na trochę Tropikalnego Bałtyku.

Recht Bosa ponownie odbił się od ścian gabinetu. Wielkolud był czerwony na twarzy, a niesforny kosmyk włosów szaleńczo podskakiwał mu na czole.

– A zatem co planujesz, Janie? – spytał, wciąż chichocząc i przecierając zaparowane okulary.

– To proste, Karl. Kiedy jutro zadzwonią do nas porywacze, poprosimy, by spytali Riekxa o nazwę i składniki najwybitniejszej potrawy ciotki Cornelii. Spytają go, a potem nam przekażą.

Victor zgodził się z nim, żywo potakując głową.

– Wspaniale! Jeśli uzyskamy właściwą odpowiedź, będziemy mieli pewność, że Rieks jest wciąż cały i zdrowy.

– Genialny pomysł – poparł go Bos, kolejny raz rycząc ze śmiechu.

* * *

Tego wieczoru, wjeżdżając już do garażu, Jan zdał sobie sprawę, że się pomylił. Wymyślona przez ciotkę Cornelie potrawa z węgorzem i mango nie nazywała się Tropikalny Bałtyk, ale Tropikalny Boreasz. Przypomniał sobie, że Cornelia wynalazła również podawaną na zimno zupę z dorsza z aką, rumem i papryczkami chili, którą ochrzciła mianem Karaibskiego Bałtyku. Po śmierci ukochanego męża, podczas dwudziestoletniej emerytury na Curaçao, Cornelia znalazła upodobanie w realizacji kulinarnych fantazji, w których łączyła produkty z ojczyzny ze smakami tak jej drogich Karaibów. Rieks parokrotnie raczył swoich gości Karaibskim Bałtykiem.

– O ile tylko omijałeś akę i papryczki – zauważali zawsze goście – to samazupa da się nawet jeść.

W pewnym sensie wiele to mówiło o holenderskiej kuchni.

Z perspektywy Jana zamiana Bałtyku na Boreasza stanowiła logiczną pomyłkę terminologiczną. Chciał już zadzwonić do Bosa i Victora i sprostować, uznał jednak, że nie warto ich kłopotać. Rieks z pewnością poda właściwą odpowiedź.

Rozdział trzydziesty szósty



Smagły mężczyzna z wąsem rozejrzał się, upewnił, że nikt nie patrzy, i przystanął, by wciągnąć lateksowe rękawiczki. Następnie udał się na koniec długiego hallu hotelu Triton, gdzie wiedział, że czeka już na niego pokój numer 306. W pokoju zdjął lekką marynarkę, powiesił ją starannie w szafie naprzeciw drzwi od łazienki, a następnie podszedł do toaletki.

Patrząc w lustro, ostrożnie ściągnął perukę oraz wąsy i odłożył je do górnej szuflady, obok papeterii, długopisu i bibuły. Upewniwszy się z satysfakcją, że wszystko jest na swoim miejscu, sięgnął do telefonu

komórkowego na biodrze i wcisnął przycisk ponownego wybierania. Sekundę później rzucił do aparatu: „Już jestem. Drzwi są otwarte”.

Nie czekając na odpowiedź, rozłączył się i wszedł do łazienki przemyć twarz. Gdy już odświeżył się i wytarł, powrócił do pokoju, rozejrzał się w poszukiwaniu minibarku, namierzył go w szafie, po czym wyciągnął małą butelkę whiskey, butelkę wody mineralnej oraz kubetek z lodem. Odpakował szklankę z folii antyseptycznej i przygotował sobie „odświeżacza”, jak zwykło nazywać drinki z tak małą ilością whiskey, by jedynie przełamać smak wody.

Z papierosem w dłoni zbliżył się do okna. Uchylił odrobinę zasłony i rozejrzał się we wszystkich kierunkach. Z zadowoleniem stwierdził, że nikt go tutaj nie dojrzy, rozsunął więc kotary do końca i rozsiadł się, by podziwiać widok na morze.

Kiedy masy zimnego powietrza znad Zatoki Meksykańskiej nadciągają nad Hawanę, natychmiast powstają warunki, które mieszkańcy miasta nazywają zimowymi. Gdy spojrzeć na ocean, wyraźnie widać przemieszczający się naprzód stalowoszary front atmosferyczny i towarzyszące mu długie ciągi fal roztrzaskujących się o skaliste wybrzeże i wyrzucających w powietrze tumany słonej mgiełki na wysokość kilku pięter.

Ten szesnasty listopada należał do takich właśnie dni. W nieskończonym majestacie morza Victor znalazł upragnione ukojenie. Od ustalonej daty przekazania okupu dzielił go jeszcze jeden dzień. Od rana nerwy miał napięte jak postronki. Zdążył już odbyć kilka sesji treningowych „cichego oddychania”, którego nauczył go chiński współwięzień w Meksyku, teraz zaś falujące morze wyciszało targające Victorem emocje.

Kiedy miał już sięgnąć po drugą szklaneczkę „odświeżacza”, drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Alicia, wystawiając ręce niczym chirurg w oczekiwaniu na włożenie rękawiczek.

Victor wstał, cmoknął ją w czoło i nasunął na dłonie lateksowe rękawiczki. Usadził ją naprzeciw okna, zdjął jej perukę i odłożył do tej samej szuflady co swoją. Gotowi do pracy, następne pół godziny spędzili na omawianiu ostatnich kroków, jakie należało poczynić tego dnia, a także

tych, które czekały ich nazajutrz. Victor zaznajomił Alicię ze szczegółowym przebiegiem planowanej operacji i polecił jej zapoznać się z pokojem, by nauczyła się wszystkiego na pamięć. Gdy obydwoje upewnili się, że doskonale się rozumieją, Victor ponownie przywdział swe hiszpańskie przebranie i usadowił się za Alicią, by gładzić wewnętrzną stronę jej ud, jednocześnie wgrzając się w jej pupę.

– Nawet nie zaczynaj. Zostawmy to na jutro, to sprawdzimy, jak wtrakcie seksu czują się bogaci. A skoro już przy tym jesteśmy, to nadal nie powiedziałaś mi, jakie są twoje plany co do nas, kiedy już zostaniemy milionerami.

– Mam co do ciebie plany przewspaniałe... – Co do mnie... czy co do nas?

– Nas, *mi niña*. Wystarczy, że współpracujemy, a stawka idzie w miliony, i nie ma dla nas rzeczy niemożliwych! – rozgadał się Victor, wkładając na nos ciemne okulary.

Chwilę później, gdy przystanęli w drzwiach, by zsynchronizować zegarki, Victor rozśmieszył Alicię opowieścią o kulinarnej krotchwili ciotki Corneli.

– Dotrę do biura za jakieś piętnaście minut. Odczekaj więc ze dwadzieścia. Chcę mieć pewność, że kiedy zadzwonisz, będę już na miejscu.

* * *

– Ciotka Cornelia wynalazła danie z wędzonego węgorka w sosie z mango i nazwała je Tropikalnym Bałtykiem. Czy przygotowaliście już wszystko na jutrzejszy poranek? Odezwiemy się między dziesiątą a jedenastą przed południem – oznajmiła Alicia, po czym natychmiast się rozłączyła. Bos również odłożył słuchawkę i uniósł ręce w geście zwycięstwa.

– Cornelia, wędzony węgorz w sosie z mango, Tropikalny Bałtyk, wszystko się zgadza.

Victor gwizdnął i zaklaskał w ręce.

– Żyje, to wspaniale!

– Dzięki Bogu – zawołał Bos i wcisnął guzik interkomu, aby wezwać do siebie Jana i położyć kres jego zmartwieniom.

Lecz właśnie w tej chwili Jan van Dongen wszedł do gabinetu. Gdy przekazano mu nowinę, nie krzyknął z radości ani nie zaklaskał w dłonie, a tylko stanął zamyślony.

– Czy jesteś absolutnie pewien, Karl, że tak właśnie powiedziała?

– Jak najbardziej: Cornelia, wędzony węgorz w sosie z mango, TropikalnyBałtyk. Czego ci więcej trzeba?

– To co, Janie? Zadowolony? – spytał Victor, obejmując van Dongen ramieniem.

– Tak, nie mam już żadnych wątpliwości – wybełkotał, unikając spojrzenia pozostałych. – A teraz wybaczcie, ale muszę coś jeszcze zrobić.

Rozdział trzydziesty siódmy



Jan van Dongen wiedział, że w tej chwili musi zejść im wszystkim (a zwłaszcza Victorowi) z oczu, bo w innym wypadku zdradzą go nerwy. Potrzebował czasu do namysłu. Skrywana nadzieja, że jego podejrzenia okażą się nieślusne, legła w gruzach. Nim zacznie działać, musi się przede wszystkim uspokoić. Udał się do łazienki na końcu korytarza, zamknął w jednej z kabin i usiadł na muszli klozetowej.

A to mordercza żmija! Jak to możliwe? Sukinsyn przecież wie, że znam jego przeszłość i mogę mu się dostać do dupy. Jak może być tak głupi? Choć w sumie może nie jest głupi. Może nie zamordował Rieksa.

Poczuł, jak duszący go w splocie słonecznym węzeł się rozluźnia, a oddech mniej więcej wraca do normy. Tak, sytuacja nie była wcale tak oczywista. Wciąż istniały pewne wątpliwości, które przed podjęciem działania należało wyjaśnić. *Tylko spokojnie!*

Dziesięć minut później Jan van Dongen niespiesznie jechał tunelem prowadzącym w stronę Miramar. Na Drugiej Ulicy natychmiast zjechał na bok i zaparkował w przedwczesnym mroku rozłożystych bananowców. Przejazdka z biura trwała zaledwie kilka minut, lecz w głębi duszy Jan, poszukując wskazówek i odpowiedzi, odbył w tym czasie podróż nieskończenie dalszą.

Kiedy w pierwszej chwili wyobraził sobie, jak Victor brutalnie morduje Riekxa, wizja ta zupełnie przyćmiła jego zdolność logicznego rozumowania. Przez piętnaście minut spędzonych na służbowej toalecie obmyślał wyłącznie możliwe plany zemsty: wydać go kubańskiej policji? To by mu się akurat należało. Samemu zastrzelić gnoja? Zbyt pochopne i niebezpieczne. Wydać go Vincentowi w zamian za skromną nagrodę? Koniec końców to dzięki jego pomysłowi na szyi Victora pojawiła się pętla. Planował więc i planował, lecz jakiś głos z tyłu głowy podpowiadał mu, że niezależnie od tego, jaką decyzję podejmie, przed przejściem do działania powinien wszystko ostrożnie przemyśleć.

Dopiero gdy rzetelnie i uczciwie przeanalizował osobę Victora, doszedł do wniosku, że jest z niego zbyt szczywany i obślizgły kutas, by zrobić coś równie durnego. Wreszcie odzyskał trzeźwość umysłu. *Nieważne!* Jeżeli Victor istotnie zamordował Riekxa, na zemstę przyjdzie jeszcze czas. W tej chwili najlepsze, co mógł zrobić Jan, to wymoczyć się w gorącej kąpieli i oddać czekającej na niego Carmen.

Gdy parę minut po dziewiętnastej wrócił do siebie, zdążyła już zapaść noc. Dom był zupełnie ciemny i opustoszały. Z westchnieniem przypomniał sobie, że Carmen uprzedziła go, że będzie mieć nocny dyżur w szpitalu. No dobra, w takim razie niech będzie gorąca kąpiel i łyk lodowatego jeneveru z zamrażarki.

Jenever zawsze działał na niego trzeźwiąco. Tylko Holendrzy są w stanie pić coś tak obrzydliwego, a Jan był Holendrem bez dwóch zdań. Bycie Holendrem oznacza zamiłowanie do porządku i zdyscyplinowanie – i tego właśnie wymagała obecna sytuacja.

Za piętnaście ósma, czyściutki, z ciśnieniem sto dwadzieścia na osiemdziesiąt, tętnem siedemdziesiąt sześć, ułożony na wznak, pogrążył się w czymś w rodzaju heurystycznego transu, rozważając wszystkie możliwe warianty i odrzucając te, które wydawały się najmniej prawdopodobne. Dwadzieścia po ósmej zyskał pewność, że Victor King nie zamordował Rieksa. *W żadnym razie!* To Rieks chronił go w spółce, to Rieks stanowił dla niego gwarancję zarobienia w dziesięć lat piętnastu milionów dolarów, to Rieks stanowił przykrywkę dla tożsamości Victora Kinga, to dzięki Rieksowi mógłby dalej eksplorować dna oceanów, co tak uwielbiał, wreszcie to Rieks się w nim kochał. W sytuacji, w której nie miało się nic do zyskania, do stracenia zaś wszystko, można było zaufać Victorowi Kingowi, że postąpi właściwie, a zabicie Rieksa stanowiłoby postępowanie niewłaściwe. Vincent w mgnieniu oka i z niekłamaną rozkoszą wpakowałby go do więzienia lub wywalił na bruk.

Rzecz jasna, chcąc być do końca rzetelnym, van Dongen rozważył również fakt, że o przepisie ciotki Cornelii wiedział także Bos. Lecz Jan van Dongen znał go zdecydowanie zbyt długo, by choćby dopuścić ewentualność, że jowialny rudy gigant miał cokolwiek wspólnego z wyrządzeniem Rieksowi krzywdy.

Jedyne logiczne wytłumaczenie sytuacji wyglądało następująco: Victor zabił Rieksa nieumyślnie bądź też był obecny w chwili jego śmierci w wyniku wypadku czy czegoś podobnego. Rieks mógł przecież umrzeć z rozlicznych powodów: przedawkowania barbituranów, zatrucia alkoholem, reakcji alergicznej (jak wtedy w Londynie, gdy nieomal zszedł, po tym jak obżarł się owocami morza), albo mógł mu się po prostu przydarzyć jeden z tych dziwacznych wypadków, o których tyle się słyszy.

Z drugiej strony możliwe, że Rieks miał napad zazdrości i zaatakował Victora. Z pewnością był do tego zdolny, a Victor mógł go wówczas zabić w obronie własnej. Cóż... to możliwe. Ale zbrodnia z premedytacją nie wchodziła w rachubę.

Bez względu na przyczynę śmierci Riekxa, Victorowi – zdesperowanemu i świadomemu, że jego sny o potęgze wzięty w łeb, a mocodawca zginął – odstawienie całej szopki z porwaniem wydawało się logicznym posunięciem, obliczonym na ratowanie z tonącego statku, co się da.

Tej nocy Jan van Dongen podjął kilka decyzji. Po pierwsze i po drugie: poczekać na ostateczny dowód śmierci Riekxa, aż sekcja zwłok pozwoli ustalić przyczyny zgonu.

Po trzecie: uczestniczyć w przekazaniu okupu, aby przyjrzeć się zachowaniu Victora i jego współpracownicy lub współpracowników.

Po czwarte: nie kiwnąć palcem w obronie pieniędzy Vincenta Grootego czy cokolwiek należącego do jego rodziny – która (za wyjątkiem Riekxa) zawsze traktowała go jak śmiecia. Żał mu się zrobiło Christiny, wdowy po Riekxie, była miłą osobą, zawsze wobec niego w porządku. W ostatecznym rozrachunku prędzej czy później musiała się dowiedzieć o homoseksualizmie męża i stanowiłoby to dla niej dotkliwy cios. Co więcej, cztery miliony dolarów okupu z nawiązką zrekompensuje wypłata dziesięciu milionów z polisy ubezpieczeniowej Riekxa. Choć ona sama nigdy się o tym nie dowie, koniec końców wyjdzie na plus.

Po piąte: chociaż nie miał wątpliwości, że Victor usiłował wykorzystać śmierć Riekxa do zainkasowania czterech milionów dolarów, Jan nie zamierzał go wydawać policji. Na jego miejscu bez najmniejszych skrępowań zrobiłby to samo lub coś bardzo podobnego. Wszystko to, rzecz jasna, o ile Victor istotnie nie był winny śmierci Riekxa, a w tym momencie Jan miał co do tego pewność. Poza tym znał Riekxa i doskonale wiedział, do jak wielkiej hysterii i agresji był zdolny podczas napadów chorobliwej i paranoicznej zazdrości.

Jeżeli natomiast okaże się, że Victor to jednak tępymorderca, Jan przez wzgląd na pamięć o Riekxie bez trudu będzie mógł go zlikwidować.

Rozdział trzydziesty ósmy



Dziwaczny ciemnowłosy mężczyzna z ciemnymi wąsami wszedł do hotelu Triton punktualnie o godzinie siódmej rano, w ręku niosąc wyraźnie ciężką białą walizkę. W istocie walizka zawierała około pięćdziesięciu kilogramów ciężarków do nurkowania. Przybysz targał też długą czarną płócienną torbę, mającą metr osiemdziesiąt długości i niespełna pół metra szerokości. Gdy zaspany bagażowy pospieszył mu z pomocą, mężczyzna zatrzymał walizkę przy sobie.

– Dziękuję, poradzę sobie. Ale niech pan weźmie tę torbę i będzie bardzo ostrożny, w środku mam teodolit i inne bardzo delikatne instrumenty pomiarowe – wyjaśnił koszmarnym hiszpańskim, starając się naśladować holenderski akcent.

Alicia zgodnie z poczynionymi ustaleniami pojawiła się pół godziny później. Udała się wprost do pokoju, gdzie włożyła lateksowe rękawiczki i wraz z Victorem zabrała się do roboty.

– Ta walizka jest wystarczająco duża?

– Tak. Wybrałem ją, ponieważ jest na tyle pojemna, że mieści w sobie pomarańczową walizkę, w której van Dongen przyniesie pieniądze.

Niezwłocznie przystąpili do rozstawiania przyniesionego w torbie z czarnego płótna superwytrzymałego zestawu do połowów. Następnie zabrali się do stalowych kątowników. Do ósmej dwadzieścia Victor zdążył się uporać z montażem sześciu elementów prostokątnej ramy, którą rozlokował pod oknem wychodzącym na taras. Do przedniej części ramy przyspawano czterdziestocentymetrową rurkę ze stali nierdzewnej o prześwicie umożliwiającym zmieszczenie rękojeści grubej wędki. Sama wędka wykonana była z ciężkiego włókna szklanego i ugięła się pod ciężarem stu kilogramów, lecz by wygiąć ją w kształt litery U, ktoś musiałby użyć ciężaru ponad pięćsetkilogramowego.

Kiedy skończył mocować w ramie wędkę i szpulę śrubą zabezpieczającą, otworzył białą walizę i począł wyciągać z niej ciężarki. Ze skórzanej otomany wyrwał połowę zawartości i zastąpił ją odważnikami, po czym całość ustawił na tylnej części obramowania.

– A co to ma niby być? – spytała wyraźnie zaintrygowana Alicia.

– To miało być przyśrubowane do podłogi, ale żeby wwiercić się w ten cholerny taras, musiałbym użyć chyba młota pneumatycznego – wyjaśnił Victor. – Tak czy owak, twój ciężar plus ciężar odważników, pomnożone przez metrowe ramię dźwigni, wystarczą z zapasem, by zrównoważyć ciężar pieniędzy. Chodź tu i sprawdź.

Alicia usiadła na otomanie i zaczęła kręcić szpulą. Wnosząc po zadowolonej minie Victora, uznała, że wszystko gra, choć daleka była od wiary w jego techniczne i mechaniczne zdolności.

– Jesteś pewien, że to ustrojstwo uniesie trzydzieści pięć kilo?

– Do cholery, Alicio, od dwudziestu lat zajmuję się pełnomorskimi połowami i widziałem już drobne staruszki, które tego typu sprzętem wyciągały stu pięćdziesięciokilowe graniki czarne. Zresztą chodź, coś ci pokażę – powiedział, rozglądając się po pokoju.

W końcu rzucił się ku szafie, wyciągnął z niej miniaturową lodówkę i ustawił ją w jednej linii z konstrukcją do połowów. Ze sprawnością doświadczonego rybaka obwiązał lodówkę wytrzymałą linką wędkarską, pozostawiając na górze pętlę. Alicia przyglądała mu się z niekłamanym podziwem.

– No dobra! To cholerstwo waży co najmniej czterdzieści kilo.

Teraz spróbuj je nawinąć.

Alicia zaczęła kręcić kołowrotkiem i ujrzała, jak mała lodówka przechyla się lekko w jej stronę, by następnie niemal bez wysiłku oderwać się od podłoża. Zdumiona nagłym przyrostem siły nawijała dalej, aż lodówka znalazła się dobry metr nad podłogą.

– Kto by pomyślał. Powiedzcie Schwarzeneggerowi, że ma konkurentkę.

– Wygląda na to, że się przekonałaś. Kiedy wciągniesz na górę torbę z pieniędzmi, włóż ją do białej walizki. Następnie zapakujesz cały sprzęt. Nie spiesz się, będziesz miała wystarczająco dużo czasu. Jakieś pięć do siedmiu minut później wsiądziesz do windy. Nie powinnaś napotkać żadnych trudności. Ważne, żebyś wyglądała jak turystka, która wybiera się na wycieczkę. Wszystko jasne?

– Chyba tak – stwierdziła, spoglądając na rozłożone na podłodze szpargały. – No a co się stanie, jak już znajdą ten cały złom?

– Absolutnie nic. Pokój opłacono na tydzień, kiedy więc ów złom odkryją, będą mogli go jedynie skojarzyć z pewnym smagłym mężczyzną o holenderskim nazwisku. Policja uzna, że porywacze posłużyli się jego paszportem w celu, w którym istotnie się nim posłużyliśmy. A Hendryck Groote niczego im już nie zweryfikuje.

Alicia nie chciała nawet najmniejszego szczegółu pozostawić przypadkowi.

– A co, jeśli któryś z bagażowych opíše policjantom torbę na sprzętwędkarski? To w końcu twoja torba.

– Zgadza się, panie władzo – wszedł w rolę Victor. – Pan King istotnie posiada torbę na sprzęt. Tak, pamiętam dokładnie: niebieska, z żółtym delfinem oraz kolekcją krzykliwych znaczków i naszywek z konkursów.

Wszyscy jesteśmy zdania, że wygląda bardzo niepoważnie.

W jednej chwili obydwójce wybuchli śmiechem.

– Jesteś geniuszem zła. Powinieneś grać w *Batmanie* – droczyła się Alicia.

– Ale...

– Odprułem naszywki i delfina i przefarbowałem torbę pastą do butów.

– Ile waży cały ten sprzęt? – spytała, gdy opanowała już atak śmiechu.

– Siedem, osiem kilo. Dlaczego pytasz?

– Po prostu tak liczę, że pięćdziesiąt kilo pieniędzy, do tego osiem kilosprzętu, to wszystko na tym malutkim wózek... No nie wiem... Boję się, czy to nie będzie za dużo jak na mnie... czy jak na ten wózek?

– Może i wygląda leciutko, ale zaręczam, że jest bardzo wytrzymały. Tepręty są ze stali – zauważył Victor, chwytając rączkę i kucając na konstrukcji. – No, dalej. Ważę dziewięćdziesiąt kilo. Złap mnie i przeciągnij po pokoju.

Alicia siłowała się ze sprzętem, tymczasem Victor pieścił jej łydki i bruzdę między udami, co bynajmniej nie pomagało jej się skoncentrować. Chwilę zajęło, nim zdołała poruszyć mechanizm, nie upuszczając przy tym Victora, lecz kiedy opanowała już obsługę konstrukcji, przekonała się, że miał całkowitą rację. Przeniesienie torby to będzie bułka z masłem. Pomimo rozprasających ją pieszczot przewiozła go jeszcze parę razy po pokoju, tak tylko dla wprawy.

* * *

Karl Bos siedział przy przesłanej z banku w Wenezueli maszynie do przeliczania gotówki. Z wyraźną ulgą wyjął z niej ostatni plik banknotów i przekazał Victorowi, który wsunął go do kolejnej maszyny, ta zaś opakowała go w przezroczystą opaskę. Materiał, z którego sporządzono banderolę, lepił się do siebie, ale nie do banknotów, a co pięć centymetrów opatrzony był numerem seryjnym oraz zamkniętym w niebieskim owalu napisem ABN-AMRO.

– Teraz ty je przelicz, Janie, tak dla pewności...

– To nie będzie konieczne, Karl, wszystkie banderole mają kolejnenumery. Spójrz na cztery ostatnio zapakowane. Widzisz? 397, 398, 399, 400. Czteryście plików po dziesięć tysięcy każdy daje cztery miliony. Proste.

Bos wykonał kpiarski gest podziwu, Victor tymczasem zgiął paczkę banknotów i pozwolił, by zatrzepotały mu między palcami. Następnie, z przesadą naśladowując ruchy koszykarza na linii rzutów osobistych, cisnął paczkę do torby, gdzie wylądowała niemal dokładnie na swoim miejscu.

Idąc za jego śladem, van Dongen wyciągnął ze smukłego srebrnego wazonu różę i z teatralną emfazą włożył ją do torby.

Karl Bos nie docenił frywolności kolegów i spojrzał na van Dongena sponad swych okularów do czytania.

– A cóż to niby ma znaczyć, Janie?

– Porywaczy niech szlag trafi, różę ślę dla porywaczki – zadeklamował, co spotkało się z serdecznym śmiechem Victora i niechętnym „he, he” ze strony Bosa.

Kiedy zamknęli i zabezpieczyli torbę, Victor złapał za rączkę i przeciągnął ją po pokoju, przejeżdżając po rancie dywanu i tarasowej posadzce.

– Idzie jak marzenie. Kółka są duże i wytrzymałe. Janie, ta torba niesprawi ci żadnych problemów.

– Wygląda więc na to, że jesteśmy gotowi – zauważył Bos i głęboko odetchnął.

Van Dongen skinął głową i spojrzał na zegarek, Bos zaś przeprowadził torbę do sejfu i zamknął drzwiczki.

– W każdej chwili mogą zadzwonić. Cholera, jak bym chciał, żeby ten koszmar już się skończył.

Rozdział trzydziesty dziewiąty



17 listopada, godzina 10.00

Trzej mężczyźni zgromadzeni w wewnętrznym gabinecie usłyszeli dzwonek telefonu przez cienkie ścianki działowe i nagle czas się zatrzymał. Usłyszeli, jak sekretarka podnosi słuchawkę: „Dzień dobry, Groote International. (...) Tak, chwileczkę. Powiem panu Bosowi, że pani dzwoni”. Na interkomie zapaliła się mała czerwona dioda.

– Panie Bos, dzwoni do pana panna Myriam.

Karl Bos uniósł brwi, spojrzął na dwóch towarzyszy, po czym obojętnym tonem oznajmił:

– W porządku, proszę połączyć.

Victor wpatrywał się w niego z wyczekiwaniem, van Dongen natomiast wyglądał przez okno z wyrazem całkowitego spokoju na twarzy.

– Halo? (...) Tak. (...) Tak. (...) Rozumiem. (...) Tak, pozwoli pani, żezanotuję – powiedział, gryzmołąc coś w notatniku, który trzymał obok telefonu. – W porządku, będzie tam za kilka minut, ale...

Kiedy wyjaśnił, że pragną towarzyszyć van Dongenowi w osobnym samochodzie, ze zdziwieniem usłyszał: „Oczywiście, ale van Dongen ma być sam. Reszta może jechać za nim innym wozem”.

Bos rozłączył się i podekscytowany poderwał z krzesła. Spojrzął na poczynione notatki.

– Jak chcą zorganizować przekazanie pieniędzy? – spytał Victor.

– Jak na razie wszystko wygląda całkiem prosto. Wyjaśnię wam podrodze.

Bos przeszedł szybkim krokiem w róg pokoju, przypadł na jedno kolano i zaczął wybierać szyfr do sejfów. Gdy drzwiczki się otworzyły, Victor wziął torbę, raz jeszcze upewniając się, że plastikowe kółka toczą się bez trudu i że ładunek waży tyle co poprzednio.

Cała trójka wyszła gęsiego przez boczne drzwi biura i podążyła korytarzem ku windom. Gdy stanęli przed drzwiami z szorstkiego aluminium, Bos wreszcie podzielił się z nimi planem.

– Zgadzą się, żebyśmy jechali za tobą w drugim samochodzie, ale – w tym momencie położył rękę na ramieniu Jana – w pierwszym wozie z pieniędzmi musisz jechać sam. Kiedy dotrzesz do hotelu Triton, udaj się do recepcji, gdzie będzie czekała koperta zaadresowana na twoje nazwisko. W niej znajdziesz kolejne instrukcje.

– Zjeżdżamy prosto do garażu? – spytał przed wciśnięciem guzika Victor.

– Tak! Jazda.

Godzina 10.05

Alicia wyszła przez frontowe wejście hotelu z włosami przykrytymi chustą i w przebraniu pulchnej amerykańskiej turystki. Skręciła w stronę basenu i przeszła wybrukowaną ścieżką dokładnie pod okno zarezerwowanego przez nich pokoju na trzecim piętrze. Rozejrzała się wokoło, oceniając odległości, sięgnęła do torebki po papierosa, przy okazji upuszczając tubkę czerwonej farby. Schyliła się, by ją podnieść, i szybkim ruchem namalowała na asfalcie piętnastocentymetrowy krąg.

Godzina 10.20

Kiedy van Dongen zaparkował na jednym z miejsc blisko wejścia do hotelu, Victor skręcał właśnie z szerokiej alei. Idąc w ślady Jana, Victor i Bos zatrzymali się parę metrów dalej, równoległe do pierwszego pojazdu. Dzieliło ich jeszcze kilka innych wozów, lecz z tak dobranego punktu obserwacyjnego z łatwością mogli śledzić wszystkie ruchy Jana przed wejściem do budynku.

Przyglądali się z uwagą, jak van Dongen wysiada z auta, obchodzi je, wyciąga torbę z bagażnika i rusza do hotelu. Każdy jego ruch śledziła też ze swojego okna Alicia.

Bagażowy w uniformie wyszedł z budynku, by pomóc nieść ciężką torbę, i wspólnie pokonali kilka stopni dzielących ich od rozległego lobby, gdzie zniknęli z pola widzenia.

Victor i Bos rozsiedli się, by poczekać. Alicia rzuciła lornetkę na łóżko i zajęła się szykowaniem sprzętu.

Godzina 10.27

Jan van Dongen i towarzyszący mu bagażowy dotarli do recepcji, gdzie młoda kobieta powitała ich serdecznym uśmiechem.

- Czym mogę panu służyć?
- Nazywam się van Dongen. Powiedziano mi, że będzie tu dla mnie koperta.
- Momencik, proszę pana – odparła, wertując papiery. – Simmons...Terry... van Dongen. Oto i ona.

Odebrawszy kopertę od recepcjonistki, van Dongen wręczył napiwek bagażowemu i zrobił kilka kroków ku drzwiom, po czym przeczytał instrukcje.

Przejdź przez sklep wolnoctowy i wyjdź z głównego gmachu hotelu. Skręć w prawo i idź brukowaną ścieżką w stronę basenu, aż dojdiesz do męskich natrysków. Od tego miejsca licz płytki. Zatrzymaj się, gdy dojdiesz do płytki numer dwadzieścia sześć, zobaczysz tam czerwony krąg. Stań w nim i czekaj na sygnał.

Godzina 10.31

Victor i Bos nieomal podskoczyli, gdy ujrzeli przechodzącego przez sklep wolnoctowy van Dongena. Widzieli, że nadal ma przy sobie torbę, a więc operacja jeszcze się nie skończyła. Zobaczyli, jak skręca w kierunku basenu i stąpa ostrożnie niczym człowiek, który szuka zgubionego przedmiotu, a holowana za skórzany uchwyt torba płynnie podąża za nim. Kiedy zatrzymał się pod budynkiem, zastanawiali się, co też tam robi, nie musieli jednak czekać zbyt długo.

– Patrz, tam z okna coś się wysuwa. O, tam... to jakiś pałak. Jest też znak. Dranie siedzą tam na trzecim piętrze.

Victor przestał obgryzać paznokcie, które za moment by już krwawiły. Wykręcił szyję, by spojrzeć na okno, lecz rzecz jasna widział w nim tylko wędkę i opuszczany znak.

Bos, który po przyjeździe na Kubę zarzucił palenie ukochanych holenderskich cygar, zdążył tak ogryźć trzymaną w zębach cohibę, że z niegdyś eleganckiego cygara pozostały jedynie smętne resztki. Przez cały czas klął jak szewc, Victor zaś wznowił obgryzanie paznokci.

Godzina 10.32

Kiedy znak, na który czekał van Dongen, znienacka niemal uderzył go w twarz, wystraszyło go to nie na żarty.

Grube czarne litery na białym tle głośno:

POWIEŚ TORBĘ NA HAKU.

OBRÓĆ SIĘ. ODEJDŹ TĄ SAMĄ DROGĄ.

NIE OGLĄDAJ SIĘ.

Van Dongen zaczepił uchwyt torby na okazałym haku, który zwisał na linie obok kartki z napisem, wykonał idealny „w tył zwrot” i wrócił tą samą ścieżką, wypełniając polecenia co do joty.

Siedzący w samochodzie Victor i Bos przyglądali się, jak torba z gracją unosi się na wysokość trzeciego piętra. Bos dalej przeżuwał cygaro, Victor zaś obgryzał paznokcie, podczas gdy z okna wychyliła się ręka i zwinęła torbę z pola widzenia.

Wylegujący się nad basenem zagraniczni turyści, którzy dostrzegli całą operację, pochodzili co do jednego z krajów, gdzie nie zwykło się wtykać nosa w nie swoje sprawy. Wśród świadków było też oczywiście trochę Kubańczyków, lecz z ich punktu widzenia, o ile tylko cudzoziemcy nie szczydzili napiwków i nie dopuszczali się czegoś jawnie obraźliwego, to bagaże mogli sobie ściągać do pokoi tak, jak im się żywnie podobało.

Godzina 10.34

Alicia prędko włożyła torbę do dużej białej walizy, którą następnie umieściła na wózku bagażowym i dokładnie obwiązała elastyczną linką. Rozebrała instalację wędkarską i schowała ją do czarnej torby. Zgodnie z zaleceniami Victora stelaż oraz ołowiane odważniki zostawiła na miejscu. I tak byłyby dla niej zbyt ciężkie.

Wreszcie otworzyła drzwi, ściągnęła rękawiczki i przeszła długim korytarzem w kierunku wind. Tam – wciąż w przebraniu grubej Amerykanki – nieśmiało pozdrowiła czekającą parę i wspólnie z nimi zjechała do lobby.

Van Dongen cały proces dostawy przeszedł z holenderskim opanowaniem. Teraz jednak nagle poczuł wzbierające wymioty, popędził więc do mieszczącej się w hotelowym lobby łazienki. Po wyjściu z windy Alicia dostrzegła w tłumie jego nochal i w akcie brawury przystanąła na papierosa na wystarczająco długo, by zobaczyć, jak van Dongen wychodzi z hotelu, przecina parking, mija swój samochód i podchodzi do wozu Victora. Jan oparł się o dach auta i wyznał, że nie czuje się zbyt dobrze.

– Bo i kiepsko wyglądasz – przyznał Bos. – Czy wszystko poszło zgodnie z planem?

– Wiem tyle, ile sami widzieliście, ale ewidentnie mają kasę.

– W porządku – zawyrokował Bos. – Odpocznij tyle, ile będziesz musiał. Może podwieziemy cię do domu?

– Nie, trzeba mi tylko czegoś na uspokojenie i chwili odpoczynku. Zobaczmy się jakoś po południu w biurze.

Godzina 10.42

Alicia wysiadła z taksówki pod domem matki i poprosiła kierowcę, by pomógł jej wyjąć walizkę z bagażnika. Pulchna Amerykanka odeszła w niebyt, a przez drzwi otwarte na oścież przez matkę weszła do domu dawna Alicia.

Kierowca doniósł torbę pod same drzwi, przyjął napiwek i odjechał, zostawiając dwie kobiety, które usiłowały wciągnąć bagaż na dwa prowadzące do salonu schodki.

– Co ty tam masz? – spytała z troską Margarita.

Na to właśnie pytanie czekała Alicia. Odpowiedź miała już gotową, chciała jednak jeszcze potrzymać matkę w niepewności. Usiadła i rozparła się w jednym z dużych foteli, zapaliła papierosa i delikatnie wypuściła w powietrze obłok dymu. Z przemyślanym spokojem oparła na torbie nogę, a potem drugą, krzyżując je w kostkach.

– A jak myślisz? Co też mogłabym dźwigać w tak ciężkiej torbie?

– Nie mam pojęcia – przyznała Margarita.

– Jak ci powiem, to nie uwierzysz, a więc zgaduj – odparła z triumfalnym uśmiechem.

– Mam tylko wielką nadzieję, że nie są to zamarzniete zwłoki.

– Nie, głuptasie. Zgaduj dalej.

– A więc jeśli nie ciało, to muszą to być cztery miliony dolarów.

Teraz to Alicia nie posiadała się ze zdziwienia.

– Nno tak, ale... skąd ty to wiesz?

– Posłuchaj, kochanie – powiedziała Margarita. – Twoja stara matka nie jest znowu taka głupia. Przecież wiedziałam, że nic mi nie powiesz, dopóki nie będzie po wszystkim. A teraz mówisz. A więc jest po wszystkim, a w torbie są pieniądze.

Alicia podniosła się z krzesła i ucałowała matkę. Obydwie kobiety zaczęły hasać po pokoju i chichotać jak małe dziewczynki.

– Udało nam się, mammo! Udało się!

Kucnąwszy na podłodze, Alicia zaczęła majstrować przy zamkach, aby otworzyć torbę, podczas gdy Margarita zaryglowała drzwi i zaciągnęła zasłony. Alicia uniosła ku sobie wieko wewnętrznej walizki, aby pozwolić matce nacieszyć oczy widokiem. Obydwie spojrzały na paczki studolarówek – Margarita z ogromnym zdumieniem, Alicia zaś z uśmiechem satysfakcji i samozadowolenia. Już miała wziąć jedną z paczek w dłoń, gdy zauważyła wsuniętą w wierzchnią kieszeń różę i uniosła ją, chcąc powąchać. Jeśli pochodziła od Victora, to był to z jego strony gest nader czuły i oryginalny.

Margarita nie czuła się zbyt pewnie i zasugerowała, że nie powinny tego robić na środku salonu, gdy wtem rozległo się pukanie do drzwi.

– A nie mówiłam? Ktoś przyszedł. Zamknij ten kram i wynieś do drugiego pokoju.

Alicia zaciągnęła walizkę do schowka na szczytce pod schodami. Margarita zerknęła przez okno, by sprawdzić, kto zacz.

– To Leonor – powiedziała do siebie pod nosem. – Jakaż ona jest upierdliwa!

Podeszła do wejścia i uchyliła okienko, przez które zwykły odbierać pocztę bez konieczności otwierania drzwi na oścież.

– Cześć, Leo. Co cię do nas sprowadza?

– Ach, nic takiego. Po prostu widziałam, jak Alicia wchodzi do domu, a żetak dawno nie miałyśmy okazji porozmawiać... Pomyślałam, że mogłybyśmy napić się kawusi i...

W tym momencie u drzwi pojawiła się Alicia i przycisnąwszy twarz do krat w oknie, rzuciła:

– Cześć, Leo, dobrze cię widzieć, ale tak po prawdzie wpadłam tyłkowiąć prysznic i zaraz wychodzę. Może spiknęłybyśmy się w przyszłym tygodniu?

Chwilę potem, zawinięta w gruby ręcznik i w drodze do łazienki, Alicia uśmiechnęła się na myśl o podrzuconej róży. Gość miał jednak klasę!

– Czasami mam wrażenie, że Victorowi naprawdę na mnie zależy – wyznała matce. – Tyle w tym gościu było czułości, a nawet i trochę ryzyka.

Alicia stała pod prysznicem, w pełni już namydlona, gdy wtem poczuła na plecach towarzyszący odciąganiu zasłonki powiew zimnego powietrza, a matka szturchnęła ją w tyłek antenką telefonu.

– Wybacz, skarbie. Dzwoni Victor i mówi, że to ważne.

Alicia zakręciła kran, wytarła jedną rękę i wzięła słuchawkę.

– Tak, o co chodzi? (...) Są piękne. Całe mnóstwo. (...) Powtórz, proszę. (...) No ja myślę, najpiękniejszy widok pod słońcem. A tak poza tym, ten pomysł z różą naprawdę był na poziomie. (...) – Alicia skrzywiła się. – Ach, to od Kinola (...). A ja byłam na tyle głupia, że uznałam, że to od ciebie. (...) Cóż, przy jakiejś okazji powiem mu, że było to nader urocze. (...) Dobra, za kwadrans się stąd zwinę, żeby zadzwonić.

Alicji wydawało się, że wszelką wiarę w gatunek ludzki straciła już wieki temu, tymczasem od czasu do czasu wciąż dawała się uwieść promykowi nadziei.

Godzina 11.05

Alicia prędko wysuszyła włosy, zjadła kanapkę, popiła szklanką mleka, wskoczyła w dżinsy, T-shirt i sandały i ruszyła do hotelu Comodoro. Mogła pozostać niezauważona, bo telefonu stamtąd nikt nie skojarzyłby z jej domem czy dzielnicą.

– Groote International...

– Dzień dobry, tu panna Myriam do pana Bosa.

– Chwileczkę.

Gdy Bos podniósł słuchawkę, Alicia przeszła na swój amerykański akcent, aby uspokoić wszelkie jego obawy i potwierdzić, że wszystko jest w należyтым porządku.

– Tak, mamy wszystko, co nam przestaliście, a wasz przyjaciel zadzwonido pana, do van Dongena lub do Victora Kinga do domu dzisiaj wieczorem i powie, gdzie go można znaleźć. (...) Nie, proszę pana, nie ma się czym martwić, nic się nie stało. Po prostu pański przyjaciel uważa, że o wiele bezpieczniej będzie, jeżeli nie będzie się pokazywać w ciągu dnia. Wolałby przemieszczać się już po zmroku.

Rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź.

Victor namówił ją na ten telefon, chciał bowiem pozostać w domu, a przynajmniej nie towarzyszyć innym. Jeśli Groote miał zostać wypuszczony nocą, można było udać zmęczenie i poprosić o wyłączenie z akcji. Poza tym dwaj pozostali z pewnością będą roztrzęsieni, Victor nie chciał zaś udawać rosnącego zaniepokojenia, jakie ogarnie ich, gdy wraz z upływem godzin Rieks nie będzie dawał znaku życia.

Godzina 12.50

Jeżeli nigdy w życiu nie doświadczyło się tropikalnej ulewy, nie sposób sobie wyobrazić, jak w ciągu paru minut prawdziwa ściana wody spada na ziemię kilkucentymetrową warstwą. Na szczęście po owych paru minutach było już po wszystkim.

Alicia stała w otwartej bramie garażu. Torbę z pieniędzmi ustawiła na skrawku płótna i czekała, aż Victor podjedzie. Ciężkie krople opryskiwały jej nogi, a jej buty przedstawiały żałosny widok.

Victor podjechał chevroletem wprost pod bramę garażu, aby Alicia mogła się dosiąść, dodatkowo przy tym nie moknąć. Następnie przesunął pojazd odrobinę do przodu, zgarnął torbę i wsadził ją na tylne siedzenie.

Przez parę minut jechali w ciszy. Kiedy samochód wjechał w Pierwszą Aleję, Victor zatrzymał się w miejscu, z którego roztaczał się widok na morze, i błysnął uśmiechem à la Mel Gibson. Przybił z Alicią podwójną piątkę, zaśmiał się szczerze i sięgnął, by ją objąć. Potrzyzymał ją przez chwilę w uścisku, a wreszcie zaskrzeczał w meksykańskim slangu:

– Juhu, juhu, juhUUU! *Putá madre*, mamy te pieprzone miliony i nikt już nigdy nie będzie nam się wchrzaniał w nasze życie!

Alicia roześmiała się wraz z nim, drwiąc sobie z jego meksykańskich wyrażeń.

– Jasna sprawa, Cisco, tera to my będziem jak paniska! – zawołała kpiarsko. Pocałowała go z prawdziwą pasją i w nadziei na natychmiastowe czułości.

Victor delikatnie się wycofał.

– Nie teraz, Alicio. Najpierw musimy zebrać myśli do kupy i ustalić, jak pozbędziemy... pozbędziemy się...

– Tak, pakunku – dokończyła Alicia, przerywając jego jąkanie. Fala pożądania minęła i teraz Alicia poprawiała ubranie i fryzurę, gotując się do innego rodzaju zmagania.

– No dobra, to jaki jest plan?

– Musimy się go pozbyć jak najszybciej. Nim zaczną coś podejrzewać inimi sprawę zwęszy policja. Czyli jeszcze dzisiaj.

– W tym momencie?

– Jak tylko się ściemni.

Godzina 13.15

Kiedy dotarli bezpiecznie do domu w Siboney, Victor postawił torbę na stole i z błyszczącą w oczach dziecięcą niecierpliwością otworzył ją, by przyjrzeć się łupowi. Podobnie jak Alicia, przystanął, by powąchać różę.

– Sądziłem, że zostawisz ją u siebie w domu.

Alicia zabrała mu różę z rąk i spojrzała na nią z zawodem.

– Zostawiłabym, gdyby była od ciebie...

– Ejże – skarcił ją Victor – to nie jest dobry moment na romantyczne uniesienia. Nadal mamy do załatwienia parę nader istotnych spraw.

Alicia wsadziła sobie różę za ucho i przyjęła buntowniczą pozę na znak protestu przeciw nastawieniu partnera. Victor włożył torbę do szafy, wziął Alicię za rękę i przeszedł do komputera, z którego napisał wiadomość do siebie samego.

– W tej chwili najbardziej nagląca jest kwestia pozbycia się zwłok.

Drugasprawa to ukrycie pieniędzy w bezpiecznym miejscu do czasu, aż będziemy wiedzieli, jak je chcemy wydać albo wywieźć za granicę...

– Pozbycie się ciała – przerwała mu Alicia – nie będzie żadnym kłopotem. Mamy duże podwórko i rozmawiałam już o tym z matką...

– Czyś ty zupełnie oszalała? – wrzasnął Victor, podrywając się z krzesła i wymachując rękami niczym holenderski wiatrak. – Nie, nie wierzę, że naprawdę wszystko wygadałaś matce...

– Nie tym tonem, panie King! Oczywiście, że powiedziałam matce. Popierwsze, to polisa ubezpieczeniowa...

Victor rąbnął pięścią w ścianę i się wydarł:

– O czym ty, do kurwy nędzy, mówisz? Ubezpieczenia przed czym?

– Przed tobą, cholera, przed tobą! A teraz uspokój się i mnie posłuchaj. Zacznijmy od tego, że moja matka o wiele prędzej dotrzyma jakiegokolwiek tajemnicy niż ty. Po drugie, ufam jej bardziej niż komukolwiek innemu na świecie. Rozumiemy się?

Kłótnia trwała jeszcze mniej więcej pół godziny. Victor powtarzał, że nadrzędną zasadą powinno być „wiedzą ci, którzy muszą”, Alicia zaś podkreślała, że jej matka to odpowiednia sojuszniczka – i tak w kółko, aż wreszcie Victor nieco się uspokoił. Nadal uważał, że Alicia to papla, ale co się stało, to się nie odstanie, a przeciąganie kłótni nic by im nie dało.

– Dobrze już, dobrze, poddaję się. Ale istnieje jakieś prawdopodobieństwo, że prędzej czy później skojarzą któreś z nas, a przez to nas oboje, z całą tą historią, i pierwszą rzeczą, jaką zrobią gliny, będzie przekopanie całej, kurwa, dzielnicy. Wydaje mi się, że to drugie miejsce, które mi pokazałaś, byłoby, pragmatycznie rzecz ujmując, o wiele lepsze, a do tego nic nas z nim nie łączy.

Parę lat wcześniej, kiedy Alicia nie myślała nawet o karierze rowerzystki, zdarzył jej się romans z wyższym urzędnikiem, żonatym i gotowym do wielkich poświęceń dla ochrony własnej reputacji, pozycji i standardu życia. Spotkali się zaledwie parę razy, nigdy w jego służbowym samochodzie,

zawsze za to w tym samym miejscu: na Trzydziestej Ósmej Ulicy w Nuevo Vedado, obok potężnego krateru pozostałego po zawaleniu się sklepienia starej pieczary. W owym czasie stacjonowała tam jednostka wojskowa z tajnymi instalacjami podziemnymi i dziwacznymi antenami. Lecz na początku roku, przypadkowo będąc w tej okolicy, Alicia zauważyła, że wojsko zdążyło się wyprowadzić. Po dawnej konstrukcji nie pozostał nawet ślad, zniknęły też płoty i ekrany osłaniające dotychczas jamę przed spojrzem postronnych. Spostrzegła natomiast ogromny walec, który rozproszadzał po parceli ziemię, najwyraźniej przygotowując teren pod jakąś budowę.

Na wyżej położonym końcu Trzydziestej Ósmej Ulicy znajdowało się kilka prywatnych domów oraz wznoszony dopiero pojedynczy budynek wielopiętrowy, lecz wzdłuż ostatnich pięciuset metrów nie wznosiło się zupełnie nic. Armia w okresie swojej obecności nie życzyła sobie żadnych sąsiadów; odkąd się wyniosła, niczego nowego w okolicy nie wybudowano. Ulica opadała bardzo ciasnym zakrętem w stronę rzeki Almendares, ograniczona z lewej strony klifem, z prawej zaś zapadliskiem, toteż na mniej więcej trzystumetrowym odcinku, jeśli pominąć z rzadka przejeżdżające samochody, panował zupełny spokój.

Kiedy Alicia po raz pierwszy zabrała tam Victora, skomentował, że miejsce idealnie nadawało się, by zanurzyć sztywniaka... a przy okazji i pozbyć się zwłok. Jeśli zdołaliby ukryć je na kilka godzin, to dzięki nieustającej kawalkadzie ciężarówek wysypujących ziemię do jamy wszelki ślad po Rieksie zniknąłby na wieczne czasy.

– W porządku! Chciałeś dziury, to ją masz. A teraz do dzieła – powiedziała Alicia.

– Wspaniale. Gdzie możemy go położyć, żeby odmarzł?

– Jak to „odmarzł”?

– Tak to. Musi odzyskać elastyczność i trzeba go będzie trochę umalować, żeby mógł jechać na tylnym siedzeniu auta. Wtedy będziesz udawać, że się z nim...

– Fantastycznie – skwitowała Alicia, udając znudzenie. – Karesy z trupem to wyśmienity pomysł, tyle że będziesz do tego musiał zaprząć własną matkę. Bo ja Riekxa już nie chcę nawet oglądać na oczy.

– Co zatem proponujesz?

– Proponuję, byśmy wsadzili go do worka i wrzucili do bagażnika, gdzie zwykło się wozić trupy.

Victor zawahał się, przygryzł wargę i przechylił głowę na bok.

– No dobra. Idzie do worka.

Godzina 17.30

Samochód z wypożyczalni wjechał do garażu. Gdy automatyczne wrota domknęły się, smagły wąsacz wysiadł, zdjął perukę oraz sztuczne wąsy i wyciągnął ze schowka na rękawiczki jakieś dokumenty. Następnie zwrócił się do Alicii:

– Weź, to papiery z wypożyczalni... Aha, wóz jest typu hatchback, z pewnością ci się spodoba.

– Czyżby? A to dlaczego?

– Podejdź tu – powiedział Victor, rozentuzjasmowany niczym dzieckonową zabawką. – Widzisz, jak tylne siedzenia składają się do przodu?

– No i? Nie rozumiem, o co ci chodzi – przyznała zdeorientowana.

– Postaraj się za mną nadążyć. Po dotarciu na miejsce chwilę się migdalimy... akurat tyle, by upewnić się, że nikogo nie ma w pobliżu. Następnie przeskakujemy na tylną kanapę, opuszczamy oparcie, otwieramy bagażnik od wewnątrz i po prostu wypychamy Riekxa, nawet nie wysiadając z wozu.

– Fantastycznie! – przyznała Alicia. – W tego właśnie typu sprawach technicznych przydają się mężczyźni. A skoro jesteś taki silny, to ty go wypchniesz. Ja nie mam zamiaru się do niego zbliżyć. Przy okazji – znowu przymarzył do dna zamrażarki, więc musiałam go polewać wrzątkiem. Mam już go serdecznie dosyć.

Przeszli razem do kuchni, minęli stół z mrożonkami, których używali do przykrycia zwłok, i podeszli do zamrażalnika.

– Podczas gdy ty wypożyczałeś samochód doskonały, ja znalazłam stare zasłony z nadrukowanym motywem tropikalnego ogrodu, które nadadzą się w sam raz do zamaskowania trupa. Ze szczytu klifu będzie po prostu wyglądać jak kupa trawy i chwastów.

– Doskonale! – odparował Victor. – W tego właśnie typu sprawach przydają się kobiety.

– *Touché!* A teraz go zawińmy.

Wspólnymi siłami przechylili zamrażarkę, by nie musieć dotykać zwłok bardziej, niż to będzie konieczne, lecz gdy zeskoczyła ona z metalowej podstawy, drzwi otworzyły się na oścież, a zamrożone ciało ślizgiem przemknęło przez kuchnię i mało brakowało, a wyleciałoby przez tylne wejście.

– Łap go! Bo nam ucieknie! – zażartował Victor i oboje wybuchli śmiechem, który dobrze im zrobił.

Owinęli zwłoki paroma ręcznikami i nasunęli je na zasłony. Jako że ciało spoczywało w pozycji płodowej, zapas materiału pozwolił na zawiązanie jednego węzła od strony głowy i drugiego pod stopami. Węzłów można było użyć jako uchwytów, dzięki czemu przeciągnięcie Rieksa do garażu poszło jak z płatka. Tam Victor był zmuszony wrzucić go do bagażnika. W tego typu sprawach również przydają się mężczyźni.

Godzina 19.10

Matka Alicii otworzyła drzwi frontowe i niemalże zemdłała. W progu stał smagły, przystojny mężczyzna około czterdziestki, a za nim czekała taksówka.

– Fernando! Co ty tutaj robisz? Spodziewaliśmy się ciebie dopiero za parę miesięcy.

Mężczyzna uściskał ją, cmoknął tradycyjnie dwa razy (Kubańczycy cmokają tylko raz) i zrobił krok w tył.

– Wyglądasz wspaniale, Margarito. Gdybym nie kochał się w Alicii... Dopiero co przyjechałem, jak zresztą widzisz – powiedział, wskazując na taksówkę – i chciałem zrobić wam obu niespodziankę.

– Ojejku – stroskała się Margarita. – Obawiam się, że Alicia siedzi po uszyw nauce i egzaminach. Powiedziała mi, że będzie dziś nocowała u przyjaciółki, bo starają się dokończyć projekt na zajęcia z architektury kreatywnej.

– Szkoda – przyznał z pewnym zawodem w głosie. – W takim wypadkujadę do hotelu trochę wypocząć. Jeśli się zjawi, powiedz jej, że zadzwonię wieczorem. Założę się, że będzie zaskoczona.

Nawet se, kurde, nie wyobrażasz, jak bardzo, pomyślała i spojrzała na niego z nagłą obawą, jak gdyby przystojny Argentyńczyk potrafił czytać w myślach.

Fernando doszedł do taksówki i odwrócił się w stronę Margarity.

– Umiesz dotrzymać tajemnicy?

– Milczę jak grób – zadeklarowała.

– Załatwiłem wszystko w Buenos Aires i przyjechałem, by pojąć Alicję zażonę!

W swoim wieku, po wielu latach spędzonych za granicą, w odmiennych kręgach kulturowych – gdzie ludzie uprawiali seks tylko w piątki, gdzie spożywało się surowy boczek, gdzie jadało się palcami ze wspólnego naczynia czy gdzie dobre maniery nakazywały bekać i pierdzieć ile dusza zapragnie – Margarita sądziła, że nic jej już w życiu nie zdziwi. Mimo to poczuła się teraz nieco zaskoczona.

Godzina 19.22

Niewielkie auto pokonało liczne zakręty leśnej drogi, przy której rzekomi porywacze porzucili Victora na pastwę losu, przejechało most spinający brzegi rzeki Almendares i poczęło wspinać się stromym podjazdem, który wiódł znad wody ku wyżynom modnej dzielnicy Nuevo Vedado. Cztery przecznice wyżej samochód skręcił w prawo w Trzydziestą Ósmą i minął domy stojące na wyższym krańcu. Wokół gmachu w budowie kręciło się

parę osób. Kiedy pojazd zbliżał się do dolnego końca ulicy, rozległo się szczekanie psa. Po chwili dołączyły do niego kolejne.

Po dotarciu do klifu Victor powoli i ostrożnie cofnął samochód. Nie można było dopuścić, by spadł z nasypu. Alicia była wyraźnie podenerwowana. Kiedy tylna oś pojazdu znalazła się mniej więcej o metr od krawędzi, a kłapa bagażnika około trzydziestu centymetrów od bez mała dziesięciometrowego spadku, Victor wyłączył silnik i pogrążył się w swoich ćwiczeniach oddechowych.

– Czy to naprawdę działa? – z autentycznym zainteresowaniem zapytała Alicia.

– Wierz mi, gdyby nie działało, tobym tego nie robił.

– Będziesz mnie musiał kiedyś nauczyć. Na przykład teraz bardzo by mi się to przydało.

Poczekali, aż oczy w pełni przyzwyczają im się do ciemności, i zabrali się do udawania pary kochanków, którzy zajmują się wyłącznie sobą nawzajem. Rozglądali się w górę i w dół ulicy, starając się dostrzec najmniejszy ruch, cokolwiek, co wskazywałoby, że ktoś ich może obserwować.

Stwierdziwszy z satysfakcją, że na tym osłoniętym odcinku są zupełnie sami, Victor wygramolił się z fotela kierowcy, przelazł na tył i kolejno złożył obydwa tylne siedzenia. Do zamka klapy zawczasu przyczepił drut z wieszaka na ubrania, aby przy jego otwieraniu nie musieć się siłować z Rieksem. Teraz uchylił klapę i szepnął do Alicii:

– Siadaj za kierownicą i bądź gotowa do odjazdu. Upewnij się tylko, żenikt nie patrzy.

– Czekaj... czekaj... Już, Victor! Teraz!

Choć wszystko zostało dokładnie przygotowane, Victor i tak musiał jeszcze przerzucić ciało przez piętnastocentymetrową burtę bagażnika. Zaparłszy się plecami o przednie siedzenie, odepchnął zwłoki lewą stopą, prawą starając się je unieść na tyle, by wyturlały się na zewnątrz.

Ciało nagle wytoczyło się z samochodu i zahaczyło o krawędź klifu. Przez kilka sekund panowała cisza, po czym dał się słyszeć odległy i przytłumiony odgłos upadku.

Alicia pozwoliła, by samochód bez zapalonych świateł stoczył się ze dwadzieścia metrów w dół ulicy, po czym skręciła na pobocze i odpaliła silnik. Kiedy wóz ustawił się w przeciwnym kierunku, włączyła światła. Akurat w tym momencie obok przejechał inny pojazd.

Godzina 20.11

Nim Karl Bos zdążył otworzyć, brzęczyk u drzwi frontowych jego domu odezwał się dwukrotnie. W progu stał młody ciemnoskóry mężczyzna w towarzystwie dozorkzyni budynku. Pokazał jej legitymację Państwowej Policji Rewolucyjnej i oświadczył, że chce rozmawiać z panem Bosem.

– Jestem Karl Bos. Proszę wejść – zaprosił gospodarz. – Niech panspocznie. Co mogę dla pana zrobić?

Przechodząc od razu do sedna sprawy, młody człowiek wyciągnął z kieszeni dokument i wręczył go Bosowi.

– Zna pan tego człowieka? – spytał.

Bos z poważnymi obawami wziął dokument do ręki. W mgnieniu oka rozpoznał nader znajome rysy właściciela prawa jazdy, mimo to wpatrywał się w nie jeszcze parę chwil.

– To... to Hendryck Groote, prezes firmy, w której pracuję... Czy coś musię stało?

– Z przykrością donoszę, że przed chwilą został on znaleziony martwym na dnie placu budowy...

Bos zamknął oczy, usiłując opanować ból rozsadzający mu czaszkę. Palcami obu dłoni ścisnął skronie, po czym osunął się na kanapę.

Godzina 20.41

Alicia kończyła właśnie przecieranie wnętrza wynajętego samochodu wilgotną ściereczką. Kierownica, dźwignia biegów, przełączniki, ramy okien – wszystko musiało być absolutnie czyste. Victor stał obok auta i za pomocą

szlauchu mył opony. Wtem usłyszał dzwonek swojego telefonu komórkowego i wyciągnął aparat z kieszeni.

– Słucham? Tak, Karl, to ja. Jakież wieści? (...) To straszne! Nie, nie mogę to uwierzyć!

Nastąpiła długa cisza, podczas której Alicia starała się podsłuchać słowa Bosa, a Victor kilkanaście razy jedynie skinął głową.

– Tak, będę natychmiast.

Wyłączył telefon i zwrócił się do Alicii:

– Znaleźli ciało. Wygląda na to, że na dnie zapadliska bawiły się jakieś dzieci. Teraz policja chce, byśmy pojechali do kostnicy i zidentyfikowali zwłoki.

– Czy cokolwiek może wskazywać na nas? – spytała Alicia.

– Nie. Na szczęście smarkacze nie słyszały nawet, jak uruchomiłaś silnik.

– Dzięki Bogu! – zawołała Alicia i wyrzuciła ręce w powietrze. –

Cholera, teraz bym się chętnie zalała w trupa!

– Powstrzymaj się, proszę, będzie jeszcze po temu okazja –

zauważył Victor. – Teraz, gdy pojedę z Karlem do kostnicy, chcę, żebyś wsiadła w samochód i porzuciła go gdzieś w Vedado. Potem przedzierzgnij się w pulchną Amerykankę. Widzimy się w barze Havana Libre. Jeden drink i basta, dobrze?

Godzina 21.15

Kiedy pracownik kostnicy uniósł prześcieradło zakrywające głowę, Victor i Bos w jednej chwili przytaknęli z tym samym ponurym wyrazem twarzy. Asystent zrobił swoje, opuścił więc prześcieradło na miejsce i wywiózł ciało na noszach.

– Jeśli czują się panowie na siłach, chciałbym wam zadać kilka pytań – oświadczył młody człowiek z trzema gwiazdkami na mundurze, które zdradzały porucznika.

– Przyznaję, że naprawdę nie jestem w stanie teraz o tym mówić...

To zbyt straszne... Chyba że sprawa jest bardzo pilna – odpowiedział Victor.

– Tak samo i ja, poruczniku...

– Nie, nie wydaje mi się, żeby to było coś pilnego – stwierdził oficer. –

Możemy się umówić na jutro na dziewiątą rano?

– Może być o dziewiątej – oznajmił Bos, automatycznie wchodząc w rolę menagera wyższego szczebla.

– W porządku – powiedział porucznik, po czym dodał: –

Tymczasem jednak sądzę, że powinniście wiedzieć, że waszą firmę czeka jeszcze jeden kłopot. Nasz wydział osób zaginionych otrzymał niedawno telefon od pani van Dongen, która poinformowała, że mniej więcej od dzisiejszego południa nie miała kontaktu z mężem. Normalnie nie przejmowalibyśmy się zbytnio dwunastogodzinną zaledwie nieobecnością, ale zważywszy na okoliczności...

– Już o tym wiem – przerwał mu Bos – i od paru godzin nie daje mi to spokoju. Nie mieliśmy od niego wieści przez całe popołudnie, a to naprawdę zupełnie do niego nie pasuje.

– Wie pan – ciągnął porucznik – sprawdziliśmy tu i ówdzie i wychodzi nam to, że o szesnastej trzydzieści wasz pan Jan van Dongen odleciał z portu lotniczego Rancho Boyeros w kierunku Meksyku... – funkcjonariusz sięgnął do kieszeni po notes – ...na pokładzie taksówki powietrznej, którą zarezerwował i opłacił przedwczoraj z konta waszej firmy.

Victor spojrzał na Bosa z niekłamanym zdziwieniem.

Godzina 21.50

Alicia w przebraniu grubej Amerykanki naprawdę dopiero zaczynała namyślać się nad zamówieniem trzeciego drinka, gdy w barze Cañitas pojawił się napięty jak struna Victor. Zapłacił barmanowi za podwójny koniak VSOP, dorzucił hojny napiwek, wziął Alicię pod ramię i poprowadził do jednego ze stolików w odległym narożniku lokalu. Tam przez dłuższą chwilę wpatrywał się przez wysoką szklaną ścianę w światła wokół basenu. Dopóki sam nie stwierdzi, że jest gotów, Alicia nie zamierzała ciągnąć go za język. Kiedy przyniesiono koniak, upił mały łyczek i z narzuconym sobie spokojem zapytał:

– Gdzie zostawiłaś samochód?

– Ze trzy przecznice stąd... Z kluczykami w stacyjce. Domyślam się, że nim nadejdzie świt, ktoś go zdąży buchnąć. Jak ci poszło w kostnicy?

Bez odpowiedzi.

– Zdaje się, że cię o coś spytałam. Będziesz łaskaw mi odpowiedzieć? Czy wszystko w porządku?

– Jeszcze nie wiem, Alicio – odpowiedział Victor, wciąż demonstrując niezwykłą samokontrolę. – Ten kutas van Dongen wraz ze swym pierdolonym nosem wyjechał z Kuby, nie mówiąc nikomu ani słowa. Nawet żonie, o ile rzecz jasna można jej zaufać.

Alicia, wyczuwając ze strony Victora niespokojne wibracje, obróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

– I co ty o tym myślisz? – spytał.

– Nie wiem...

– Słuchaj, a czy ty w ogóle sprawdziłaś zawartość torby? Tyle wygłupialiśmy się z tą durną różą, że tak naprawdę nie przeliczyliśmy pieniędzy.

– Nie było takiej potrzeby – zaproponowała Alicja. – Sam byłeś przy tym, jak je liczyli i pakowali, prawda? Czemu niby musielibyśmy jeszcze sprawdzać? Myślisz, że Kinol mógł nam wyciąć jakiś numer?

– Nie za bardzo wiem jak – odparł Victor, pogrążony we własnych myślach. – Z którejkolwiek strony na to spojrzeć, nie wydaje mi się, by miał taką możliwość... Ale przez ten jego tajemniczy wyjazd z nerwów zaczyna mi odpierdalać.

Godzina 22.26

Gdy tylko chevrolet się zatrzymał, Victor i Alicja popędzili do szafy, w której ukryli torbę z czterema milionami dolarów.

Victor wyciągnął torbę na środek, rzucił na blat stołu i zaczął manipulować przy zamkach, Alicja zaś czekała obok, drżąc z niecierpliwości. Gdy oczom ich ponownie ukazały się ułożone w równych rzędkach, oklejone banderolami paczki, Victor wziął głęboki wdech, wybrał jedną na chybił trafił, złapał z jednej strony kciukiem i przepuścił między palcami.

– OŹEŹKURWAJEGOMAC!!! – wrzasnął, zrywając banderolę i wyrzucając w powietrze chmurę białych karteczek. Puszczając kolejne wiązanki z bogatego repertuaru kanadyjskich, meksykańskich i kubańskich przekleństw, podnosił i rozrywał paczkę za paczką, stopniowo zdając sobie sprawę, że wszystkie są równie trefne jak pierwsza.

Nagle przestał, oparł obie ręce na biodrach i z groźnym obliczem zwrócił się ku Alicii. Podszedł do niej powoli, uniósł palce do skroni, a w jego głosie na powrót zagościł spokój.

– Nie chcę nawet dopuścić do siebie myśli, że ty i Kinol... – powiedział, lecz wtem urwał, marszcząc brwi w zamyśleniu. Następnie odwrócił się i dwoma susami dopadł do torby, by przyjrzeć się paczkom, które nie padły ofiarą jego początkowej furii. – No jasne!

Teraz już rzucał się po całym pokoju, kopiąc i przeklinając wszystko w zasięgu wzroku, wymachując rękoma i wykrzykując w crescendo refren: „Kurwa mać, kurwa mać, kurwa jego mać...!”.

Alicia była rzecz jasna zmartwiona, lecz błazeństwa Victora nie robiły na niej najmniejszego wrażenia.

– Byłbyś łaskaw przestać pajacować i wyjaśnić mi, co tu się dzieje?

Victor stanął jak wryty, lecz przez parę chwil nie był w stanie zdobyć się na żadną reakcję. Wreszcie odwrócił się w stronę Alicii i opuścił ramiona.

– Wybacz. Przez chwilę wydawało mi się, że to ty wraz z matką w jakiś sposób podmieniłyście banknoty.

– Tym razem to już naprawdę przegiąłeś! – krzyknęła Alicia. – Kiedyniby miałybyśmy na to czas?

Victor podniósł jedną z paczek i pokazał Alicii banderolę z przezroczystego plastiku.

– Choćbyście miały nawet i mnóstwo czasu, to te banderole przybyły na Kubę zaledwie kilka dni temu. Przyjechały tu z holenderskiego banku przez Wenezuelę i nie ma takiej opcji, byście mogły się do nich dostać. Paczki, które Karl Bos przygotował w biurze, były kolejno ponumerowane

od 001 do 400; te tutaj mają numery od 401 do 800. To znaczy, że ktoś w biurze zrobił drugi taki zestaw paczek i zdołał znaleźć drugą taką torbę. Alicia spojrzała na niego lodowatym wzrokiem.

– A skąd mam mieć pewność, że to ty nie zwąchałeś się z Kinolem, bywykolegować mnie z interesu? Ostrzegam cię, Victor...

Rozdział czterdziesty



Margarita i Alicia uwijały się wokół stołu – elegancko zastawionego na trzy osoby najlepszymi obrusami, porcelaną i srebrem i z pojedynczą łodygą orchidei w wąskim srebrnym wazonie – rozpamiętując przy tym wydarzenia, które tak nieoczekiwanie przekreśliły ich plany na najbliższą przyszłość. Otartą smugę z kieliszka na wodę, Alicia obejrzała go pod światło i odstawiła ostrożnie na miejsce, podczas gdy matka zajęta była polerowaniem sztućców.

– Czy wykluczyłeś, że Victor i Kinol współpracowali, by się ciebie pozbyć? – spytała Margarita.

– Zupełnie, mamó – odparła Alicia. – Jeżeli mieliby od początku spiskować, to do czego potrzebna byłabym im ja? Tylko bym przeszkadzała, a wręcz stanowiła możliwe zagrożenie.

– Być może zrazu o tym nie myśleli, ale później... – nalegała Margarita.

– Mamó, nie ma takiej opcji. Przez cały ten czas byłam z Victorem, patrzyłam mu na ręce i w jego zachowaniu nie widziałem absolutnie nic podejrzanego. Nie, jestem pewna, że to wyłącznie Kinol. Wydymał nas oboje. Jedyne, co nam pozostaje, to zgarnąć połowę z tych czterdziestu tysięcy...

– Jakich znowu czterdziestu tysięcy? – zapytała matka.

– Ach, zapomniałam ci powiedzieć. Van Dongen musiał w istocie użyć czterdziestu tysięcy w studolarówkach, by umieścić po banknocie na wierzchu każdej z paczek. Jak już mówiłam, pozostaje nam zapomnieć o Victorze, Rieksie, czterech milionach i całej tej historii i wraz z Fernandem obrać nowy kurs: na Argentynę.

Margarita, która rozważała tę kwestię już od pewnego czasu, zaczęła zgłaszać obiekcje.

– Sama nie wiem, serdeńko. Tak sobie myślałam, że robię się za stara natego typu przygody i o ile tylko będziecie w stanie przestać mi parę dolarów miesięcznie, wydaje mi się, że i wam będzie lepiej, i ja...

– O nie, mowy nie ma – przerwała jej Alicia. – Nie wystawisz mnie, i to akurat teraz, gdy najbardziej cię potrzebuję. I w nosie mam, co o tym myśli Fernando. Jak nie on, trafi się jakiś inny, ale sama się z tego tak łatwo nie wywiniesz.

Dzwonek do drzwi położył nagle kres konwersacji. Margarita wzięła kwiaty od Fernanda i powitała go w domu.

– Ależ proszę, serdeńko, zachodź. Właśnieśmy o tobie rozmawiały...

Rozdział czterdziesty pierwszy



Alicia po raz ostatni widziała się z Victorem tydzień po tym, jak pozbyli się ciała Rieksa. Victor zadzwonił do niej, by poprosić o zwrot kluczyków od samochodu.

Przyjechała autem na ustalone miejsce, to jest do niewielkiego baru w Miramar, ukrytego na podwórku i z baldachimem nieba w roli sufitu. Gdy ujrzała go siedzącego przy stoliku, poczuła przyptyw melancholii zmieszanej z gniewem, lecz przede wszystkim chciała uwolnić się od niego raz na zawsze... i to jak najszybciej.

Victor zaprosił ją, by przysiadła się na drinka.

– Nie, dzięki. Nie powinnam.

Alicia położyła kluczyki na stoliku, ostrożnie unikając spojrzenia Victora, po czym obróciła się i odeszła bez słowa. Znowu miała na sobie strój studentki, a na związanych w koński ogon włosach podskakiwał czerwony pompon.

Victor przyglądał się, jak odchodzi. Poczekała chwilę, aż z baru zaczął zbierać się jakiś mężczyzna, i spytała go, czy przypadkiem nie jedzie w jej stronę. Przepadkiem jechał. Victor pomyślał, że mogłaby przynajmniej pomachać, lecz ona, wsiadając na tył motocykla, nie zaszczyciła go choćby przelotnym spojrzeniem. Nie pojmował, dlaczego czuł się tak samotny. Wyglądało na to, że los standardowo zesał mu z nieba mannę o smaku gówna, pozwalając poznać właściwą osobę w niewłaściwych okolicznościach.

Zamówił kolejną podwójną whiskey, zapalił papierosa i rozsiadł się wygodnie, by pogrążyć się w ulubionej ostatnimi czasy rozrywce – rozmyślaniu nad tym, jak też van Dongen zdołał przygotować drugą torbę i dokonać podmiany. Aby zrobić to w hotelu, musiałby mieć współnika, kogoś takiego jak na przykład Carmen, kto by na niego czekał z identycznym bagażem...

Gówno prawda! O tym, że okup zostanie przekazany w hotelu Triton, van Dongen dowiedział się dopiero, gdy wraz z Bosem zjeżdżali windą. Nie miał szans nikogo o tym poinformować. Jedyne inne wytłumaczenie – van Dongen zawczasu ukrył drugą torbę z bezwartościowymi ścinkami papieru w swoim samochodzie. Koniec końców na przygotowanie atrapy miał całe dwa dni.

Victor przypomniał sobie, że van Dongen na jego oczach wrzucał torbę do bagażnika i kufer był wtedy pusty, choć pod podłogą jest przecież jeszcze schowek na koło zapasowe... Tak... Z pewnością to jest jakaś możliwość, ale i tak...

Tydzień obsesyjnych kalkulacji zaprowadził go tylko do tego miejsca. W ostatecznym rozrachunku cóż więcej mógł uczynić?

Odzyskać pieniądze? Bez szans!

Zaplanować zemstę? Głupota! Tylko idioci spiskują, by się mścić.

Nie, Victor umiał przegrywać. Koniec końców miał pod tym względem spore doświadczenie. *Hejże! Co ty robisz? Czyżbyś się nad sobą roztkliwił? A ile razy za to wygrywałeś? Kinol był szybszy i wystawił cię do wiatru? Ale za to wszystko będzie na niego, więc nie ma po co się złościć. Jak się człowiek złości, to tylko traci panowanie nad sobą, jak te rasowe byki na corridzie, co atakują muletę, a nie kryjącego się za nią sukinsyna.*

Ostatecznie zdał sobie sprawę, że najbardziej gryzło go lekceważenie Alicii. Nigdy by nie przypuszczał, że tak go to zabol.

1998



Epilog

Choć śledczy z kubańskiej policji pracowali w pocie czoła, nie byli w stanie znaleźć niczego, co mogłoby ich naprowadzić na trop porywaczy Hendrycka. Zainteresowanie sprawą znacznie zmaleło, gdy specjaliści z laboratorium kryminalistyki udowodnili ponad wszelką wątpliwość, że Rieks umarł od pojedynczej rany kłutej z tyłu głowy, spowodowanej upadkiem na ozdobny metalowy szpikulec w jego własnym domu. Ustalili również, że ciało było przez ileś dni przechowywane w temperaturze poniżej zera.

Zważywszy na niespodziewane zniknięcie obywatela Królestwa Niderlandów, niejakiego Jana van Dongena, a także fakt, że był on krewnym zmarłego, przyjęto, że dzięki znajomości kulisów funkcjonowania firmy oraz relacji rodzinnych odkrył ciało i postanowił wykorzystać przedwczesną śmierć swojego kuzyna dla własnej korzyści. Sprawę przekazano Interpolowi, który od tej pory zajął się jego ściganiem.

Przeczuwane przez Victora zmiany w firmie zaszły ze zdwojoną siłą. Konsorcjum Groote International zignorowało zawarte z Victorem Kingiem dżentelmeńskie porozumienie, a Vincent Groote z niekłamaną przyjemnością poinformował go, że jego usługi nie będą już potrzebne. Niemniej jednak smętne oblicze nędzy i głodu nie zajrzało mu w oczy.

W wyniku jednego z owych nieoczekiwanych zwrotów, jakie przynosi niekiedy przeznaczenie, w życiu Victora zaszła kolejna zmiana. Nadal nie osiągnął z dawna wyglądanej niezależności finansowej, lecz nie można wszak mieć wszystkiego.

Christina, wdowa po Rieksie i dziedziczka pokaźnych przychodów z funduszu powierniczego na jej nazwisko, a także dziesięciu milionów w gotówce, odczuwała coraz to większą wdzięczność dla Victora za jego

nieustające wsparcie i troskę o jej samopoczucie. Tak się wręcz złożyło, że w dniach, które spędziła na Kubie, Victor zdołał kilkakrotnie odwrócić jej uwagę od tragedii i zapoznać z rękodziełem miejscowych artystów pod postacią pewnej drewnianej figurki satyra. Christina czuła, że jeszcze przez długi czas będzie potrzebowała pociechy, i zwyczajnie nie mogła znieść myśli, że Victor i satyr pozostaną na wyspie, ona zaś wróci do Amsterdamu – toteż cała trójka żyje teraz w Holandii w bezpretensjonalnym luksusie.

Jako kobieta nader inteligentna i obyta ani przez chwilę nie rozważała możliwości wyjścia za Victora. Podobnie jak w przypadku związku z Rieksem, zamieszkała z nim w ich skromnej rezydencji. Stworzyli piękną i pozbawioną uprzedzeń parę, która cieszyła się towarzystwem pięknych i pozbawionych uprzedzeń przyjaciół, wiele podróżowała i uczestniczyła intensywnie w życiu kulturalnym Europy.

Dla zadowolenia swego ukochanego pocieszyciela, jak również aby wkurzyć ulubionego wroga – Vincenta Grootego – Christina wystarała się u kubańskich władz o pozwolenie na kontynuowanie, acz nakładem znacznie mniejszych środków, pierwotnego planu podmorskich poszukiwań. Spółce daleko było do rozmachu Groote International, dysponowała jednak wszystkim, czego Victor potrzebował, by oddawać się swej pasji nurkowania i eksploracji. Victor nie ustawał w przekonaniu, że wyładowany złotem hiszpański galeon na pewno czeka gdzieś za następną z raf, które ciągną się wokół Kuby setkami kilometrów. Kto wie, może któregoś dnia istotnie na coś się natknie i zyska upragnioną sławę i fortunę.

Tak oto szczęście, które wymknęło mu się z rąk w relacjach z panem Grootem, przyszło teraz do niego wraz z panią Groote, jako nagroda za szczere oddanie i utulenie jej w żalu.

* * *

Wszyscy w okolicy balijskiego Sanur – „siostry słońca” – znali ekscentrycznego i hojnego *Meesta Freda*, niemieckiego malarza, który od dwóch lat zamieszkiwał w niewielkim domku pośród ryżowych poletok i falistych wzgórz w odległości rzutu kamieniem od wód oceanu. Przez

ostatnie pół roku tworzył krajobrazy z jeziorami pod dramatycznie turkusowym niebem, a hordy australijskich turystów kupowały je na pniu – tak szybko, że nie nadążał z malowaniem. Niektóre obrazy trafiły nawet do znaczących galerii.

Od czasu do czasu malował też akty, zawsze z Mulatkami o obfitych piersiach i melancholijnych, azjatyckich oczach, za tło przyjmując jasny bezkres Pacyfiku.

Fred zdążył się już pozbyć groteskowego profilu mrówkojada trójpalczastego, który wyróżniał go, gdy był jeszcze znany jako Jan van Dongen. Groźba wykrycia przez Interpol zadziałała na jego wyobraźnię tak silnie, że przewyciężyła strach przed operacją. Wcześniej na myśl o niej serce mu łomotało, a płuca rozpaczliwie domagały się powietrza. A jako że i tak musiał już pójść pod nóż, postanowił poddać się całkowitej przemianie. Teraz mógł się kochać bez maski, mógł grać na flecie w obecności innych, mógł wreszcie spojrzeć na swój cień i się przy tym nie wzdrygnąć.

Dwa lata i miesiąc po niespodziewanym wyjeździe Jana van Dongena Alfred Werner zdołał uzyskać zaproszenie na Biennale Sztuki w Hawanie. Skrupulatnie przeanalizowawszy grafik dyżurów Carmen, zdecydował się w końcu zaryzykować telefon do szpitala. Był siódmy grudnia – dzień, który oboje będą odtąd wspominać z radością.

Kiedy Carmen zawołano do aparatu, natychmiast rozpoznała jego głos. Tak, wiedziała, kto mówi; nie, nie mogła w to uwierzyć; tak, wciąż go kochała; nie, nie było nikogo innego; tak, pojechałaby z nim choćby na koniec świata...

Spotkali się potajemnie w jednej z niedrogich prywatnych restauracji, które wyrastały w Hawanie jak grzyby po deszczu. Fred bał się, że Carmen może być wciąż pod obserwacją, powiedziała mu jednak, że policja nabrała pewności, że nie doszło ani do żadnego porwania, ani do morderstwa. Opowiedziała mu o krwi na doniczce, o kącie, pod jakim Rieks doznał obrażeń, i tak dalej.

Wówczas on wyznał jej, jak bardzo dotknęła go śmierć Rieksa, jak zdał sobie sprawę, że może pozostać na łodzi, jak postanowił pokonać kanciarza i jego współpracowniczkę ich własną bronią... A więc kubańska policja ostatecznie ustaliła, że to był wypadek? To cudownie, że Rieks nie cierpiał... Fred opowiedział Carmen o dwóch torbach, o czterdziestu tysiącach w studolarówkach, których użył do zakamuflowania ścinków papieru, o powiększonej wnęce na koło zapasowe w bagażniku; o tym, że opuścił ją z ciężkim sercem, mając nadzieję, że o nim nie zapomni, i o licznych zmianach tożsamości, jakich dokonał, nim stał się Alfredem Wernerem i osiadł pośród ryżowych poletek i pagórków na Bali.

Niewielka restauracja mieściła się na trawniku domu, skąd roztaczał się widok na jeden z kanałów mariny Hemingwaya. Fred powiedział Carmen, że ich gniazdko na Bali wygląda bardzo podobnie, że wieje tam przyjemna bryza, a wieczorem blask zachodzącego słońca przedziera się przez drzewa. I gdy tak mówił do niej głosem pełnym uczucia, przypomniał sobie przyjemne pożądanie, z jakim się kochali, wieczorne cienie tego szalonego miasta, które tak uwielbiał, ciepło rumu, te grube, zmysłowe wargi, te azjatyckie oczy.

Carmen roześmiała się, gdy wyznał, że odkąd do niej zadzwonił, zdążył nabawić się sińców, tyle razy bowiem szczyptał się, by sprawdzić, czy przypadkiem nie śni. Sam też wybuchnął śmiechem, po czym złapali się za dłonie i spojrzeli sobie w oczy.

Tak, był to prawdopodobnie najszczęśliwszy dzień ich życia; nie, już nigdy więcej nie mieli być sami. Do końca swych dni mieli kochać się, malować i grać na flecie pośród wód południowego Pacyfiku.

Fred, wolny od wszelkich wątpliwości i pozostałości wyrzutów sumienia, uszczypnął się raz jeszcze tylko po to, by rozśmieszyć Carmen.

W dniu, gdy dotarli do domu na Bali, bogini Parwati z malutkiej przydrożnej kapliczki z zielonego kamienia posłała Carmen powitalny uśmiech. Lecz, co oczywiste, Carmen nie była już wtedy Carmen.

Carmen wyjechała z Kuby do Meksyku, gdzie spędziła dwa tygodnie, co wystarczało, by stać się Guadalupe, która wyjechała następnie do Chile, by tam przekazać pałeczkę Gracielii, która udała się do Portugalii, a stamtąd do Nigerii, gdzie Zaratu – w języku joruba „ta, która narodziła się ponownie” – wyszła za pana Alfreda Wenera, po czym wyjechała w nieznanym kierunku. W ich wygodnym domostwie Zaratu mówiła tylko po angielsku. Brzmiało to koszmarnie, lecz jedynym językiem, jaki naprawdę dobrze znała, był dialekt używany wyłącznie przez jej lud. Rozłożony obok niej w szerokim hamaku Fred Werner odetchnął długo i głęboko, wdychając ją, wpijając się w nią i sącząc łagodny rum, który regularnie przysyłano mu z Hiszpanii.

Tak, jego życie zdecydowanie przybrało lepszy obrót... Bo i czas był po temu najwyższy.

* * *

Jeśli chodzi o Fernanda, Alicia popełniła duży błąd, lecz jako że nie była osobą, która zwykła się poddawać, natychmiast wróciła do walki. Fernando nie okazał się ani dziedzicem fortuny hodowców bydła, ani też genialnym finansistą, ale kompulsywnym kłamcą bez grosza przy duszy, który zakwaterował ją w nędznej norze w zaniedbanej, szemranej dzielnicy. Kiedy matka spytała ją, co zamierza zrobić, odparła: „Mamo, jeśli zatrzymasz się w takim miejscu na więcej niż parę dni, zdążysz się przyzwyczaić, a wtedy nie wyrwiesz się już nigdy”.

I niczym ktoś z poczuciem misji – a tego Alicii nie brakło – przemieszkała w nędznej norze trzy dni, po czym wyruszyła na podbój swego losu.

Sprawnie posługując się pieniędzmi, które przywiozła ze sobą, wkrótce poznała i omotała niejakiego señora Gamboę, patrycjusza, który dzięki Alicii uświadomił sobie, że wystarczająco długo był wierny żonie, rodzinie i pozycji społecznej i że nadszedł czas, by – jak mówi poeta – być wiernym samemu sobie. Niezależnie od tego, ile czasu pozostało mu w podróży przez życie, dalszą drogą zamierzał odbyć w pierwszej klasie.

Gamboa sprezentował Alicii eleganckie mieszkanie przy ulicy

Corrientes, zapewnił hojne kieszonkowe, a także coś, co dzięki jej geniuszowi miało się okazać wygraną na loterii: stałe zaproszenie do ekskluzywnego klubu jeździeckiego w San Isidro, gdzie ostatnimi czasy wprowadziła modę na nowy styl dosiadania konia, który z miejsca okazał się sensacją. Ustawiała strzemiona bardzo wysoko, a zamiast jeździć w klasycznej, wyprostowanej postawie jeździeckiej, za sprawą tropikalnych genów tak kręciła wypiętymi pośladkami, że wyobraźnia sama podsuwała świadkom obraz galopującego regimentu karaibskich amazonek.

Jednego z pierwszych dni jazdy przytrafił jej się nader ciekawy wypadek. Najwyraźniej jedno ze strzemion nagle się obluzowało. Alicia niechybnie spadłaby z konia, gdyby w sukurs nie pospieszył jej natychmiast pewien pięćdziesięcioparoletni dżentelmen, właściciel sieci supermarketów oraz dwudziestu tysięcy hektarów ziemi w prowincji Santa Fe.

Kiedy odprowadził ją do mieszkania przy ulicy Corrientes, Margarita akurat skończyła przygotowywać kubańską wersję paelli, toteż wybawca jej córki po prostu nie mógł nie przyjąć porcyjki... podobnie jak paru kieliszków daiquiri.

Señor Irigoyen powrócił nazajutrz, by dopytać się o stan nogi Alicii. Jeden z jego ludzi przyniósł nowy klimatyzator, aby wymienić ten, który spalił się dzień wcześniej, akurat podczas pierwszych zajęć z horyzontalnej rumby. Aby nakłonić młodą damę do przyjęcia podarunku, musiał wspiąć się na wyżyny talentów dyplomatycznych. Alicia wyjaśniła, że gdy dany mężczyzna jej się podobał, mogła się z nim kochać tak swobodnie jak wiatr pieszczący korony drzew, i że choć była niebogata imigrantką, miała swoją dumę i swój honor i nie pozwalała mężczyznom na dawanie sobie prezentów. Oczywiście, skoro nalegał, i uczciwie mówiąc, żeby nie poczuł się urażony, Alicia koniec końców przyjęła klimatyzator.

Lokalni plotkarze rozgłaszali, że don Xavier Irigoyen z Santa Fe i Buenos Aires zamierza wreszcie zakończyć ścisłą żałobę po zmarłej przed trzydziestoma laty małżonce, aby budować życie od nowa w towarzystwie młodej damy, którą uratował przed wypadkiem. Jegomość istotnie oszalał

na punkcie swej nowej instruktorki tańca, bo po łózkowej rumbie przyszedł czas na cza-czę i mambo. Horyzontalną congę postanowili zachować na po ślubie, który zaplanowali na koniec roku.

Tak, jej upór wreszcie się opłacił, a to, czego nie była w stanie osiągnąć pedałowaniem po Hawanie, zdołała nadrobić z nawiązką, gdy usiadła w siodle w Buenos Aires.

KONIEC